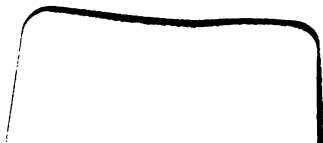


8221

www.libtool.com.cn



www.libtool.com.cn



www.libtool.com.cn

www.libtool.com.cn

P I S M A
HENRYKA SIENKIEWICZA.

www.libtool.com.cn

PISMA

www.libtool.com.cn

HENRYKA SIENKIEWICZA.

TOM V.

LATARNIK. — NIEWOLA Tatarska.

JAMIOŁ. — NA JEDNĄ KARTĘ.

BARTEK ZWYCIEZCA.

~~~~~  
WYDANIE DRUGIE.  
~~~~~

WARSZAWA.

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA.

1883.

1 1/2

www.libtool.com.cn

LATARNIK ¹⁾.

I.

Pewnego razu zdarzyło się, że latarnik w Aspinvall, niedaleko Panamy, przepadł bez wieści. Ponieważ stało się to wśród burzy, przypuszczano, że nieszczęśliwy musiał podejść nad sam brzeg skalistój wysepki, na której stoi latarnia i został splukany przez bałwan. Przypuszczenie to było tém prawdopodobniejsze, że na drugi dzień nie znaleziono jego łódki stojącej w skalistym wrębie. Zawakowało tedy miejsce latarnika, które trzeba było jak najprędzej obsadzić, ponieważ latarnia niemałe ma znaczenie, tak dla ruchu miejscowego jak i dla okrętów idących z New-Yorku do Panamy. Zatoka Moskitów obfituje w piaszczyste ławice i zaspy, między którymi droga nawet w dzień jest trudna, w nocy zaś, zwłaszcza wśród mgieł podnoszących się często na tych ogrzewanych podzwrotnikowém słońcem wodach, prawie niepodobna. Je-

¹⁾ Opowiadanie to osnute jest na wypadku rzeczywistym, o którym w swoim czasie pisał J. Horain, w jednej ze swoich korespondencyj z Ameryki.

dynym wówczas przewodnikiem dla licznych statków bywa światło latarni. Kłopot wynalezienia nowego latarnika spadł na konsula Stanów Zjednoczonych, rezydującego w Panamie, a był to kłopot niemały, raz z tego powodu, że następcę trzeba było znaleźć koniecznie w ciągu dwunastu godzin; powtórę, następca musiał być nadzwyczaj sumiennym człowiekiem, nie można więc było przyjmować byle kogo: na koniec wogóle kandydatów na posadę brakło. Życie na wieży jest nadzwyczaj trudne i bynajmniej nie uśmiecha się rozpróchnaczonemu i lubiącemu swobodną włóczęgę ludziom Południa. Latarnik jest niemal więźniem. Z wyjątkiem niedzieli nie może on wcale opuszczać swęj skalistęj wysepki. Łódź z Aspinvall przywozi mu raz na dzień zapasy żywności i świeżą wodę, poczem przywożący oddalają się natychmiast, na całej zaś wysepce mającej morgę rozległości niema nikogo. Latarnik mieszka w latarni, utrzymuje ją w porządku; w dzień daje znaki wywieszaniem różnokolorowych flag, wedle wskazówek barometru, w wieczór zaś zapala światło. Nie byłaby to wielka robota, gdyby nie to, że chcąc się dostać z dołu do ognisk na szczyt wieży, trzeba przejść przeszło czterysta schodów krętych i nader wysokich, latarnik zaś musi odbywać tę podróż czasem i kilka razy dziennie. Wogóle jest to życie klasztorne a nawet więcéj niż klasztorne, bo pustelnicze. Nic téż dziwnego, że Mr. Izaak Folcombridge był w niemałym kłopotcie, gdzie znajdzie stałego następcę po nieboszczyku i łatwo zrozumieć jego radość, gdy najniespodzianie następcą zgłosił się jeszcze tegoż samego dnia. Był to człowiek już stary, lat siedmiudziesiąt albo więcéj, ale czerstwy, wyprostowany, mający ruchy i postawę żoł-

nierza. Włosy miał zupełnie białe, płeć spaloną jak u kreolów, ale sądząc z niebieskich oczu, nie należał do ludzi Południa. Twarz jego była przygnębiona i smutna, ale uczciwa. Na pierwszy rzut oka, podobał się Folcombridge'owi. Pozostało go tylko wyegzaminować, w skutek czego wywiązała się następująca rozmowa:

— Zkąd jesteście?

— Jestem Polak.

— Coście robili dotąd?

— Tułałem się.

— Latarnik powinien lubić siedzieć na miejscu.

— Potrzebuję odpoczynku.

— Czy służyliście kiedy? Czy macie świadectwa uczciwój służby rządowej?

Stary człowiek wyciągnął z zanadru spłowiały jedwabny szmat, podobny do strzępu stariej chorągwi. Rozwinął go i rzekł:

— Oto są świadectwa. Ten krzyż dostałem w roku trzydziestym. Ten drugi jest hiszpański z wojny karlistowskiej; ten trzeci to legia francuzka; czwarty otrzymałem na Węgrzech. Potém biłem się w Stanach przeciw południowcom, ale tam nie dają krzyżów — więc oto papier.

Folcombridge wziął papier i zaczął czytać.

— Hm! Skawiński? To jest wasze nazwisko?... Hm! Dwie chorągwie zdobyte własnoręcznie w ataku na bagnety... Byliście walecznym żołnierzem!

— Potrafię być i sumiennym latarnikiem.

— Trzeba tam codzień wchodzić po kilka razy na wieżę. Czy nogi macie zdrowe?

— Przeszedłem piechotą *pleny*.

(Plenami nazywają niezmierne stępy między New-Yorkiem a Kalifornią).

— *All right!* Czy jesteście obeznani ze służbą morską?

— Trzy lata służyłem na wielorybniku.

— Próbowaliście różnych zawodów?

— Nie zaznałem tylko spokoju.

— Dlaczego?

Stary człowiek ruszył ramionami.

— Taki los...

— Wszelako na latarnika wydajecie mi się za-
starzy?

— Sir! — ozwał się nagle kandydat wzruszonym głosem. Jestem bardzo znużony i skołatany. Dużo, widzicie, przeszedłem. Miejsce to jest jedno z takich, jakie najgoręcej pragnąłem otrzymać. Jestem stary, potrzebuję spokoju! Potrzebuję sobie powiedzieć: tu już będziesz siedział, to jest twój port. Ach, Sir! to od was tylko zależy. Drugi raz się może taka posada nie zdarzy. Co za szczęście, że byłem w Panamie... Błagam was... Jak mi Bóg miły, jestem jak statek, który jeśli nie wejdzie do portu, to zatonie... Jeśli chcecie uszczęśliwić człowieka starego... Przysięgam że jestem uczciwy, ale... dość mam już tułactwa...

Niebieskie oczy starca wyrażały tak gorącą prośbę, że Folcombridge, który miał dobre, proste serce, czuł się wzruszony.

— *Well!*—rzekł. Przyjmuje was. Jesteście latarnikiem.

Twarz starego zajaśniała niewypowiedzianą radością.

— Dziękuję.

— Czy możecie dziś jechać na wieżę?

— Tak jest.

— Zatem: *Good bye!*... Jeszcze słowo: za każde uchybienie w służbie dostaniecie dymisy.

— *All right!*

Tegoż samego jeszcze wieczora, gdy słońce stoczyło się na drugą stronę międzymorza, a po dniu promiennym nastąpiła noc bez zmierzchu, nowy latarnik widocznie był już na miejscu, bo latarnia rzuciła jak zwykle na wody, swoje snopy jaskrawego światła. Noc była zupełnie spokojna, cicha, prawdziwie podzwrotnikowa, przesycona jasną mgłą tworzącą koło księżyca wielki zabarwiony tęczywo krąg o miękkich nieujętych brzegach. Morze tylko burzyło się, ponieważ przypływ wzbierał. Skawiński stał na balkonie, tuż koło olbrzymich ognisk, podobny z dołu do małego czarnego punkciku. Próbował zebrać myśl i objąć swe nowe położenie. Ale myśl jego była nadto pod naciskiem, by mogła snuć się prawidłowo. Czuł on coś takiego, co czuje szczuty zwierz, gdy wreszcie schroni się przed pogonią na jakiejś niedostępnej skale lub w pieczarze. Nadszedł nareszcie dla niego czas spokoju. Poczucie bezpieczeństwa napełniało jakąś niewysłowioną rozkoszą jego duszę. Oto, mógł na téj skale poprostu urągać dawnemu tułactwu, dawnym nieszczęściom i niepowodzeniom. Był on naprawdę jak okręt, któremu burza łamała maszty, rwała liny, żagle, którym rzucała od chmur

na dno morza, w który biła fala, pluła pianą—a który jednak zawinął do portu. Obrazy téj burzy przesuwaly się teraz szybko w jego myśli w przeciwstawieniu do cichéj przyszłości, jaka miała się rozpocząć. Część swych dziwnych kolei opowiadał sam Folcombridge'owi, nie wspominał jednak o tysiącnych innych przygodach. Miał on nieszczęście, że ilekroć rozbił gdzie namiot i rozniecił ognisko, by się osiedlić stale, jakiś wiatr wyrwał kołki namiotu, rozwiewał ognisko, a jego samego niósł na stracenie. Spoglądając teraz z wieżowego balkonu na oświecone fale, wspominał o wszystkim, co przeszedł. Oto bił się w czterech częściach świata — i na tulańcze próbował wszystkich niemal zawodów. Pracowity i uczciwy, nieraz dorabiał się grosza i zawsze tracił go wbrew wszelkim przewidywaniom i największej ostrożności. Był kopaczem złota w Australii, poszukiwaczem dyamentów w Afryce, strzelcem rządowym w Indyach Wschodnich. Gdy w swoim czasie założył w Kalifornii farmę, zgubiła go susza; próbował handlu z dzikimi plemionami zamieszkującymi wewnątrz Brazylii: tratwa jego rozbiła się na Amazonce, on sam zaś bezbronny i prawie nagi tulał się w lasach przez kilka tygodni, żywiąc się dzikim owocem, narażony co chwila na śmierć w paszczy drapieżnych zwierząt. Założył warsztat kowalski w Helenie, w Arkanzas i — spalił się w wielkim pożarze całego miasta. Następnie w Górach Skalistych dostał się w ręce indyan, i cudem tylko został wybawiony przez kanadyjskich strzelców. Służył jako majtek na statku kursującym między Bahia i Bordeaux, potem jako harpunnik na wielorybniku: oba statki rozbiły się. Miał fabrykę cygar w Hawanie i—został

okradziony przez współnika w chwili, gdy sam leżał chory na „vomito.” Wreszcie przybył do Aspinvall — i tu miał być kres jego niepowodzeń. Cóż go bowiem mogło doścignąć jeszcze na téj skalistej wysepce? Ani woda, ani ogień, ani ludzie. Zresztą od ludzi Skawiński niewiele doznał złego. Częściej spotykał dobrych niż złych.

Zdawało się natomiast, że prześladowają go wszystkie cztery żywioły. Ci, co go znali, mówili, że nie ma szczęścia i tém objaśniali wszystko. On sam wreszcie stał się trochę manijakiem. Wierzył, że jakaś potężna a mściwa ręka ściga go wszędzie, po wszystkich lądach i wodach. Nie lubił jednak o tém mówić; czasem tylko, gdy go pytano, czyja to miała być ręka, ukazywał tajemniczo na gwiazdę polarną i odpowiadał, że to idzie ztamtąd... Rzeczywiście niepowodzenia jego były tak stałe, że aż dziwne i łatwe mogły zabić gwóźdź w głowie, zwłaszcza temu kto ich doznawał. Zresztą miał cierpliwość indyanina i wielką spokojną siłę oporu, jaką płynie z prawości serca. W swoim czasie na Węgrzech, dostał kilkanaście pchnięć bagnietem, bo nie chciał chwycić za strzemię, które mu ukazywano jako środek ratunku i krzyczyć: pardon. Tak samo nie poddawał się i nieszczęściu. Lazł pod górę tak pracowicie jak mrówka. Zepchnięty sto razy, rozpoczynał spokojnie swoją podróż po raz setny pierwszy. Był to w swoim rodzaju szczególniejszy dziwak. Stary ten żołnierz opalony Bóg wie w jakich ogniach, zahartowany w biędach, bity i kuty, miał serce dziecka. W czasie epidemii na Kubie, zapadł na nią dlatego, że oddał chorym wszystką swoją chininę, której miał znaczny zapas, nie zostawiwszy sobie ani grana.

Było w nim jeszcze i to dziwnego, że po tylu zawodach, zawsze był pełen ufności i nie tracił nadziei, że jeszcze wszystko będzie dobrze. W zimie ożywiał się zawsze i przepowiadał jakieś wielkie wypadki. Czekał ich niecierpliwie i myślą o nich żył lata całe... Ale zimy miały jedno za drugimi i Skawiński doczekał się tylko tego, że ubieliły mu głowę. Wreszcie zestarzał się—począł tracić energią. Cierpliwość jego poczyniała być coraz podobniejszą do rezygnacyi. Dawny spokój zmienił się w skłonność do roztkliwiania się, i ten hartowny żołnierz jał przeradzać się w bekse, gotowego załzawić się z lada powodu. Prócz tego od czasu do czasu tłukła go najstraszliwsza nostalgia, którą podniecała lada okoliczność: widok jaskółek, szarych ptaków podobnych do wróbli, śniegi na górach, lub zasłyszana jakaś nuta podobna do słyszaney niegdyś... Nakoniec opanowała go tylko jedna myśl: myśl spoczynku. Owładnęła ona starcem zupełnie i wchłoneła w siebie wszelkie inne pragnienia i nadzieje. Wieczny tułacz nie mógł już sobie wymarzyć nic bardziej upragnionego, nic droższego nad jaki spokojny kąt, w którymby mógł odpocząć i czekać cicho kresu. Może właśnie dlatego, że szczególne jakieś dziwactwo losu rzucało nim po wszystkich morzach i krajach tak, że prawie nie mógł tchu złapać, wyobrażał sobie, że największym ludzkim szczęściem jest — tylko nie tułać się. Co prawda, to i należało mu się takie skromne szczęście, ale tak już był zwyczajny zawodów, że myślał o tém, jak wogóle ludzie marzą o czemś niedoścignioném. Spodziewać się nie śmiał. Tymczasem, niespodzianie, w ciągu dwunastu godzin dostał posadę, jakby wybraną dla siebie ze wszyst-

kich na świecie. Nic téż dziwnego, że gdy wieczorem zapalił swoją latarnią, był jakby odurzony, że pytał sam siebie, czy to prawda i nie śmiał odpowiedzieć: tak. A tymczasem rzeczywistość przemawiała do niego nieprzepartymi dowodami; więc godziny jedna za drugą spływały mu na balkonie. Patrzył, nasyczał się, przekonywał. Mogłoby się zdawać, że pierwszy raz w życiu widział morze, bo północ wybiła już na aspinwalskich zegarach, a on jeszcze nie opuszczał swojej powietrznej wyżyny—i patrzył. W dole pod jego stopami grało morze. Soczewka latarni rzucała w ciemność olbrzymi ostrokrąg światła, poza którym oko starca ginęło w dali czarnej zupełnie, tajemniczej i strasznej. Ale dal owa zdawała się biegnąć ku światłu. Długie wiorstowe fale wytaczały się z ciemności i, rycząc, szły aż do stóp wysepki, a wówczas widać było spienione ich grzbiety, połyskujące różowo w świetle latarni. Przypływ wzmaczał się coraz bardziej i zalewał piaszczyste ławice. Tajemnicza mowa oceanu dochodziła z pełni coraz potężniej i głośniej, podobna czasem do huku armat, to do szumu olbrzymich lasów, to do dalekiego zmaconego gwaru głosów ludzkich. Chwilami cichło. Potém o uszy starca odbijało się kilka wielkich westchnień, potém jakieś łkania — i znów groźne wybuchy. Wreszcie wiatr zwał mgłę, ale napędził czarnych poszarpanych chmur, które przysłaniały księżyc. Z zachodu poczynąło dąć coraz mocniej. Bałwany skakały z wściekłością na urwisko latarni, oblizując już pianą i podmurowanie. W dali pomrukiwała burza. Na ciemnej wzburzonej przestrzeni zabłysło kilka zielonych latarek powieszanych do masztów okrętowych. Zielone owe punkciki to wznosiły się wyso-

ko, to zapadały w dół, to chwiały się na prawo i na lewo. Skawiński zeszedł do swój izby. Burza poczęła wyć. Tam na dworze ludzie na owych okrętach walczyli z nocą, z ciemnością, z falą; w izbie zaś spokojnie było i cicho. Nawet odgłosy burzy słabo przedzierały się przez grube mury, i tylko miarowe tik-tak! zegara kołysało utrudzonego starca jakby do snu.

II.

Zaczęły płynąć godziny, dni i tygodnie... Majtkowie twierdzą, że czasem gdy morze bardzo jest rozhukane, woła coś na nich wśród nocy i ciemności po nazwisku. Jeżeli nieskończoność morska może tak wołać, to być może, że gdy się człowiek zestarzeje, woła także na niego i inna nieskończoność, jeszcze ciemniejsza i bardziej tajemnicza, a im jest bardziej zmęczony życiem, tém milsze są mu te nawoływania. Ale by ich słuchać, trzeba ciszy. Prócz tego starość lubi się odosabniać, jakby w przeczuciu grobu. Latarnia była już dla Skawińskiego takim pół grobem. Nic jednostajniejszego, jak podobne życie na wieży. Młodzi ludzie, jeśli się na nie godzą, to po pewnym czasie opuszczają służbę. Latarnik też bywa zazwyczaj człekiem niemłodym, posępnym i zamkniętym w sobie. Gdy wypadkiem porzuci swoją latarnię i dostanie się między ludzi, chodzi wśród nich jak człowiek zbudzony z głębokiego snu. Na wieży brak wszelkich drobnych wrażeń, które w zwykłym życiu uczą stosować wszystko do siebie. Wszystko z czém styka się latarnik jest olbrzymie i pozbawione zwartych określonych kształtów. Niebo: to jeden ogół, woda: to drugi, a wśród tych

nieskończoności samotna dusza ludzka! Jest to życie, w którym myśl jest raczej ciągłym zadumaniem się, a z tego zadumania nie budzi latarnika nic, nawet jego zajęcia. Dzień do dnia staje się podobny jak dwa paciorki w różańcu, i chyba zmiany pogody stanowią jedyną rozmaitość. Skawiński jednak czuł się tak szczęśliwym, jak nigdy w życiu nie był. Wstawał świtanie, brał posiłek, czyścił soczewki latarni, a potem, siadłszy na balkonie wpatrywał się w dal morską, i oczy jego nie mogły się nigdy nasycić obrazami, które przed sobą widział. Zwykle na olbrzymim turkusowym tle widać było stada wydętych żagli świecących w promieniach słońca tak mocno, że aż oczy mrużyły się pod nadmiarem blasku; czasem statki, korzystając z wiatrów, które pasatami zowią, szły wyciągniętym szeregiem jedne za drugimi, podobne do łańcucha mew lub albatrosów. Czerwone beczki wskazujące drogę, kołysały się na fali lekkim łagodnym ruchem; między żaglami pojawiał się co dnia w południe olbrzymi szarawy pióropusz dymu. To parowiec z New-Yorku wiozł podróżnych i towary do Aspinvall, ciągnąc za sobą długi spieniony szlak piany. Z drugiej strony balkonu widział Skawiński jak na dłoni, Aspinvall i jego ruchliwy port, a w nim las masztów, łodzie i łódki; nieco zaś dalej białe domy i wieżyczki miasta. Z wysokości latarni, domki były podobne do gniazd mew, łodzie do żuków, a ludzie poruszali się jak małe punkciki na białym kamiennym bulwarku. Z rana lekki wschodni powiew przynosił zmieszany gwar życia ludzkiego, nad którym górował świst parowców. W południe nadchodziła godzina sjeisty. Ruch w porcie ustawał; mewy kryły się w szczyby skał, fale sła-

bły i stawały się jakieś leniwe, a wówczas na lądzie, na morzu i na latarni nastawała chwila niezmaconej niczém ciszy. Żółte piaski, z których odpłynęły fale, lśniły nakszałt złotych płam na obszarach wodnych; słup wieżowy odrzynał się twardo w błękicie. Potoki promieni słonecznych lały się z nieba na wodę, na piaski i na urwiska. Wówczas i starca ogarniała jakaś niemoc pełna słodczy. Czuł, że ten odpoczynek, którego używa, jest wyborny, a gdy pomyślał, że będzie trwały, to mu już niczego nie brakło. Skawiński rozmarzał się własném szczęściem, ale że człowiek łatwo oswaja się z lepszym losem, stopniowo nabierał wiary i ufności, myślał bowiem, że jeśli ludzie budują domy dla inwalidów, to dlaczegóżby Bóg nie miał wreszcie przygarnąć swego inwalidy? Czas upływał i utrzymywał go w tém przekonaniu. Stary zżył się z wieżą, z latarnią, z urwiskiem, z ławicami piasku i samotnością. Poznał się także i z mewami, które niosły się w załamach skalnych, a wieczorem odprawiały wiece na dachu latarni. Skawiński rzucał im zwykle resztki swego jedła, tak zaś przyswoiły się wkrótce, że gdy to czynił potem, to otaczała go prawdziwa burza białych skrzydeł, stary zaś chodził między ptastwem, jak pastuch między owcami. W czasie odpływu wyprawiał się na nizkie piaszczyste ławice, na których zbierał smaczne ślimaki i piękne perłowe konchy żeglarków, które odpływająca fala osadzała na piasku. W nocy, przy świetle księżyca i latarni chodził na ryby, które roiliły się załamy skalne. W końcu pokochał swoje skałę i swoją bezdrzewną wysepkę, porośniętą tylko drobnemi tłustemi roślinkami sączącemi lipką żywicę. Ubóstwo wysepki wynagradzały mu zresztą dalsze widoki.

W południowych godzinach, gdy atmosfera stawała się bardzo przezroczystą, widać było całe międzymorze, aż do Pacyfiku pokryte najbujniejszą roślinnością. Skawińskiemu wydawało się wówczas, że widzi jeden olbrzymi ogród. Pęki kokosów i olbrzymich muz układały się jakby w przepyszne czubiaste bukiety, tuż zaraz za domami Aspinvallu. Dalej między Aspinvall a Panamą widać było ogromny las, nad którym co rano i pod noc zwieszał się czerwona-
wy opar wyziewów—las, prawdziwie podzwrotnikowy, zalany u spodu stojącą wodą, oplątany ljanami, szumiący jedną falą olbrzymich storczyków, palm, drzew mlęcznych, żelaznych i gumowych.

Przez swą strażniczą lunetę stary mógł dojrzyć nie-tylko drzewa, nietylko rozłożyste liście bananów, ale nawet gromady małp, wielkich marabutów i stada papug wzbijające się czasem jak tęczowa chmura nad lasem. Skawiński znał zbliżka podobne lasy, gdyż po rozbiciu się na Amazonce, błąkał się całe tygodnie wśród podobnych zielonych sklepień i gąszczów. Widział, ile pod ich cudną, śmiejącą się powierzchnią ukrywa się niebezpieczeństw i śmierci. Wśród nocy, jakie w nich spędził, słyszał zbliżka grobowe głosy wyjców i ryki jaguarów, widział olbrzymie węże kołyszące się nakszałt ljanów na drzewach; znał owe senne jeziora leśne przepełnione dręt看ami i rojące się od krokodyłów. Wiedział, pod jakim jarzmem żyje człowiek w tych niezgłębionych puszczech, w których pojedyncze liście przenoszą dziesięciokrotnie jego wielkość, w których mrowią się krwiożercze moskity, pijawki drzewne i olbrzymie jadowite pająki. Wszystkiego sam doznał, sam doświadczył, wszystko sam przecierpiał; to też

tém większą mu teraz sprawiało rozkosz patrzeć z wysokości na owe *matos*, podziwiać ich piękność a być zasłoniętym od zrad. Jego wieża chroniła go przed wszelkiem złem. Opuszczał ją téż tylko czasami w niedzielę z rana. Przywdziewał wtedy granatową kapotę strażniczą ze srebrnemi guzami, na piersiach zawieszał swoje krzyże, i jego mleczna głowa podnosiła się z pewną dumą, gdy słyszał przy wyjściu z kościoła, jak kreole mówili między sobą: „Porządnego mamy latarnika.” — „I nie heretyk, chociaż *Yankee!*” Wracał jednak natychmiast po mszy na wyspę i wracał szczęśliwy, bo zawsze jeszcze nie dowierzał stałemu lądowi. W niedzielę także odczytywał sobie hiszpańską gazetę, którą zakupywał w mieście, lub newyorskiego „*Heralda*” pożyczanego u Folcombridge’a — i szukał w nich skwapliwie wiadomości z Europy. Biędne stare serce! na téj wieży strażniczój i na drugiej półkuli biło jeszcze dla kraju.... Czasem także, gdy łódź przywożąca mu codzienną żywność i wodę przybiła do wysepki, schodził z wieży na gawędę ze strażnikiem Johnsem. Potém jednak widocznie zdziaczał. Przestał bywać w mieście, czytywać gazety i schodzić na polityczne rozprawy Johnsa. Upływały całe tygodnie w ten sposób, że nikt jego nie widział ani on nikogo. Jedynym znakiem że stary żyje, było tylko znikanie żywności pozostawianej na brzegu i światło latarni zapalane co wieczór z taką regularnością, z jaką słońce wstaje rankiem z wody w tamtych stronach. Widocznie stary zobojętniał dla świata. Powodem tego nie była nostalgia, ale właśnie to, że przeszła i ona nawet w rezygnacyą. Cały świat teraz zaczynał się dla starca i kończył się na jego wysepce. Zżył się już z myślą, że nie opuści wieży

do śmierci i poprostu zapomniał, że jest jeszcze coś poza nią. Przytém stał się mistykiem. Łagodne niebieskie jego oczy poczęły być jak oczy dziecka, zapatrzone wiecznie i jakby utkwione w jakiś daleki, w ciążącym odosobnieniu i wobec otoczenia nadzwyczaj prostego, a wielkiego, począł stary tracić poczucie własnej odrębności, przestał istnieć jakby osoba a zlewał się coraz więcej z tém, co go otaczało. Nie rozumował nad tém, czuł tylko bezwiednie, ale w końcu zdawało mu się, że niebo, woda, jego skała, wieża i złote ławice piasku i wydęte żagle i mewy, odpływy i przypływy, to jakaś wielka jedność i jedna ogromna tajemnicza dusza; on zaś sam pogrąża się w téj tajemnicy i czuje ową duszę, która żyje i koi się. Zatonął, ukołysał się, zapamiętał — i w tém ograniczeniu własnego odrębnego bytu, w tém pół-czuwaniu, pół-śnie znalazł spokój tak wielki, że prawie podobny do pół-śmierci.

III.

Ale nadeszło przebudzenie.

Pewnego razu, gdy łódź przywiozła wodę i zapasy żywności, Skawiński, zeszedłszy w godzinę później z wieży, spostrzegł, że prócz zwykłego ładunku jest jeszcze jedna paczka więcej. Na wierzchu paczki były marki pocztowe Stanów Zjednoczonych i wyraźny adres „Skawiński Esq.” wypisany na grubém żaglowém płótnie. Rozciekawiony starzec przeciął płótno i ujrzał książki: wziął jedną do ręki, spojrział i położył napowrót, przyczém ręce poczęły mu drżeć mocno. Przysłonił oczy jakby im nie wierząc, zdawało mu się, że śni—książka była polska. Co to miało znaczyć!? Kto mu mógł przysłać książkę? W pierwszej chwili zapomniał widocznie, iż jeszcze na początku swój latarniczój karyery przeczytał pewnego razu w pożyczonym od konsula Heraldzie o zawiązaniu polskiego Towarzystwa w New-Yorku i że zaraz przesłał Towarzystwu połowę swój miesięcznej pensyi, z którą zresztą nie miał co robić na wieży. Towarzystwo, wywdzięczając się, przysyłało książki. Przyszły one drogą naturalną, ale w pierwszej chwili starzec nie mógł pochwycić tych myśli. Polskie książki w Aspinvall, na jego wieży, wśród jego samo-

tności, była to dla niego jakaś nadzwyczajność, jakieś technienie dawnych czasów: cud jakiś. Teraz wydało mu się, jak owym żeglarzom wśród nocy, że coś zawołało na niego po imieniu głosem bardzo kochanym, a zapomnianym prawie. Przesiedział chwilę z zamkniętymi oczyma i był prawie pewny, że gdy je otworzy, sen zniknie. Nie! Rozcięta paczka leżała przed nim wyraźnie, oświecona blaskiem popołudniowego słońca, a na nią otwarta już książka. Gdy stary wyciągnął znowu po nią rękę, słyszał wśród ciszy bicie własnego serca. Spojrzał: były to wiersze. Na wierzchu stał wypisany wielkimi literami tytuł, pod spodem zaś imię autora. Imię to nie było SkaWińskiemu obce; wiedział, że należy ono do wielkiego poety, którego nawet i utwory czytywał po trzydziestym roku w Paryżu! Potem, wojując w Algierze i w Hiszpanii, słyszał od rodaków o coraz wzrastającej sławie wielkiego wieszczą, ale tak przywykł wówczas do karabina, że i do ręki nie brał książek. W czterdziestym dziewiątym roku wyjechał do Ameryki, i w awanturniczém życiu, jakie prowadził, prawie nie spotykał polaków, a nigdy książek polskich. Z tém większą też skwapliwością i z tém żywiej bijącym sercem przewrócił kartę tytułową. Zdało mu się teraz, że na jego samotnej skale poczyną się dzieć coś uroczystego. Jakoż była to chwila wielkiego spokoju i ciszy. Zegary aspinvalskie wybiły piątą po południu. Jasnego nieba nie zaciemniała żadna chmurka, kilka mew tylko pławiło się w błękitach. Ocean był ukołysany. Nadbrzeżne fale zaledwie bełkotały zcicha, rozplywając się łagodnie po piaskach. W dali śmiały się białe domy Aspinvalu i cudne grupy palm. Naprawdę było jakoś

uroczyście a cicho i poważnie. Nagle wśród tego spokoju natury rozległ się drżący głos starego, który czytał głośno, by się samemu lepiej rozumiąć:

„Litwo, ojczyzno moja! ty jesteś jak zdrowie!
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,
Kto cię stracił. Dziś piękność twą w całej ozdobie
Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie...”

Skawińskiemu zbrakło głosu. Litery poczęły mu skakać do oczu; w piersi coś urwało się i szło naksztalt fali od serca wyżej i wyżej, tłumiąc głos, ściskając za gardło.... Chwila jeszcze; opanował się i czytał dalej:

„Panno Święta. co jasnej bronisz Częstochowy
I w Ostrój świecisz bramie! Ty, co gród zamkowy
Nowogrodzki ochraniasz z jego wiernym ludem!
Jak mnie dziecko do zdrowia powróciłaś cudem,
(Gdy od płaczącej matki pod Twoją opiekę,
Ofiarowany martwą podniosłem powiekę,
I zaraz mogłem pieszo do Twych świątyń progu,
Iść, za wrócone życie podziękować Bogu),
Tak nas powrócisz cudem na Ojczyzny łono....”

Wezbrana fala przerwała tamę woli. Stary ryknął i rzucił się na ziemię: jego mleczne włosy zmieszały się z piaskiem nadmorskim. Oto czterdzieści lat dobiegało jak nie widział kraju i, Bóg wie ile, jak nie słyszał mowy rodzinnej, a tu tymczasem ta mowa przyszła sama do niego — przepłynęła ocean i znalazła go samotnika na drugiej półkuli, taka kochana, taka droga, taka śliczna! We łkaniu, jakie nim wstrząsało, nie było bólu, ale tylko nagle rozbudzona niezmierna miłość, przy której wszystko jest niczem.... On poprostu tym wielkim płaczem prze-

praszał tę ukochaną, oddaloną, za to, że się już tak zesta-
rzał, tak zżył z samotną skałą i tak zapamiętał, iż się
w nim i tęsknota poczyniała zacierać. A teraz „wracał
cudem”—więc się w nim serce rwało. Chwile mijały je-
dna za drugą: on wciąż leżał. Mewy przyleciały nad
latarnię, pokrzykując, jakby niespokojne o swego stare-
go przyjaciela. Nadchodziła godzina, w której je karmił
resztkami swój żywności, więc kilka z nich zleciało z wierz-
chu latarni aż do niego. Potém przybyło ich coraz wię-
céj i zaczęły go dziobać lekko i furkotać skrzydłami nad
jego głową. Szumy skrzydeł zbudziły go. Wypłakawszy
się, miał teraz w twarzy jakiś spokój i rozpromienienie,
a oczy jego były jakby natchnione. Oddał bezwiednie ca-
łą swoją żywność ptakom, które rzuciły się na nią z wrza-
skiem, a sam wziął znowu książkę. Słońce już było prze-
szło nad ogrodami i nad dziewiczym lasem Panamy i sta-
czało się zwolna za międzymorze, ku drugiemu oceanowi,
ale i Atlantyk był jeszcze pełen blasku: w powietrzu wi-
dno zupełnie, więc czytał dalej:

„Tymczasem przenoś duszę moję utęsknioną,
Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych.

: : : : : : : : : : : : : : : :
: : : : : : : : : : : : : : : :

Zmierzch dopióro zatarł litery na białej karcie:
zmierzch krótki jak mgnienie oka. Starzec oparł głowę
o skałę i przymknął oczy. A wówczas „Ta, co jasnej bro-
ni Częstochowy” zabrała jego duszę i przeniosła „do tych
pól malowanych zbożem rozmaitem.” Na niebie paliły
się jeszcze długie szlaki czerwone i złote, a on w tych świa-
tłościach leciał ku stronom kochanym. Zaszumiały mu

w uszach lasy sosnowe, zabelkotały rzeki rodzinne. Widzi wszystko jak było. Wszystko go pyta: „pamiętasz?” On pamięta! a zresztą widzi: pola przestronne, miedze, łąki, lasy i wioski. Noc już! O tej porze już zwykle jego latarnia rozświecała ciemności morskie — ale teraz on jest we wsi rodzinnej. Stara głowa pochyła się na piersi i śni. Obrazy przesuwają się przed jego oczyma szybko i trochę bezładnie. Nie widzi domu rodzinnego, bo starła go wojna, nie widzi ojca ni matki, bo go odumarli dzieckiem; ale zresztą wieś jakby ją wczoraj opuścił: szereg chałup ze światelkami w oknach, grobla, młyn, dwa stawy podane ku sobie i brzmiały całą noc chórami żab. Niegdyś, w tej swojej wiosce stał nocą na widecie; teraz przeszłość ta podstawia się nagle w szereg widzeń. Oto znowu jest ułanem i stoi na widecie: zdala karczma ogląda płonącymi oczyma i brzmi i śpiewa i huczy wśród ciszy nocnej tupotaniem, głosami skrzypiec i basetli. „U-ha! U-ha!” To ułany krzeszą ognia podkówkami, a jemu tam nudno samemu na koniu! Godziny wloką się leniwo, wreszcie światła gasną; teraz jak okiem sięgnąć, mgła i mgła nieprzejrzana: opar widocznie podnosi się z łąk i obejmuje świat cały białawym tumanem. Rzekłbyś: zupełnie ocean. Ale to łąki: rychło czekać jak derkacz ozwie się w ciemności i bąki zahuczą po trzcinach. Noc jest spokojna i chłodna, prawdziwie polska noc! W oddali bór sosnowy szumi bez wiatru... jak fala morska. Wkrótce świtanie wschód ubieli: jakoż i kury pieją już w zapłociach. Jeden drugiemu podaje głos z chaty do chaty; wraz i zórawie krzyczą już gdzieś z wysoka. Ułanowi jakoś rześko, zdrowo. Coś tam gadali o jutrzejszej bitwie. Hej! to i pójdzie, jak

pójdą inni z krzykiem i furkotaniem chorągiewek. Młoda krew gra jak trąbka, choć powiew nocny ją chłodzi. Ale już świta, świta! Noc blednie: z cienia wychylają się lasy, za-
rosła, szereg chałup, młyn, topole. Studnie skrzypią, jak-
by blaszana chorągiewka na wieży. Jaka ta ziemia kochana,
śliczna w różowych blaskach jutrzni! Oj jedyna, jedyna.!!

Cicho! czujna wideta słyszy, że się ktoś zbliża. Zapewne idą złuzować warty.

Nagle jakiś głos rozlega się nad Skawińskim:

— Hej, stary! wstawajcie. Co to wam?

Stary otwiera oczy i patrzy ze zdziwieniem na stojącego przed sobą człowieka. Resztki snu widzeń walczą w jego głowie z rzeczywistością. Wreszcie widzenia bledną i nikną. Przed nim stoi Johns strażnik portowy.

— Co to?—pyta Johns—chorzyscie?

— Nie.

— Nie zapaliliście latarni. Pójdziecie precz ze służby. Łódź z San-Geromo rozbiła się na mieliźnie. Szczęściem nikt nie utonął; inaczéj poszlibyście pod sąd. Siadajcie ze mną, resztę usłyszycie w konsulacie.

Stary pobladł: istotnie nie zapalił téj nocy latarni.

W kilka dni później widziano Skawińskiego na pokładzie statku idącego z Aspinvall do New-Yorku. Biędak stracił posadę. Otwierały się przed nim nowe drogi tułactwa; wiatr porywał znowu ten liść, by nim rzucać po lądach i morzach, by się nad nim znęcać dowoli. To téż stary przez te kilka dni posunął się bardzo i pochylił; oczy miał tylko błyszczące. Na nowe zaś drogi życia miał także na piersiach swoją książkę, którą od czasu do czasu przyciskał ręką, jakby w obawie, by mu i ona nie zginęła...

www.libtool.com.cn

II.

NIEWOLA TATARSKA.

www.libtool.com.cn

NIEWOLA Tatarska.

Urywki z kroniki szlacheckiej Aleksego Zdanoborskiego.

I.

Pacholę jadąc przodem, albo-li téż za mną, pobrzdękiwało na teorbaniku, a mnie żalność i tęsknota za Marysią ściszały serce—i im daléj od niéj odjeżdżałem, tém ją miłowałem gorécéj. Przychodziły mi wonczas na myśl słowa: „post equitem sedet atra cura,” lecz gdy w tak wielkiém fortuny mojej uszczupleniu z J. W. Tworzyńskim mówić, ani mu się wypowiadać z afektów nie śmiałem, nie pozostało mi nic innego, jak szablą na nową fortunę zarobić i gloria militari się przyozdobiwszy, dopieroż przed nim stanąć. Bóg mi, ani Marychna moja serdeczna nie mogli wziąć za złe, żem tego wprzód nie uczynił. Gdyby mi ona kazała w ogień albo téż w wodę skoczyć, albo zgola krew przelać, Ty, Jezu Chryste, który patrzysz w serce moje, -widzisz, że byłbym to uczynił. Ale jednéj rzeczy, nawet dla wdzięcznéj dziewczeczki mojej nie mogłem poświęcić, a to honoru szlacheckiego. Fortuna moja była żadna, lecz zasię krwi zacność wielka, a po ojcach jakoby testamentem miałem przekazane, bym wiecznie uwa-

żył, iż gardło jest rzeczą moją i one wolno mi na szwank podawać, ale *integra rodu dignitas* jest puścizną przodków, którą mam oddać, tak jak ją wzięłem: *integram*. — Wieczny odpoczynek racz ojcom moim dać Panie, a światłość wiekuista niechaj im świeci na wieki wieków. Choćby J. W. Tworzyański dziewczkę swą oddać mi się był zgodził, nie miałbym jęj gdzie wprowadzić, gdyby zaś bacząc na szczupłość méj fortuny w dumie swéj *pauprem*, albo zgoła szarakiem mnie nazwał, tedybym się w rozumieniu o wyborności rodu mego czuł dotknięty i pomścić-bym się na nim musiał — czego, gdy on jest ojcem mojej Marysi, Panie Boże nie dopuść.

Owóz i nie zostało jak jechać na kresy. Rzędziki, pasy i co było lepszego po ojcach, częścią zastawiwszy, częścią przedawszy, zebrałem dukatów ważnych trzysta, które zaraz na prowizyą J. W. Tworzyańskiemu oddałem, potem łzami i ciężkiem wzdychaniem pożegnawszy Marysię, przez noc gotowałem się do drogi, a nazajutrz oba z pachółkiem obróciliśmy konie ku Wschodowi.

Wypadło jechać na Zasław, Bar do Haysynia. Po zamkach, dworach lub karczmach na noclegi stawając, dotarliśmy wreszcie do Umania, za którym step już otworzył się przed nami równy, bujny, głuchy. Pachólek, jadąc przodem, coraz to w teorbanik uderzał i pieśni śpiewał, a mnie się zdało że przedemną leci, jako ptak za którym gonię: sława—a za mną jako drugi ptak: tęsknota. Jechaliśmy do stannicy, zwanéj Mohylna, gdzie czasu swego J. W. ojciec mój, pułkownik z chorągwią pancerną strażował, którą był własnym sumptem na wojnę z bisur-

many wystawił; ale do Mohylnój jest bardzo daleko, bo chwalić Boga, Rzeczpospolita szeroko rozsiadła się po ziemi, i prócz tego, trzeba tam jechać przez stepy, na których dzień i noc myszkują Tatarzy i różni łotrzykowie, więc i szyi własnej strzedz bardzo wypada. Po drodze dziwowałem się wszystkiemu, jako, że pierwszy raz na Ukrainie będąc, same nieznane spotykałem sprawy i rzeczy. Ziemia to wojenna, lud téż w niej twardszy niż u nas i hardziejszy, a w chłopie fantazyja taka, jakiej szlachcicby się nie powstydził. Gdy osadą przejeżdżasz, choć poznażes urodzonym, ledwie ci czapki uchyli, a w oczy prosto patrzy. W każdej chacie jest tam i szabla i rusznica, a nie jeden chłop obuszek w ręku nosi, właśnie jako gdzieindziej ślachcic. Zawzięta téż natura jest w tych ludziach i nawet—za co ich szabla już karała i jeszcze pokarze—z komisarzów Rzeczypospolitej nie wiele sobie robią, taki bliskość pogaństwa i ciągła wojenna gotowość wyrobiły w nich animusz. Rolą niezbyt chętnie się parają, a jeśli któremu i płuży gospodarka, woli na swojém, niż na pańskiem osiadać. Za to do pocztów dworskich, albo i pod lekkie znaki Rzeczypospolitej chciwie się zaciągają i żołnierz, zwłaszcza do zwiadów i harców z nich wyborny, choć i w polu *non obtrectant*, ale krzyk wielki uczyniwszy, na nieprzyjaciela jako w dym idą, siekąc i koląc. Każda ich osada podobniejsza jest do taboru, niż do wsi;—koni mnóstwo trzymają, które na stepie zimą i latem się pasą, a są tak ściśle jak tatarskie. Wielu z nich także na *insulae* dniewprowe ucieka, i tam w siczy, żywot jakoby zakonny, ale wojenny i wcale rozbójniczy prowadzą, na którychto ich swawolach wiele ucierpiała i cierpieć jeszcze będzie, póki

ich nie poskromi miła ojczyzna nasza. Na miejscu—jakowemu szlachcicowi, a choćby i możnemu panu, trudno ich utrzymać, albowiem raz wraz się zrywają i w puste stepy, których tam dowolna, idą na własnej woli osiadać. Konstrukcyą ciała są zarówno jak i *moribus* od naszych chłopów odmienni, gdyż wysocy są i krzepcy, cerę mają śniadą, do tatarskiej podobniejszą, wąsy tak jak u wołochów czarne, łby zaś, modę od pogaństwa przejąwszy, gołą, na samym tylko czubie, srogi oseledec zostawując. Co widząc i rozważając dziwowałem się bardzo i téj ziemi i wszystkiemu co w niej jest, a jakom ją nazwał wojenną, tak téż i powtórzę, że krainy dla zbrojnego i konnego ludu przygodniejszej, próżnoby po całym świecie szukać. Gdy jedni zginą, drudzy ze wszech stron nadciągają, i po wszystkich szlakach, tak właśnie jakoby stada ptaków ciągną, a w onej pustoszy stepowej łatwiej usłyszyć niżli skowronka nad glebą, huk samopałów, szcęk szabel, rżenie koni, furkotanie chorągwi na wietrze i krzyki żołnierskie. Chodzą tam także, jak również na Podolu i Wołyniu, stare dziady, których wszyscy wielce szanują. Ci ślepi będąc, na lyrach grają i pieśni rycerskie *cantant*, przez co animusz i czułość na sławę bardzo kwitnie. Żołnierz téż tam widząc, że ci co dziś żyją, jutro gniją, na żywot własny, jakby na złamany grosz nie baczy, szafując krwią jako magnat złotem—i więcej o piękną śmierć niżli o życie lub dostatki dba doczesne. Inni wojnę nad wszystko umiławszy, choć nieraz z wielkiej krwi pochodząc, w ustawicznej żołnierce prawie dziczeją i na bitwę, jakby właśnie na wesele, z radością wielką i śpiewaniem idą; ale czasu pokoju przykrzą sobie wielce, nie znajdując zaś ujścia dla

swych wojennych umorów, spokojności powszechnej zagrażają. Tych straceńcami zowią. Gdy człowiek tam zginie, wszyscy poczytują to za rzecz zwyczajną i nawet najbliżsi nie bardo go płaczą, mówiąc, że lepiej przystoi mężowi na stepie, niżli w łożnicy jako niewieście konać. Jakoż tam jest najlepsza rycerska szkoła i zaprawa. Gdy pułk jaki młody w stannicy rok, albo-li téż dwa postoi, tak się jako turecka szabla wyostrzy, że potém ani rajtarya niemiecka, ani janczary furyi jego w równéj liczbie się nie ostoja, a cóż dopiéro inny podlejszy żołnierz, jako na przykład wołoski, lub wszelaki najemnik. O zwadę tam łatwo i téj unikać należy, gdyż cała ziemia roi się mężami zbrojnymi. Jadąc z pachołkiem napotykaliliśmy to poczty dworskie, więc panów Potockich, Wiśniowieckich, Kisielów, Zbarażskich, Jazłowieckich i Kalinowskich w różnych czarnych, czerwonych i pstrych barwach, to wojska komputowe, to chorągwie królewskie. Konie owych żołnierzyków szły po brzuchy w trawach, prychając jakoby płynęły we wodzie; rotmistrze oganiali chorągwie, jako psy owczarskie stada, kozacy bili w kotły, dęli w surmy i piszczałki, lub śpiewali pieśni, czyniąc gwar tak srogi, że bywało i przeszli i zniknęli, a jeszcze wiater niósł od ich strony rozhówr, jakoby właśnie od burzy dalekiej. Między pułkami ciągnęły także maże czumackie skrzypiące przeraźliwie, od których konie nam się płoszyły. Czumakowie owi, jedni sól z Limanu nad Euxinem biorą, drudzy aż do Palus Meotis z pomiędzy sprosnych pogan wracają lub z Moskwy, inni wino mołdawskie na Sicz wiozą, a żórawim ordynkiem jedni za drugimi ciągnąc, czasem łańcuch na milę w stepie tworzą. Napotykaliliśmy także ta-

buny wołów, wszystko jednéj siwéj maści o wielkich porozginanych rogach. Te stłoczywszy się, idą tak ciasno, iż kupę zbitą czynią i tylko lby rogate chwieją im się w obie strony. Za stannicą kisielową zaszła nam drogę rota z pod poważnego znaku usarskiego. Ludzie byli w pełnéj zbroi i taki szum szedł od ich skrzydeł, jakby od orłowych. Oczuśmy obaj z wyrostkiem nie mogli od nich oderwać, choć i trudno było patrzeć, bo słońce na zbrojach okrutnym blaskiem raziło powieki, a ostrza u podniesionych w górę kopij błyskały jakoby płomyki jarzących świec, pozawieszane w powietrzu. Ale serce nam rośło, usarze ci bowiem więcej byli podobni do roty królów niżli do żołnierzy, taka w nich *auctoritas* i taki majestat bojowy. Za stannicą kraj stał się głuchszy. Często po stepie błyskały nocami ogniska gońców kozackich, do różnych stannic rozsyłanych, lub też chłopów na pustkowiach uciekających. Nie zbliżaliśmy się do nich, własne mając zwyczaj niecić ognisko. Inni też czasem do nas przychodzili, bądźto zgłodnieli, bądź zabłąkani w stepie, a raz zbliżył się dziwny jakiś człek z twarzą całkiem zarosłą i do wilczej paszczęki podobną. Ujrzawszy go pacholę, krzycheć od wielkiego strachu poczęło, a ja sam, sądząc mieć sprawę z wilkołakiem, sięgnąłem już po szablę, by go ściąć. Gdy jednakże owo monstrum, miasto zawyć, pochwaliło Chrystusa, dałem mu spokój. Potém nieznamy opowiedział się tatarem z pochodzenia, ale katolikiem, czemum się nawet dziwił, bo ci, co są w Litwie, koranu się trzymają. Ów zaś dla żony wiarę zmienił, a późniéj służąc jako vexillifer w swoim ściahu, dla znajomości tatarskiego języka, z listami do Ordy od hetmanów litewskich był wysyłany. Ale

przecie pacholłkowi markotno było z nim spać przy jednym ogniu. Częściej téż noce spędzaliśmy samowtór śpiąc, albo i nieśpiąc, by na konie dawać baczenie. Nieraz układał się na trawie, patrzyłem w gwiazdki migocące w niebiesiech, rozważając sobie w duchu, że ta co najserdeczniej na mnie mruga, to właśnie moja Marysia. I in luctu miałem takową otuchę, że ona gwiazdka nigdy nie zaświeci innemu, ale wiary mnie dochowa, mając serce uściwe i duszę tak czystą, jako kropla łzy wypłakanéj w modlitwie przed Bogiem. Czasem przychodziła do mnie we śnie, właśnie jakoby żywa, a niejakiéj nocy przyszedłszy, rzekła, iż się za mnie modli i że jako jaskółka za mną poleci przez niebieskie przestworza, a zmęczy się, to na mojej glewii spocznie, a wciąż świegotać będzie do nieba o sławę i szczęście dla mnie. Potém rozplynęła się w parę, ja zaś, gdym się zbudził, myślałem: anioł był koło mnie, a co mnie przytém dziwiło, to, że i konie strzygąc uszami, prychały mocno, jakby czuły kogoś wedle siebie. Uważając takie zjawienie za znak łaski Bożej i za zachętę w imprezach, ślubowałem N. P. Maryi i Św. Aleksemu, memu patronowi, by łaskę ich i nadal zachować, nigdy grzechem śmiertelnym się nie zmazać. Modliłem się téż onéj nocy aż do świtania, czyli do pory odjazdu. Ruszaliśmy zwykle w dalszą drogę przed wschodem słońca, który to fenomen wcale w tamtych stronach piękniejszy jest niż u nas, bo gdy pierwsze promienie strzelą na równinę zroszoną chłodem nocy, to cały step dla mnogości kwiecia wygląda jakby bisior perłami tkany. Ztąd radość jest wszelkiemu stworzeniu. Dopióróż kuropatki, przepiórki, pardwy i inni ptacy stepowi smyrgając w gąszczy, strącają one perły

na ziemię. Ptastwa moc jest nieprzebrana w téj krainie. Napotykalіśmy co dnia to dropie chytre, to żórawie misterne. Te siedząc na ziemi, wyciągnąwszy szyje długie jakoby dzidy do góry, straż koło mogił w ordynku odprawują, gdy zaś po niebie z gęganiem okrutném lecą, to tak wysoko, że ich okiem nie sięgnąć. Czumakowie wielce je szanują, bo w locie kształtem krzyż święty przypominają. Żołnierze téż, licząc je szablami, szczęście sobie z ich liczby wróżyć zwykli, ale wedle mojego rozumu, to niema nic do rzeczy, bo co komu Pan Bóg w miłosierdziu swoim ma dać, to i tak da. Z innych ptaków są tu wrony, kruki, jastrzęby i orłowie, którzy pod zorzę wieczorną wielkie korowody nad mogiłami czynią, to siadając wieńcem na jakowej mogile, to zrywając się bez racyi z łopotem i krakaniem tak ogromném, a żałościwém, że uszy sobie zatykać trzeba. Zorze wieczorne czerwienią się tu mocniej niż u nas, a to z tego powodu, iż wiele krwi chrześcijańskiej rozlewają poganie, która to krew idzie do nieba i czerwieni się, wołając o pomstę. Mogiły téż tu, jak okiem sięgnąć, pokrywają całą krainę, a w nich leżą rycerze, czekając dnia sądu. Inni wszakże twierdzą, że rycerstwo to śpi tylko, ale rozbudzi się, gdy wyprawa wszystkich królów chrześcijańskich na pogan zostanie otrąbiona — co czy prawdą jest, nie wiem, ale tak mniemam, iż może się zdarzyć, bo w mocy Bożej jest wszystko.

Ziemia to jest mężów walecznych, którą kopytami końskimi depcą polacy, kozaki i tatarzy w ustawicznym harcu, jedni za drugimi zbrojno się uganiając. A tak całe pokolenia, jako one figurki w papierowém zapustném teatrum ukazują się i nikną. Wielu tam także dobrój

szlachty na zamieszkanie przychodzi, i ci chłopą z Korony lub téż miejscowego uzbierawszy, całe osady zakładają, bo choć tam żywot pod ciągłą grozą wojenną wieść trzeba, przecie taką już dał Pan Bóg narodowi naszemu fantazyą, że niebezpieczeństwa miasto go zrazić, lepem mu są właśnie i ponętą. Jakoż, gdy pacholę ślacheckie do lat dojdzie, trudno je w domu przy gospodarce, albowi téż na szkolnej ławie utrzymać, bo się jako białozór do lotu zrywa na kresy. Niejeden tam szyję traci, ale inny chudo-pacholek na pana wychodzi, jako już wielu wyszło, których dzieci na zamkach swoich żyją, poczty trzymają i senatorskie godności w Rzeczypospolitej piastują. Po bożej téż to jest myśli rycerskiemu człeku z roli i wojny na pana wyraść, a przytém przez takie osadzanie stepu, potęga Rzeczypospolitej się pomnaża. Z mazurów, który to naród bardzo jest mnożny i tak się właśnie jako pszczoły w ulu roi, najwięcej tam ludzi przychodzi. Ci step pługami orzą i w rolników chętnie się zmieniają, a w czasie wojny kupią idą, jeden za drugiego zginać gotowy.

Rozważając sprawy one, bardzom się radował, bom zrozumiał, że albo w bitwie polegnę, na co ślacheć, żołnierz chrześcijański zawsze *paratus* być winien—i wówczas koronę niebieską otrzymam—albo miłej ojczyźnie znaczne posługi oddawszy, ród mój do dawnego splendoru powrócę i ojców moich w niebie uraduję. Oni téż do fortuny dochodzili nie łożdrowaniem po dworach, ani krzykiem na sejmikach, ale krwią, życia fundamentem, a co dzierżyli, to od Rzeczypospolitej dzierżyli i dla niej téż nie żalowali, jako J. W. dziad i J. W. ojciec mój, z których kaźden okrytą chorągiew na wojnę z bisurmany wystawił. Niech im

za to Bóg da w niebie światłość wiekuistą, boć przystoi aby fortuna co z szabli przyszła, w szablę przetopiona została. A mnie choć tam serce za Marysią boli i wtrzosie wiatr świszczę, przecież dziedzicem jest sławnego imienia i wielkiej ambicyi ślacheckiej, kwoli której po nocach jakoby trąby i głosy jakieś słyszę, co na mnie wołają: „imię nieskalane zachowaj, ojcom dorównaj, złam się, nie zegnij!” Ty, Boże, tak mnie błogosław, jako imię przechowam: ojcom dorównam i pierwej się złamę, niż zegnę.

I tom sobie także przedsię zamierzył, że da-li mi Bóg szczęśnej chwili doczekać i po Marysię jechać, to przyjadę, ale nie w drelichu, jeno w złotogłowi, i nie w podartej czapce, ale w piórach strusich i nie z jednym pachołkiem, ale z pocztą i buzdyganem w rękę, jako paniątko po panienkę, jako możny rycerz po senatorskie dziecko. A wtedy bez ujmy dla honoru rodu mego J. W. Tworzyńskiego do nóg padnę, boć mu się nie jako panu o fortunę, ale jako ojcu o dziewczkę pokłonię. W ubóstwie zaś zgłosiłbym się po nią zaniechał, choćby mi się i dusza rozdarła, gdyż, jeśli miłując ją, żonę moję pragnę z niej uczynić, to na to, by w dostatku przed jej kochanymi stopkami proch zdmuchiwać, nie zaś, aby je miała bose, na ciernistej drodze żywota zakrwawić.

Coraz lepsza otucha wstępowała mi w serce, w miarę, jakeśmy się z pachołkiem głębiej w step zapuszczali. Jeno smętno tam było, bo pusto, ale tak przestrono, że człeku się zdaje, iż jest onym orłem albo jastrzębem. Trawy coraz wyższe po bokach końskich ci się kładą, jakby cię ze czcią witały, i szelest wielki sprawując, zdają się mówić: witaj żołnierzyku boży! Im dalej jednak, tém nie-

bezpieczniej, bo Mohylna jest ostatnią strażnicą chrześcijańską, żołnierz też tam codziennie do komunii świętej przystępuje, aby być zawsze na śmierć gotowym. Tatarzy to większymi oddziałami, to pojedynkiem ciągle się koło oniej stannicy kręcą, choć, gdy ich większa liczba przychodzi, łatwo człek doświadczony pozna, albowiem nocami okrutnie wilcy za nimi wyją; gdy zaś kosz większy idzie, to całe stada za nim ciągną, wiedząc, że na szlaku najdą dowolna ludzkiej i końskiej padliny. Inni mniemają wszakże, że bestye te, tatarskiego mięsa nie jedzą, przyjaciołmi tatarom będąc, którzy dla swój drapieżności i szpeznego pogaństwa, snadnie z dzikimi bestyami mogą być porównani.

Ale w tém myszkowaniu dziwne im się także trafiają przygody, bo gdy kozacy obok chorągwi pancernej w stannicy stojący, którego z nich ułowią, żadnego miłosierdzia nad nim nie mają, i okrutnie nad nimi zbytkują. W nocy raz obaczywszy płomień wielki na stepie, i ludzi koło niego, przybliżyłem się z pacholkiem, chcąc wiedzieć coby byli za jedni, a gdyby Bóg zdarzył, to i kilka strzałeczek między nich wypuścić. Ale byli to właśnie kozacy ze stannicy, którzy drzewo srogie na stepie zapaliwszy, powiązanych tatarów żywcem w ogień rzucali, tak każdym, jakoby worem rozmachując. Owi Ałły swego wzywali napróžno, od tych zaś, którzy się już piekli swąd wielki rozchodził się po stepie, a kozaczkowie jako złe duchy w ogniu skacząc, oddawali się radości. Kazałem im zaraz téj swawoli poniechać i jeńców, jako się godzi, szablami poprostu pościnać, na co odrzekli: „umykaj, aby znać i tobie tak nie było.” Dopiero poznawszy we mnie ślachcica, pozdejmowali czapki, a dowiedziawszy się, że do pułkownika pod

znak jadę, wieść mnie do stannicy się podjęli. Jechaliśmy tedy przez resztę nocy kupią i bez przygody, a po drodze jeden jeszcze dziw widziałem. Oto pewne miejsce na stepie całkiem było świecąciami insektami pokryte, które koło św. Jana są i u nas, ale nie w takiej liczbie. Tam zaś, jako okiem sięgnąć, tak migotały wśród ciemności na trawie, że rzekłbyś kawał nieba z gwiazdami jasnymi się oberwał i leży jak żyw na stepie. Świtaniem dopiero one gwiazdki świecić przestały, ale też i do stannicy nie było już daleko, jako i pianie kurów świadczyło, których wielką moc, żołnierze miłując ich wdzięczne śpiewanie, utrzymują. Wkrótce potem gdy rozwidniło się jeszcze lepiej, ujrzelśmy przy zorzy, kilkanaście żorawi studziennych, a wiać przyniósł do nas szczekanie psów i rżenie koni. Bliżej też ostrokołów usłyszałem pieśń: *Salve janua salutis*, która het po rosie się rozlegała, a była najgłośniejsza, bo ją trzystu towarzystwa, klęcząc na majdanie, pod gołym niebem śpiewało. Przyjechawszy, udałem się zaraz do J. W. Piotra Koszczyca, możnego ślachezca z Litwy, który tam pułkownikował i był żołnierz doświadczony, bo w długiej żołnierce, tak go pocięto, iż powiadano o nim, że mu poganie cały alkoran szablami na gębie wypisali. Rycerz to był wszelkich fortelów świadom i wielce Rzeczypospolitej zasłużony. Ten, jako jeszcze z ś. p. rodzicem moim miał znajomość, przyjął mnie zgoła jakby własnego syna i tegoż jeszcze dnia do znaku zapisał. Rzekli mi potem inni, iż w porę przybywam, gdyż wkrótce szarańcza od strony Krymu się wyroi. Jakoż dowiedziałem się, że groźby były wielkie i że po wszystkich stannicach grano larum, rycerstwo zaś w największej baczności było utrzymywane.

II.

Szliśmy, jako zwyczajnie komunikiem, gdyż kosz w ten tylko sposób dopędzonym być może. Gdyśmy we trzy godzin po południu za małe wzgórza, które pogańskimi mogiłami zowią, się dostali, szczęśliwém dla nas zdarzeniem, tumany, które całkiem od rana step zasłaniały, opadły nagle, przy saméj ziemi się trzymając. A chociaż jeszcze kosza dojrzyć nie było można, przecie po gwarze i ryku bydła, który ze mgły wychodził, poznaliśmy, iż stał niedaleko, kozacy téż wysłani na zwiady pod same wozy się podkradli i kilkunastu jeńców złapanych arkanami sprowadzili, ale tak srodze zbitych i poturbowanych, że choć zaraz na męki wzięci, *sanguinem* tylko miasto słów *oribus* wyrzucali. Dowiedział się jednak od nich J. W. wojewoda, że to jest kosz największy, w którym brat hana osobą swoją się znajdował i wielu znacznych murzów; odliczywszy zaś tych tatarów, którzy koni zapaśnych, wozów, jeńców i taboru pilnować muszą, ci którzy do bitwy użyci być mogli, czterekroć tylko liczniejsi od naszych wojsk byli. Co usłyszawszy wojewoda, zaraz począł nas na owych pagórkach do rozprawy szykować, nam zaś radość wielka wstąpiła w serce, albowiem widzieliśmy, że w téj propor-

cyi i liczbie tylko czterokroć większej, tatarzy mocy naszej oprzeć się nie mogą; ponieważ zaś tabor, a zwłaszcza wielka ilość wołów powolnych, utrudniała im ucieczkę, przeto już ująć przed naszymi szablami nie byli w stanie. Wiedzieli też i oni dobrze o nas i innej rady nie mając, także do bitwy po swojemu ustawiać się poczęli, cośmy zaraz poznali po odgłosie wielkiego bębna, który oni bali zowią i za święty poczytując, głosu jego we wszystkim słuchają. Wraz też i mgła poczęła rzednąć tak dalece, że coraz większą ilość buńczuków nad koszem się wznoszących oko dojrzyć mogło — a potem całkiem znikła. Wtedy ujrzelśmy czarne mrowie pogaństwa, koń przy koniu i mąż przy mężu kupą zbitą w kształcie sierpa stojących. Od której kupy zaraz harcownicy stadami poczęli się odrywać i latać na wszystkie strony. Inni tuż pod same chorągwie nasze podlatali, lżąc nas, wrzeszcząc okrutnie, machając rękami i wyzywając tych, którzyby gonić się z nimi chcieli. Ale wojewoda kozakom tylko wyjechać pozwolił, aby szyk przez ten czas do zupełnego ładu przywieść, co też i wprędce się stało, bo żołnierz po większej części był stary, doświadczony i sprawny bardzo. Stojąc więc w gotowości patrzyliśmy na harce i dziwne szarwaraki kozaków, którzy sobie najlepiej w pojedynkę z tém plugastwem radzić umieją. Goniono tedy na jeńca, albo i na ostre, ale choć chcieliśmy bardzo wiedzieć, jak pierwszy trup głową padnie, nie można tego było rozpoznać, bo padło odrazu kilka na wszystkie strony... Przywłókł też stary essaul kozacki jednego murzę, którego na arkan złapał pod same nogi wojewody, ale już zaduszonego, bo go włókł z półtorój stai, przyczem i twarz mu się całkiem o osty

stepowe podarła. Wzięliśmy jednak to sobie za dobrą wróżbę, a wojewoda, któremu téż już pilno było, kazał w surmy i kotły uderzyć, krzycząc: „począć! począć!” Orda odpowiedziała wrzaskiem okrutnym, które to odgłosy słysząc harcownicy zaraz umknęli z pola, na którym usarya miała teraz po staremu iść z całą nieprzyjacielską potęgą w zawód.

Wszystko wojsko stało, jako się rzekło na wzgórzach, gotowe wraz zerwać się na nieprzyjaciela, ale podo bało się fantazyi J. W. wojewody, starym obyczajem jedną chorągiew jako sokoła z obręczy naprzód puścić, aby ta, łamiąc wszystko po drodze, postrach i zamieszanie w szyskach nieprzyjacielskich rozniosła. Widzieliśmy tedy tę chorągiew idącą pod wodzą Babskiego jak na dłoni, ile że spuszczając się zwolna po pochyłości, przechodziła tuż koło nas. Ale gdy ukosem przeszli, konie wzięły już impet największy, aż ziemia gięła się pod niemi, usarze pochylili się w kulbakach i złożyli kopie. Powietrze warczało srodze, a wiaterek uderzył od nich na nas tak mocny, że aż pióra zatrzęśły się nam na szyszakach. Tak szli naprzód z szumem od skrzydeł i kitajek, właśnie jakoby burza, i znać było, że co im się oprze, to zetrą. Rotmistrze mieli rozkaz pomocy im żadnej nie dawać, póki by sobie gościńca na wylot przez pogan nie przebili. Patrzyliśmy na nich długo, bo ze dwie staje lecieli, a kurzawa ile że szli murawą nie była wielka. Po naszych chorągwiach, które jeszcze stały, cichość zrobiła się taka, że sły chać było bzykanie much i bąków. Każdy tylko oczy za tamtemi wytrzeszczał, a czasem koń zarżał, lub krew wietrząc szyję wyciągnął i chrapy otworzywszy, stękał żałośnie.

W koszu, między poganami zrobiło się wrzenie niemałe, a potem podnieśli krzyk: *Alla! Alla!* i wnet chmara strzał, jakoby ulewa lunęła na usarzy, dzwoniąc po pancerzach i harnaszach. Od nich téż doszło wołanie: „Jezus, Marya!” co było znakiem, iż wnet kopiami zderzą. Jakoż z pomocą Bożą dopadli i zderzyli z takim impetem, że pogaństwo rozwaliło się na dwie połowy, jakoby drzewo klinem rozszczepione, oni zaś szli środkiem, niby ulicą. Dopieroż ulica ta zawarła się z tyłu za nimi i mrowie pokryło ich zupełnie. Widzieliśmy tylko straszne kotłowanie a czasem koncerz błysnął, a czasem, gdy koń wspiał się pod mężem, ramię zbrojne; to znów proporczyk podleciał w górę jako ptak i spadł nadół. Z majdanu, gdzie nie było darni, wstała straszna kurzawa, a w niej kłębiło się i wrzało. Huk samopałów, wrzask okrutny i krzyki uszy nam prawie rozdzierały. U nas téż szmery poczęły chodzić przez całe choregwie, bo trudno było ustać na miejscu. Rwali się ludzie, a konie osadzały się na zadach. Poczęto mówić litanią za konających, gdy wtém wyrostek pewien ślachecki, zamiast: „zmiłuj się nad niemi” krzyknął: „widzę jeszcze proporce!” Wtedy żołnierze jednym głosem wołać zaczęli, by i im téż skoczyć za tamtymi było dozwolono. Zapał wielki i niepowstrzymany ogarnął całe szyki. Niektórym skry szły z oczu, inni od ochoty na krew pogańską, tak się właśnie jako panny płonili; inni, młodszy, służy okwite roniąc i ręce ku niebu wyciągając, powtarzali: „puście, abyśmy braciom naszym na ratunek iść mogli!” Ale pułkownik, ciszę wielką groźnie nakazawszy, rzekł, „iż nie przystoi rycerstwu, jako byle jakiéj milicyi, bez komendy uderzać i zbytniém łakomstwem cierpli-

wości rycerskiej kazić, co jeśliby który uczynił, końmi włóczony będzie.” Patrzyliśmy więc znów w milczeniu na onych ginących i na cały kosz, który się jako olbrzymi wąż, żeleźce w brzuchu mający poruszał i wił z boleści, pragnąc zdusić onę chorągiew, która w nim już tkwiła.

Tymczasem słońce zaszło i zorze rozpały się na niebie. Ale znać na komendę nie trzeba już było długo czekać, bo nagle druga chorągiew stoczyła się za pierwszą, niosąc zniszczenie, za nią trzecia i czwarta. Pod nawałą mężów zbrojnych i koni, począł się kosz kolebać, i widać było, że bezecny Mahomet runie w proch u stóp przeczystej Maryi. Wtém armata, której sześć sztuk nadciągnęło właśnie za nami, zagrała z majestatem i powagą wielką, łamiąc kulami końce kosza. Rotmistrze u nas poczęli starym obyczajem rękawy zawijać i buzdycanami groźnie potrząsać. Kolera bojowa uderzyła nam do głowy jakoby wino. Jaki taki wykrzyknął imię swego patrona, więc słyszałeś ustawnie: Święty Pietrze! Święty Janie! Święty Macieju!; jaki taki świętych poniechawszy, wołał: „bij, morduj!” Ja, grzeszny sługa Boży, akt strzelisty odmawiać począłem, a gdy go skończył i ku Maryi myśl się podniosła, to cud stał się nademną, bo nagle jaskółeczka jakowaś nad sterzącymi glewiami kółkiem się zakręciwszy, nagle na mojej usiadła i trzepiąc skrzydełkami, jęła powtarzać „ciwit! ciwit!” jakoby się za mnie modliła. Więc zaraz moc jakaś weszła w kości moje, aż włosy zjeżyły mi się pod hełmem. A wtém i czas nadszedł. Od wojewody przypadł służbowy i buńczukiem machnął, wnet rotmistrze do szeregów przypadli, pułkownik krzyknął: „bij psubraty, w imię Boże!” Konie osadziły się na zadach i powietrze zaświstało nam w uszach.

Wsparliśmy téż okrutnie pogan, którzy powstrzymać nas nie mogąc, jako kłos zżęty pod kopyta końskie padali. Przewracaliśmy po drodze ludzi, konie, namioty, ostrokoły. Trzask łamanych kopii, huczenie armat zgłuszył. Konie kwiczały w ciżbie. Po skruszeniu kopii, gdy nowe ómy nas opadły, poszło na szable i koncerze. Niejeden odłamkiem glewii grzmocił, lub pięścią zbrojną dusze z ciał wypędzał. Pióra usarskie ze skrzydeł i hełmów tysiącem wzbiły się w powietrze. Gorąco od stłoczenia ludzi i koni zatykało dech w gardzieli. Dopieroż poszły wrzaski ochryple, jęk trątowanych ludzi, pisk, świst szabel i strzał. Opór poganie dawali okrutny, ale już słabli, coraz gestszym trupem padając, i terror jał ich ogarniać. W zgiełku i zaślepieniu nie wiedzieli gdzie uciekać, wyjąc więc i rękoma głowy osłaniając, pod cięciami mieczów marli. Konie z jeźdzcami przez furę zdruzgotane, stosy drgające potworzyły, a my po ciałach onych i krwawej oślizgłości, siekąc, szliśmy przez tłumy ku wozom, z kąd lament jeńców pobranych, płacz przeraźliwy niewiast i wołanie ku niebu się rozlegało. Rzeź trwała już w ciemności, póki nie błysnęła luna od wozów, gdy je kozactwo zapaliło. Dym i skry buchały kłębami a w tych skrach i dymie bydło w taborze żałosnym rykiem napełniło powietrze; potem zasię tabór rozerwawszy, woły, owce, kozy, konie bez jeźdzców i wielbłądy zdziczałe ze strachu rozbiegły się jako uragan po stepie. Przy wozach największe powstało zamieszanie. Jedni łup w zgiełku brali, drudzy pęta jeńcom cięli, którzy ręce wolne poczuwszy, łamali palące się wozy i żagwiami gromili nieprzyjaciół. Szlochanie niewiast, wściekłość tém większą w żołnierzach wzbu-

dziło, więc i ci, którzy padając na twarz, ręce ku pętom wyciągali, pod mieczem marli. Znaczne oddziały, które z taboru wyrwać się nie mogły, choć o miłosierdzie wyły, w pień wycięto. Za temi, które wymknęły się z pogromu, pogoń poszła, a z nią i ja skoczyłem. Przed jednym uciekały całe tłumy; ręka od cięć mdlała, konie we krwi się ślizgały, dech ustawał w piersiach końskich. W ciemności cięto na oślep. Aż koń pódemną, pyskiem krew wyrzuciwszy, padł na murawę, a wraz i mnie jakoby sen zaczął ogarniać, bo mi z ran krew ciurkiem uchodziła. Siadłszy, chciałem się Bogu, albo Najświętszej Pannie polecić, gdy wtém step zakręcił się ze mną, *lucida sidera* podskoczyły na niebie i zemdlałem.

.

III.

. . . Poganin wedle języka naszego, jest jak gdyby bydlę, albo pies nieczysty, albowiem co jest nieczystego u ludzi, to i Bogu niemiło. A choć się bisurmanie lepszymi od chrześcian powiadają, przecie w głębi sumienia sami o swęj nieczystości wiedzą i gorliwie zmyć onę pragną, siedm razy na dzień wodą swe członki oblewając, czego by przedsię czynić nie potrzebowali, gdyby zatwardziałość ich w grzechu mniejszą była. U żadnego téż narodu, niewola tak ciężką nie jest, a to dla ich okrucieństwa i z téj przyczyny, że kościołów i księży chrześciańskich u nich niéma; gdy więc któremu z jeńców w grzech śmiertelny popaść przychodzi, ten w chwili śmierci, nie mogąc dostać rozgrzeszenia, potępionym snadnie być może. Z jeńcami srodze się téż obchodzą, co się i z przygód moich pokaże. Mają oni jedno święto zwane Bimek-bairon, przed którymto czasem, post miesiąc cały zachowują. Mahomet téż, prorok ich, aby bezecność swoją pozorami justycyi koloryzować, kazał im dnia tego niewolnikom zmniejszać lata niewoli, wysłużonym swobodę dawać, wszystkim zaś wyznaczać do jakowego terminu służyć mają, i obietnic pod przysięgą

dotrzymywać. A mają się te przysięgi odprawować we dwie godzin po północy, gdy ksiądz ich na wieżę, albo li tam gdzie więzy niéma, na wzgórze wejdzie i pocznie, palce w uszy włożywszy, wołać: *Lai Lacha i Lalach Mahomet Rossulach esse de Miellai, Lala i Lalach!* Przysięgają więc wtedy na książeczki zwane Hamaeli, na których szabla Alego, Mahometowego pomocnika u spodu jest wyobrażona, którą Delfikari zowią. Komu tedy na tę książeczkę przysięgną, bez pochyby przysięgę zdzierzą, ale tak są w oszukaństwie zaprawni, że nietylko niewolników ale i Boga swego oszukują, przysięgając na książeczki, które z mydła weneckiego *efficiuntur*. Taką przysięgę, mówią, pierwszy dészcz rozpuszcza i dlatego nic słowom ich wierzyć nie można.

Jeńców do Azyi, która zgoła jest inną częścią świata, sprzedają; pozostałym trzód strzedz każą, do robót ich używają, surowcem z byczój skóry biją i głodem morzą. Sami próżnowanie umiłowawszy, ledwo się do obmywania podnoszą, a przez resztę dnia na czerepach końskich, pokrytych kobiercami, siedzą i ręce bezczynnie na brzuchu trzymają, co najwięcej to się w prawo i w lewo kiwając. Na muzykę tylko bardzo są łakomi i głosu piszczałek, po całych dniach słuchać zwykli. Tych po dwie w gębę włożywszy, palcami na nich, jako na fletni przebiérają. Prócz tego mają téż multanki, kotły końską skórą obciągnięte, cymbały, tudzież krążki miedziane, wielki brzęk czyniące i kije długie, grzywą zdobne a dzwoneczkami okryte. Gdy na tych wszystkich instrumentach grać poczną, taki ztąd powstaje harmider, że psi wyją, oni zaś, ciesząc się, mówią, iż i ich uszom słodycz ztąd przychodzi i choroby ró-

żne przed owemi głosami precz od nich umykają. Pijaństwo jest u nich wielkie, bo choć wina pić im nie wolno, przecie się kobyłém skisłém mlekiem zalewają, które gorzej niżli wino do głowy idzie. A wtedy źli są i okrutni, tak, że jeńców zabijają, mękami ich wpoprząd zmorzywszy. Z chrześcijańskich narodów, Genuieńcykowie i Wenecyanie z nimi handlują, do różnych miast, które jeszcze starożytni, *scilicet Graeci* budowali, na nawach swych przybijając. Ci im nad wszystko lampki pergaminowe różnych kolorów przywożą, które oni łojem baranin napuściwszy i świeczki w środek zapalone włożywszy, na grobach i kościołach swych w nieskończonej liczbie wieszają i wonnościami kadzą. Od onych światel białych, różowych, zielonych i modrych, jakoby w powietrzu nocą wiszących, cudny jest widok, który każde oczy mógłby uradować, gdyby na chwałę Bożą był obrócony.

Ale oni właśnie wtedy sprośności dopuszczają się największych. Księża ich są zarazem czarownikami i ze złemi duchami w komitywę wchodzą. Gdy wyprawa wyjdzie na rabunek, oni to noce ciemne czynią, a dniem mgły wielkie podnoszą, aby kosz przed pogonią mógł ujść bezpiecznie. Ludu na Perekopie i w całym Chersonesie nie masz tyle, ile w Rzeczypospolitej mniemają, ale co jest, to wszystko do wojny się używa, nie zaś ze stanu tylko ślacheckiego. Na głód, chłód i trudy bardzo są wytrzymali, bo z młodu goło chodzą, od czego też skóra staje się na nich czarna. W bitwie jednak zbrojnym mężom dostać nie umieją, z której to przyczyny wojna ich na fortełach więcej niżli na mężtwie polega, i na tém, by napaść, złupić i coprędzej uciekać. Szczególniej na widok pan-

cernych serce tracą, mówiąc, że nawet i w czarach niema sposobu, aby się ich impetowi oprzeć. Każda téż chorągiew usarska napsuje ich w bitwie cztery i pięć razy tyle, ile sama liczy towarzyszów. Niewoli u kozaków gorzej śmierci nie pragną; ale potykać im się z nimi łatwiej. Tak téż mniemam, że Rzeczpospolita, gdyby chciała, mogłaby snadnie cały Krym zawojować, z Wenecyą w przymierze wszedłszy, któraby floty swoje na Pontus Euxinus wysłała, aby tureckich z pomocą nie dopuścić. Ale ponoś są u nas i tacy, którzy harce na stepie więcej, niżli bezpieczeństwo Rzplitej ceniąc, nie radziby, by się to stać miało. Tych Boże w ich ślepotcie oświeć.

Żywot tatarów i obyczaj bydlęcy jest i przy swojej gospodarce, albo raczej próżnowaniu; z głoduby im umierać przyszło, gdyby nie rabunek, który im bogactw wielkich dostarcza. Temu-to bogactwa owe zawdzięczają, które u nich widziałem, jako to: niezliczone trzody bydła, kóz płochych, koni ścigłych, wielbłądów byle co jedzących i owiec tłustych. Inny téż pod namiotami, albo w kamiennym rozwalonym ałusie trzyma złotogłów, pasy, rzędy końskie, kielichy, kobierce, broń sadzoną, korzenie i wonności, a wszystko bez ładu na kupę nałożone. Z którychto skarbów nijakiego pożytku nie mają, bojąc się, by z nich hanowi lub turkom, którym są podlegli, płacić nie przyszło. Sami w tołubach baranich, wełną do góry, chodzą. Ale co któren ma, to chowa i bogatym się powiada, od czego inni téż go szanują. O miastach, któreby sami zbudowali, nie słyszałem, a te co są, to z dawnych czasów pochodzą; Chersonesus bowiem drzewiej bardzo był zamieszkały, dopóki osad i mieszkańców tamtejszych różni po-

ganie nie starli. Kilka jednak miast zostało dosyć ogromnych i bardzo pięknych, ale oni i w nich barbarzyński żywot, jakoby w niechlujnych koczowiskach pędzą. Mnie zaś z wielą innymi ~~wzapróżdzeni~~ ^{zaprowadzili do} pewnej osady Kizlich zwanój, nad sam brzeg morski, gdzie strumień słony i mały *ad mare profundum* się sączy. Domy są tam budowane z ruin jakiegoś miasta, które, jak twierdzą, jeszcze Sauromati zburzyli. Ale kilka budowli jest bardzo pięknych, choć znacznie pokruszonych, które dawniej świątyniami były, dziś zaś tatarowie do nich owce i konie na noc zaganiają, jedną tylko w minaret obróciwszy. Z ziemi także wykopują czasem kamienne figury, tak misternie rzeźbione jakoby żywe. Tym dzieci tatarskie na głowach siadają, lub kamieniami członki tłuką. Za mną też dzieciaki owe gruzem i nieczystością rzucały, wołając *gaur! gaur!* Ale znosiłem to cierpliwie, zwłaszcza iż Aga Sukyman, jakoby po naszymu rzec: Salomon miasta tego *praefectus*, który mnie omdlałego znalazł i pojmał, z początku przystojnie się ze mną obchodził. Czynił to dlatego, iż zbroję piękną i szablę sadzoną na mnie wzięwszy, za znaczne go w narodzie naszym mnie poczytał i okupu się wielkiego spodziewał. Ja zaś bacząc, że szlachcicowi nawet i w niewoli i przed nieprzyjacielem zmyślać nie przystoi, wręczem mu to negowałem. Rzekłem więc, że jakkolwiek z przedniego rodu pochodzę, przecie fortuny żadnej nie posiadam i z okupem nikt po mnie jechał nie będzie. Czemu on w chytrości swój nie wierząc, tak do mnie po rusku mówił: „Ej wy Lachowie! każdego z was się chudopachołkiem powiada i okupu nie zaręcza, by was katować, za co sobie rozkoszy wielkie od waszego Boga w niebie obiecujecie.”

Owo więc i do Azji, jako wielu innych mnie nie sprzedał i prawie wolność mając zupełną, codzień nad brzeg chodziłem. Tam *in rupibus* siadłszy, wpatrywałem się w dalekość morską, jako turkus błękitną i myślom wodze puszczałem. Często też rzewnie płakał, bom rozumiał dobrze, że dola moja zamknięta już jest i przez nieszczęście przypieczętowana. Ani bowiem o posługach rycerskich dla miłej ojczyzny, ani o sławie, ani o Marysi myśleć nie mogłem. Przeto smutki ogarnęły mi duszę i cierpienie toczyło serce, i okrutna tęsknota wychodziła ze mnie ku Rzeczypospolitej i ku wszystkiemu com w niej utracił. Wolejby był na świat nie przychodził, wolej w bitwie zginął, wolejby mnie Sukyman odrazu na męki wydał, bo przynajmniej palnym otrzymał i dusznymi oczyma ujrzał to, za czem cielesne tęskniły. W boleści, końcam boleści nie widział. Co piątku, który to dzień u tatarów jest niedzielą, gdy inni jeńcowie wypoczynek od prac i mąk mieli, siadaliśmy przy strumieniu, w płakaniu sobie wzajem pomagając, a często śpiewaliśmy psalm: *Super flumina Babylonis*. Tak nam dzień schodził na rozpamiętywaniu i rozmowach o ojczyźnie, z których duszom pociecha była niemała. Zdarzyło się przytém, iż między jeńcami, którzy w Kizlich jarzmo niewoli dźwigali, sam jeden szlachcicem byłem; przeto rząd nad nimi niejako sprawując, ukrzepiałem ich dusze, aby nie znalazł się taki, któryby odstąpieniem od wiary prawdziwej, niedolę swą okupić pragnął.

Jakoż Bóg tego nie dopuścił. Mając też u tatarów dla spodziewanego okupu powagę, ulgi niejaki innym jeńcom przynosić usiłowałem. Czasem tedy część strawy

swój najgłodniejszym udało mi się oddać, czasem w robocie pomagałem, wody spragnionym przynosiłem, za ujmę sobie tego nie poczytując, gdyż, jeśli Pan Jezus prostych ludzi w urodzeniu i krwi upośledził, przecież koronę w niebie im obiecał, a przez to ich młodszymi braćmi naszymi stworzył, którym od stanu rycerskiego należy się obrona i opieka. Oni też z pokorą całowali moje ręce, chociażem im mówił, że niewolnikiem tylko na równi z nimi jestem, i że godzina taka może nadejść, w której mnie w większej jeszcze nędzy i upodleniu niż sami są teraz, oglądać będą. Czemu nie chcieli dać wiary, mówiąc: „Dla Boga! nie może to być!” Ale ja wiedział, że będzie, gdy Sukymanowi na okup sprzykrzy się czekać daremnie, i gotowałem się na wszystko najgorsze, co ciało spotkać mogło, gdyż dusza utraciwszy szczęście, była już w męce i boleści.

Jakoż Sukyman jednego dnia przyszedł do mnie i mówił: „Źle czynisz, iż za łaskawość moją, niewdzięcznością się wypłacasz, gdyż jako gościa cię traktuję, a ty znać w uporze trwasz; bacz tedy, abym cię pod kolana moje nie zgiał.” A tu wraz zamysły swe objawił i żądał, bym do Rzplitéj o tysiąc czerwonych złotych pisał, za którebym wolność mógł otrzymać. Czego ja uczynić nie mogłem, a to raz, iż tylko trzysta czerwonych złotych miałem, do których niewiele co z prowizyi przyrosło; powtóre, bałem się, aby J. W. Tworzyański *magnanimitate sua*, z własnej szkatuły za mnie płacić nie chciał, coby ambicyi mojej przeciwném było. Gdy jednak Pan spuścił strach w kości moje przed gniewem Sukymana, rzekłem mu, aby chwilę męki odwlec iż woli jego posłusznym być muszę. Jakoż da-

łem mu list, ale do jednego proboszcza, którego pod Kamieńcem miałem znajomym. Temu niewolę moję opisawszy, prosiłem go aby modlił się o wspomnienie dla mnie, które tylko z niebiesiech przyjść mogło. Uradowany w chciwości swój Sukyman, pismo owo przez tatarów, idących na jarmark do Suczawy wyprawił, dokąd także dworzanie od magnatów naszych po bakalie wyprawiani bywają. Sam zaś łaskawszym się jeszcze na mnie uczynił, i do ałusu swego, który w całym mieście najpiękniejszym był, mnie zaprosił. Był to zaś możny poganin i w narodzie swym bardzo poważany, tak dla swego męztwa, jak i dla fortuny, która w jednym tylko go upośledziła, a to, iż z wielu żon, żadnego syna nie spłodził, a córek pięć. Najstarszą z nich Iłłę, wielce dla jej urody miłował. Przyszło mi ją często widywać, albowiem tatarowie nie trzymają niewiast swych tak jak turcy w zamknięciu, ani też oblicza im pokrywać nie każą. Która też do stołu przychodziła, z początku ze strachem na mnie i ciekawością, jakby właśnie na jakoweś monstrum spoglądając. Potem zaś, gdy przyrodzona jej dzikość poskromioną została, często nie rzekłszy ni słowa, buklę ze skislém mlékiem ku wargom moim pochylała, lub gałkę z ryżu i baraniego łożu ukręciwszy, w gębę mi takową na znak swój przychylności kładła. Czemu Sukyman nie tylko się nie przeciwiał, ale i sam to czynił, gdyż obcując ze mną codzień, wielce mnie polubił, i częstokroć do porzucenia smutków namawiał. Przemennie też i innym jeńcom lepiej się działo, albowiem Iłła wszelkiej żywności obficie im dostarczała.

Z takowej przyczyny oni pokochali ją, i gdy wedle cysterny przechodziła, całowali szaty jej, orędowniczką

swoją ją zowiąc. Poganka téż owa, nietylko gładkie oblicze, ale i miłosierne serce miała, tak iż nieraz żał się robiło pomyśleć, że dla błędów wiary swój, zgoła potępioną być musi. Ku mnie zaś co raz więcej serca okazywała. Bywało, siadłszy skulona w kącie ałusu i tyftykiem się z głową owinawszy, po całych godzinach na mnie w milczeniu jako kot jarzącemi oczyma spoglądała. Spytałem ją tedy raz, czego się tak we mnie wpatruje, ona zaś rękę na czole, na wargach i na piersi położywszy, do nóg się moich pochyliła i rzekła. „Bakczy, niewolnicą twoją być pragnę.” I wraz uciekła, a mnie tymczasem żądzы grzeszne opadły, od których w żarliwój modlitwie obrony szukać musiałem. Tego jednak jeshchednia przyszedł do mnie Sukyman i tak się ozwał: „Zwiodłeś mnie listem swoim, za co powinien-bym cię katować, gdy jednak Allach synami mnie nie pobłogosławił, nad młodością i urodą twoją litość mam. Przeto ci powiem, iż jeśli błędy wiary swój porzucisz i proka naszego przyjmiesz, Iłłę, która cię miłuje, dam ci, synem cię swoim uczynię i wszystko co mam, twoje będzie.” Więc od wielkiego zdumienia pary zrazu z ust puścić nie mogłem, ale ochłonawszy odrzekłem mu, iż i szatan Chrystusa kusił, królestwa Mu różne z góry ukazując.

Rozgniewany temi słowy, ryknął jakoby zwierz dziki; zaraz szaty, jakie na sobie miałem zwlec mi kazał i wyszedł. Co, gdym uczynił, symarę zgrzebną mi niewolnik kałmuk przyniósł i wodę trzodom groźnie nosić polecił. A tak pamiętam, iż było to w poniedziałek, gdym do posług onych wziąć się musiał. Chodziłem w górę do strumienia, który u morza był słony, ze skórzanemi workami i tam wodę czerpiąc, do cysterny kamiennój ją wlewałem. Tatarki,

które prać chusty do strumienia także chodziły, poszczuły mnie psami. Wieczorem nie poszedłem jako poprzednio do ąłusu, ale spać się między wielbładami ułożyłem, a żem się uznoił, Bóg mi sen zaraz zesłał. Nagle zbudziwszy się, jakowąś figurę wiotką, ku mnie w świetle miesiąca idącą spostrzegłem. Przeżegnałem się, myśląc iż ducha widzę, ale to była Iłła, która naczynia z wodą i oliwą niosła. Potém nogi moje obmywszy i namaściwszy, w podle mnie w kuczki siadła, po dawnemu w milczeniu mi się przypatrując, z oczu zaś jój wielkie srebrne krople spływały. Rzekłem tedy: „Iłło, czemuś przyszła?” Ona zaś poczęła szemrać cicho, miesiącowi żrenice swe mokre oddając: „Bakczy, czemu mną pogardziłeś?” I od płakania więcej mówić nie mogła. Wówczas poruszyło się we mnie ku niej serce i chciałem ją do łona mego garnąć, ale zaraz Marysia bieluchna stanęła przedemną i grzeszna myśl precz odleciała. Rzekłem więc, że mężem jój, choćby dla jój wiary być nie mogę, która w oczach moich tém jest dla duszy ludzkiej, czém plugawa rdza na żelazie; ale więcej jój dać mogę, niżli wszystko, co od ludzi spotkać ją mogło, a to chrzest święty, któren ją z grzechu pierwotnego obmyje i zbawienie jój zapewni. Ona jednak w ślepotcie swój przejrzeć nie mogąc, z desperacją wielką za głowę się rękoma ułapiwszy, jak przyszła tak i odeszła. Na drugi dzień powróciłem do swojej pracy, która tém cięższą była, że jeść skąpo mnie dawali. Napotkałem téż i Sukymana. Ten rzekł: „Zegnę cię.” Na co odpowiedziałem: „Ciało moje tylko zegniesz, gdyż wiedz, że duszę ślachcicem będąc, mam nieugiętą.” Co usłyszawszy, ze zgrzytaniem zębów się oddalił. Tak mnie Bóg skarał

za ów symulowany list, bo gdybym go nie pisał, nie byłbym tak srodze Sukymana, odrzuciwszy jego córkę, przeciw sobie podniecił.

W piątek przyszli, jako zwykle niewolnicy rozmyślać, smutne pieśni śpiewać i rany myć. Ujrzawszy mnie w mojem upodleniu, z rzewliwym płaczem do nóg mi przypadli, krzycząc: „majestat pański został pohańbiony!” Ale ja tak nie mniemał, gdyż Chrystus, choć z królewskiego rodu będąc, większą jeszcze poniewierkę cierpiał, chcąc przez to stanowi ślacheckiemu okazać, że godność krwi zaczęj, nie cierpieniem, jedno strachem przed cierpieniem się kala. Jeńcowie zaś, wiedząc o kondycjach jakie mnie Sukyman dawał, wołali: „Udaj, panie, że proroka przyjmiesz, co jeśli pozorne będzie, duszy swój nie zgubisz, a tak synem możnego Sukymana zostawszy i sobie i nam ulgę przyniesiesz, bo twoimi niewolnikami będziemy.” Wtedy rzekłem im, iż gdy tak radzą, psom bliskimi być muszą, albowiem szczekaniem przeciw Bogu gęby swe plugawia, nie rozumiejąc, że nie godzi się bić choćby pozornie pokłonów przed fałszywymi proroki. Na to rzekli: „głowy my tu wszyscy położymy”—i w desperacyi trwali, Bóg bowiem nieurodzonym ludziom odmówił honoru i baczniejszymi ich na wygody doczesne uczynił.

Usłyszawszy o tém *praefectus* Sukyman, bardzo się rozniewał i głodem zgiać mnie postanowił. Zabić bowiem, ani sprzedać mnie nie chciał, bo mnie sam dawniej miłował i dla Ilły tego uczynić nie mógł, która, jako się później dowiedziałem, gdy się przeciw szyi méj odgrażał, szat jego z wielkimi prośbami się czepiała, w téj nadziei ojca utrzymując, iż umysł mój, kwoli ich chęciom, wkrót-

ce się zmieni. Przyszły tedy na mnie czasy wielkich utra-
pień i przewidywana godzina męki wybiła. Ale gdym po-
myślał o ojcach moich, o sławie i nieskazitelnosci imienia
które mnie zostawili, www.liternet.com.pl w serce moje.
Jedno więc o tém myślałem, by ślacheckiemu stanowi,
którego dignitatem w sobie nosilem, i którego jest Rzeczy-
pospolitój fundamentem, czemkolwiek w niewoli swój hań-
by nie przynieść. Rzekł mi Sukyman, chcąc, abym się
shańbił: „Z psami wolno ci jadać i to co im rzucać brać
możesz.” Nie chcąc, aby się to stało, żywiłem się tylko
szarańczą, którą na piaskach morskich znajdowałem. Cze-
sto też z początku żywność przy mnie, przez jakąś niewi-
domą rękę kładziona była, w czém domyślałem się Iłły.
Ale później strzeżono jęj, aby tego czynić nie mogła. In-
ne zaś czarownice tatarskie, nietylko że miłosierdzia na-
demną nie miały, ale raz zbiły mnie kijankami tak, iż ca-
łe moje ciało sine było. Jeśli więc szarańczy zbrakło,
głód cierpiałem. Czasem mi także niewolnicy figi po ta-
tarskich ogrodach zbierane przynosili, ale gdym ujrzał,
iż chłosty za to otrzymują, kazałem im tego poniechać.
Spoglądali na mnie ze łzami, powtarzając: „Panie nasz,
na co ci przyszło!” Niewola też, nietylko moja, ale wszyst-
kich, sroższą się stała, gdyż tatarowie wielką złością ku
nam zapłonęli. Jeden zasię kozak niebożątko, imieniem
Fedko na pal był wbity, na którym drugiego dnia dopiéro,
powtarzając: *Chrystu! Chrystu!* umarł. Nocą, zdjawszy
go z pala, pogrzebliśmy ciało w piaskach morskich,
o śmierć równie piękną Boga prosząc, za którą Fedko pe-
wnie w niebie przez Ojca Przedwiecznego był nobilitowa-
ny, i purpurą okryty, i do chwały najwyższej wyniesiony.

Rychło i ja już z ziemską powłoką moją rozstać się myślałem, albowiem miesiąc upłynął, jak się szarańczą żywiłem, która coraz rzadszą w piaskach była. Wychudłem i zczerniałem srodze i nogi chwiały się już podemną. Worry, gdym je w strumieniu napełnił, dzwigałem z jęczmieniem, aż wreszcie na barłogu podle zagrody dla wielbłądów siadłszy, ruszać się więcej nie mogłem. To one bestye, serca lepsze od pogan mając, wyciągały do mnie szyje swe zgięte przez płot i prychając nozdrzami, litowały się nade mną. Wszelako raz w nocy, nawpół we śnie, znowu Iłę widziałem, która wody i jedzenia mi przyniosła. Dla osłabienia wielkiego sypiałem i we dnie, a Bóg w miłosierdziu swém sny mnie o miłej ojczyźnie zsyłał i Marysia przychodziła do mnie także, cała w bieli i z anielskimi skrzydłami na plecach, któremi od spiekoty głowę moją osłaniała. Ona przychodziła zawsze w południe, w skwar wielki, a nad wieczorami, gdym bywał najsłabszy, słyszałem różne śpiewania z nieba dochodzące. Podobno czas jakiś byłem bez przytomności, bom świata ziemskiego nie widział, ale potem zdrowie wróciło, gdyż ujrzałem znów kupę barłogu, zagrodzenie dla wielbłądów i głowy onych zwierząt, ku niebu powyginane. Pewnego razu Sukyman przechodząc koło mnie rzekł: „poznaj moc sług proroka!” — na co odpowiedziałem: „poznaj cierpliwość sługi Chrystusa.”

Tymczasem nadeszło drugie święto: Czaczuk bayron. Tatarowie, gdy noc zapadła, pozapalali owe wspomniane lampki weneckie, któremi całe miasto ozdobili; potem łączywo każdy w ręku dzierżąc, na drogi wyszli i gromadami chodzili. A było to w pełnią samą. Więc oni ku miesiąccowi oczy zwróciwszy, wołali wielkimi głosami do swego

Boga i do swego proroka, bo taki u nich obyczaj, by przez całą noc chodzić i modlić się. Jałmużny wielkie też dnia tego czynią; więc niewolnicy usiedli także rzędami wedle drogi i o co który prosił z żywności, albo szat, to i otrzymał. Innym także lata służby zmniejszyli, a niejakiego essaulę, którego z wody tatarskie dziecko wyciągnął, wolnością obdarowali, bo mało co im się godzi w ten dzień odmawiać. Z tego powodu radość wielka między niewolnikami była, gdyż żaden głodu niecierpiał, ani plag nie otrzymał, ani śmiercią był karany. Sukyman przechodził koło barłogu na którym leżałem, a wedle niego szła Illa, ale bardzo dumnie, gdyż wcale na mnie nie spojrzała. Wszelako płacek jęczmienny z kosza wzięwszy, rzuciła mi go, w inną stronę spoglądając, którego w pobliżu siedzący niewolnik kałmuk porwał. Sukyman zaś myślał, iż razem z innymi będę zebrał, i byłby mi wonczas nie odmówił. Ale choć zdawna nic już w gębę nie brałem, nie zdało mi się rzeczą godną ślachcica na równi z pospółstwem ręce wyciągać, i wołałem głód, co mi szarpał wnętrzości, powietrzem tłumić. Mówił tedy Sukyman do innych: „Zaprawdę, żelazną duszę ma ten nieużyty człowiek i znać, trzeba go prosić, aby nad sobą miał litość, gdyż pychę swą nad wszystko przekłada.” I nie wiedział o tém poganin, że wtedy właśnie dusza moja w prochu i osłabieniu największém kładła się przed Panem, bo męka była prawie odemnie silniejsza. W nocy jednak ktoś znowu żywność koło mnie położył, którą chciwie zjadłszy, poczułem się mocniejszy. Zwlokłem się zaraz z barłogu i choć ręce i nogi mi drżały, począłem na nowo nosić wodę do cyster-ny. Szarańczy też Bóg przez dni następne zesłał obfitość,

a przytém głód mnie przyuczył jeść plugastwo morskie, które w kształcie swym szpetne, złe przecie nie jest. Żyłem tedy jako ptak z dnia na dzień, a gdym po brzegu morskim chodził, każda fala przynosiła do nóg moich, one ślimaczki marne, tak niemi jakby orzeszkami grzechocąc.

Noce poczęły być chłodne bardzo. Innym niewolnikom w ałusach chronić się dozwolono, ja zaś na moim barłogu sypiać musiałem, ale litościwe wielbłądy kładły się koło mnie, ciałami swemi i oddychaniem mnie rozgrzewając. Myślałem, że zimy nie przetrzymam i to była jedyna nadzieja moja, bo innéj przed sobą nie miałem. Ach! miła matko, miła ojczyzno, jakoże mi za tobą tęskno było— i za tobą dziewczeczko moja, której nie widząc, nietylko miłować nie przestałem, ale pragnąłem więcej jako wody w znoju, jako chleba w głodzie, jako śmierci w męce....

Wszelako Opatrzność różnemi sposoby czuwa nad temi, których doświadcza. Gdyby bowiem nie nędza i poniewierka w jakiej żyłem, mógłby mnie Sukyman do Carogrodu, lub do Galaty sprzedać, gdzie są wielkie niewolników targowiska, a teraz z powodu onéj mizeryi niktby mnie i darmo wziąć nie chciał, bo więcej do konającego człeka, lub do Łazarza, niż do rycerza byłem podobny. Mniejsza iż tylko smolna symara okrywała nagie członki moje, ale chudość moja żyjącym kościotrupem mnie czyniła, a przytém włos bujny wyrósł mi na brodzie i głowie, skóra popękała na całym ciele i pokryła się strupami i liszajami od wielbłądów. Inni za trędowatego mnie mieli i nawet w niewolnikach obrzydliwość wzbudzać począłem. Alem już ciało swe, powłokę marną, która jak każda odzież zedrze się i w szmaty popada, za grzechy

moje ofiarował, bo tylko dwie rzeczy trwałe być mają,
a to dusza nieśmiertelna i honor, który na urodzeniu się
fundując, tak pryncypalnym jest dla niej przymiotem, ja-
ko właśnie światłość dla gwiazd niebieskich.

www.libtool.com.cn

.
.

IV.

...Nadeszła wiosna i znowu cieplejsze słońce oświeciło nędzę moją. Tak zaś już do niej przywykłem, że prawie zapomniałem, iż są szczęśliwi ludzie na świecie. Bociany, pliszki, jaskółki i skowronki leciały stadami ku północy, a jam im mówił: „Ptaszyny marne! ach! mówcie Rzeczypospolitej i wszelkim stanom, że jako ślachcic patriota wytrwał, i choć tak mocno do ziemi przybity, choć tak nogami pogan zdeptany, przed Panem moim tylko płacę, a dla nieprzyjaciół dumne oblicze chowam i ducha w ucisku nie dałem.” Koniec mój nędzy był jeszcze daleki, ale wiosna owa zmiany i wróżby nowe przyniosła i dziwnych zapowiedzi była pełna. Na niebie nad Krymem zjawiała się różga gniewu Bożego, kometa, i sinem okiem mrugając, trzęsła ogonem na zatracenie Krymowi i pogaństwu. Przerażeni tatarowie z gwarem, brząkaniem i krzykiem po nocach chodząc, chmury strzał zapalonych z łuków ku niebu ciskali, aby zestrążyć onego ptaka złej wróżby. Księża im post ogłosili, czarnoksiężnicy przepowiadali plagi. Strach padł na serca ludzkie i nie był strach daremny, bo wieści doszły, że nad Palus Maeotis wybuchła zaraza. Wyprawy miały iść tej wiosny do

Rzeczypospolitej dwoma szlakami i nie poszły. Ludzie kupami w dzień na ulicy stojąc, rozmawiać głośno nie śmieli, a jedno oczy ku wschodowi zwracali, z kąd miał „czarny dziw,” jako go zwali, nadlecieć. Coraz to nowe wieści krążyły między ludem, aż wreszcie gruchnęło po Kizlich, iż mór już się w stolicy chanowej pokazał. Sam Chan ze stolicy uciekł. Jedni mówili, że się w góry, które są na południu, z żonami swemi schroni, inni, że do Kizlich, gdzie wiatry morskie czyszczą powietrze, przyjdzie.

. Przybył tedy Chan za poradą wróżbitów do Kizlich, pędząc przed sobą trzody okrutne, aby miał co jeść z dworem swoim. Praefectus Sukyman ze czcią go wielką podejmował, a ludzie na twarzy przed nim padali, bo go niewolnicy owi prawie za Boga i powinowatego ciałom niebieskim mają. Ordy niewiele było przy nim, jedno dwór i tysiąc baskaków i nieco hodźów i agów w żółtych tołubach, bo obawiano się aby w wielkiem nagromadzeniu ludzi łatwiej nie okazała się zaraza. Wędrowała ona po Krymie, głównie w tej części, którą Jenikalską zowią. Tam rzuciwszy się na jakowe miejsce, wzięła pogłównę, a inne ałusy minęła całkiem, gdzie zaś przeszła, tam nawet ptastwo padało. Ale do Kizlich o dwa dni drogi najbliższej przysła. Dziękował tedy Bogu Chan za ocalenie i szczerze wróżbitów obdarzył, a wielu też niewolnikom wolność darował. Ale właśnie, gdy inni *fructa* łaski jego zbierali, na mnie przysła ostatnia próba.

.

Pewnego razu przejeżdżając podług barłogu, na którym leżałem, bardzo blisko przyjechał, a spojrzawszy na mnie, pytał Sukymana, „co by to był” za człowiek tak nędzny. Ten, co odrzekł, nie wiem, widziałem jedno, że długo ze sobą rozmawiali i widać Sukymana na niewdzięczność i zatwardziałość moją się skarżał, gdyż w końcu rzekł głośno: „Spróbuj go, panie!” Czem zaciekawiony Chan, sam ku mnie koniem ruszył. Wnet dwa czaukczy lecieli przed nim, krzycząc: „na twarz psie niewierny!” ałem tego nie uczynił, choć mnie długimi trzciniami po głowie bić poczęli. Więc on władca zbliżywszy się pytał: „Czemu przedemną na twarz upaść nie chcesz?” Odpowiedziałem mu: „Panie, jeśli ślachcicowi przed własnym królem tego czynić się nie godzi, jakże chcesz, abym przed obcym i poganinem to czynił.” Tu Chan, odwróciwszy odemnie twarz, rzekł: „Roztropnie mówiłeś Sukymanie.” A potem do mnie: „Gdybym ci wybór dał, albo cześć mi oddać i na twarz upaść przedemną, za co wolnością byłbyś obdarzony, albo śmiercią okrutną umrzeć—co byś wybrał?” Na to odrzekłem, „że niewolnikowi wybierać nie przystoi, niechże więc uczyni ze mną co zechce, niech jednak baczy, że każdego najpodlejszego stanu człowiek, może śmierć okrutną zadać, ale majestat monarszy w woli Boga swoje *iniciu*m mając, wtedy Stwórcy najpodobniejszym się staje i najlepij swą potęgę oznajmia, gdy nie śmierć, ale życie dawa.” On zastanowiwszy się nad moimi słowy, tak potem mówił: „Jeśli niewolnikiem będąc, nie chcesz mi czci oddać, ani mię słuchać, tedy przeciw Bogu postępujesz, który niewolnikom posłuszeństwo przykazał.” Odrzekłem: „Ciało moje jest tylko w niewoli.”

Co słysząc tatarowie aż pobledli, ale on był cierpliwy, gdyż nie próżno nazywano go Roztropnym. Namysliwszy się tedy odjechał, ale odjeżdżając powiedział agom i czaukczom swoim: „Gdy w niewolę niewiernych popadniecie, temu człowiekowi bądźcie podobni.” Wtedy potem miałem spokój przez dwa dni i jeść mi przynosili. Inni zaś przychodzili nawet do mnie mówiąc: „Pan nasz cię nie zapomni; ale, gdy do łaski cię wyniesie, nie zapominaj o nas.”

Tak niewolnictwo upodliło serca tych ludzi, że w przewidywaniu zmiany fortuny mojej, jeszcze mnie na barłogu leżącego już sobie kaptowali. Ja zaś cieszyłem się w duszy, bom myślał, iż może wolność, a z nią i szczęście moje odzyszczę. Po dwóch dniach Chan przejeżdżając, znowu ku mnie konia zwrócił: „Rozwahałem — rzecze — słowa któreś rzekł, w mądrości mojej, i na wagach méj sprawiedliwości je położyłem. Znalazłeś za twoje męstwo łaskę u mnie; mów tedy, czego byś pragnął, abym dla cię uczynił?” — Odpowiedziałem, że w wolnym zrodzonym stanie, wolność najmilszymby mi była fruktem łaski jego. On spytał: „A gdy ci ję odmówię?” — Tedy daj śmierć! odrzekłem. On znowu się zastanowił, ile że chciał, żeby wszyscy podziwiali i sławili mądrość jego, iż nic bez namysłu nie przedsięwzię. A przez ten czas serce biło we mnie jakoby młotem. Namysliwszy się, mówił: „Gaurze! nie naciągaj łuku zbyt mocno, aby zaś nie pękł i ręki ci nie zranił; przeto ci powiem ostatnie słowa: złoty tołub ci dam, de dworu cię mego wezmę, dostatkami nagrodzę i koniuszym moim uczynię, odmiany wiary nie wymagając, byleś rzekł, iż z dobrej woli służyć mi będziesz.” Wtedy zadrgało mi serce zrazu radością wielką, ale wnet pomy-

ślałem, że to pokusy są może szatańskie, a potem jeszcze: co rzeknę ojcom moim, gdy mnie spytają: czem byłeś na świecie? Zali rzeknę onym rycerzom w boju poległym: koniuszym byłem z dobrej woli tatarskim. I okrutny strach mnie zdjął przed tém ojców pytaniem, większy niżeli przed męką i śmiercią; wyciągnąwszy tedy do Chana ręce wołałem: „Panie! woli ty mojej nie żądasz, bo wola z duszy wychodzi, dusza zaś nietylko wiary jest pamiętna, lecz i stanu w którym na świat przyszła, a stan ów od ojców wzięwszy, muszę im go odnieść nieskalanym.” „Niewolniku, złamałeś łuk” — rzekł Chan, i już widziałem, że godzina nadeszła, bo gniew począł występować na jego oblicze, ale się opamiętał i takimi do Sukymana ozwał się słowy: „Mądry Sukymanie! Zaprawdę, w łasce zadaleko z tym psem zaszedłem, a teraz ci przykazuję, byś go złamał koniecznie; ale nim życie mu weźmiesz, do tego męką go doprowadź, by nawet u twoich nóg w pokorze się czołgał.”

Wtém odjechał, a mnie zaraz z rozkazu Sukymana, kałmukowie porwawszy, przywiązali do pala. Co było ludu i niewolników, wszystko się zbiegło, aby patrzeć, jakie mi męki będą zadawane. Ja zaś duszę ku Bogu ze wszystkich sił wyteżywszy, o to najwięcej Go błagałem, by mi sił dodał i upodlić się nie pozwolił. I wraz poczułem, że modlitwa została wysłuchana, bo duch mocny na mnie wionął. I pomyślałem, że przedstawiciel jest téj siły krzyża, co się nie zgina, że ja tu poseł jest Rzeczypospolitej, na mękę od stanów delegowany, że ja tu żołnierz na ordynansie Chrystusowym *moriturus* i powołany, abym fundamentem życia mego świadczył o duchu, który jako ogień niebieski nie gaśnie. A pomyślawszy tak, choć nędzny, pro-

chem pokryty, głodem wychudły, beżsilny, taki niezmierny w sobie poczułem majestat, jakobym z wyniesienia na świat poglądał. Kałmukowie zaś siec mnie surowcem poczęli i wkrótce krwią spłynałem. Pytali mnie tedy: „padniesz twarzą?” Odpowiadałem: „ślachcicem polskim jestem.” Wtedy ci siekli mnie nanowo, inni zaś ognia wolnego pod nogami memi napalili, abym się piekąc, prędzej o litość zawołał. Jakoż począłem ustępować, ale nie duszą, jedno ciałem, bo omdłałość wielka rozeszła się po kościach moich i światłość dzienna bladła w oczach. Dopiero widząc że już śmierć nadchodzi, resztą sił podniosłem głowę do góry i zawołałem w stronę Rzeczypospolitéj: „widzisz-że ty mnie i słyszysz?” Aż tu nagle, jakoby przez całe stepy i Perekop, doszedł mnie głos: „widzę!” — w dalekościach coś się ćmić poczęło, niebo i powietrze zbiegało się do kupy, z czego niewiasta ze słodkiem obliczem wypłynęła i stanęła koło mnie. Ogień przestał mnie parzyć, surowiec nie świstał już nademną i poczułem, że lecę na rękuną niewiasty niesiony. Ona zaś ku niebu leci, a z nią roje aniołków śpiewających: „nie w kontuszu, nie przy karabeli, ale w ranach? Rycerzu, rycerzu w boju mężny, w męce cierpliwy, Chrystusów Palladzie cichy, krwawej ziemice synu wierny, witaj w spokoju, witaj w szczęściu— w weselu, w weselu!”.... I tak lecieliśmy ku niebiosom, a com tam ujrzał, tego już grzeszne usta moje ziemskim uszom opowiedzieć nie mogą.

V.

.
.
....Wóz skrzypiał podemną i wiatr obwiewał mnie
świeży a chłodny. Otwieram oczy — Kizlich nie widzę:
step jedno, step jako morze. Więc przymknąłem powieki,
myśląc, że sen mi jasłeczka jakoweś wyprawuje. Spojrzę
znowu: twarz starą Chimka, marszałka Tworzyańskich
przy sobie widzę, a za nim luzaków kilku. Ten zaśię mó-
wi: „Bogu niech będzie chwała, jużes nam Waćpan oprzy-
tomniał.” Pytam: gdzie jadę? — Do Rzeczypospolitěj —
Wolny-m jest? — Wolny. — Kto mnie wykupił? Panien-
ka. — Gdy rzekł: „panienka,” tedy coś, jakby ogromne płą-
kanie porwało mi się z piersi, ręce wyciągnąłem, omdlałem.

Wóz skrzypiał podemną. Gdym oprzytomniał dzień
później, wszystko mi Chimek powiadał. Oto J. W. Two-
rzyański na lepszy już świat z tego lichego się przeniósł,
a Marysia dziedziczką jego zostawszy, przy wuju swym
prałacie mieszkała. Tam ich wieść o méj niedoli i mę-
kach doszła, tam ona wujowi do nóg padłszy, afekt ku
mnie wyznała i z wolą jego od Sukymanowój mocy mnie
wykupiła.

Chimek Chana już w Kizlich nie zastał, któren, gdy zaraza przeszła, do miasta zwanego Eupatoria wyjechał, a Sukyman za umarłego mnie mając, za trzysta czerwonych złotych, co ze mnie zostało, odprzedał.

Chimek téż myślał, że raczej umarłego dowiezie, bo przez dwie niedziele o bożym świecie nie wiedziałem, ale przecie Bóg mi życie powrócił.

Co wszystko słysząc i wyrozumiałwszy, że za przyczyną dziewczeczki mojej z niewoli pogańskiej zostałem wykupiony, rzewnie płakałem i takie sobie w duszy śluby czyniłem, aby dziewczkę oną miłosierną miłować i strzedz po wiek żywota mego. I teraz mi się zdało, jakoby mój pobyt w Krymie i niewola u Sukymana i wycierpiane męki snem były. Takto Opatrzność sprawy świata tego urządza, iż *in tempore* wszystko mija, a jedno *in memoria* zostaje, z tą wszelako odmianą, iż im sroższe były przygody, tém o nich wspominać miléj. A w ten sposób nie tylko *acti labores*, ale i *dolores jucundi* się stają. Że zaś człeka stanu rycerskiego Bóg czasem ciężko dojmie, to mu i sił doda, a jeśli życia pozbawi, to i tak nagrodzi. Mnie zaś anioła wybawiciela w Marysi mojej zesłał i pohańbić mi się w próbach nie pozwolił....

Jedno gdym się w nocy budził, albo ranek zaświtał, ocuciwszy się ze spania, powtarzałem sobie, że do ojczyzny jadę i Marysię widzieć będę. Co myśląc, na koń zaraz chciałem siadać, ale Chimek nie pozwalał, ile że siły żadnej jeszcze we mnie nie było. Leżałem tedy na wznak na wozie, jakby wór jaki,—i tak dojechaliśmy do Mohylnej. Tam, gdy mnie starzy towarzysze ujrzeni, sypnęli się ku mnie jakby pszczoły z ula wołając: „Wiemy o tobie

wiemy! witaj towarzyszku miły!" i patrząc na nogi moje, na których węgielki gęsto osiadły, łzami się zalewali, a jeden drugiemu powtarzał: „Czołem przed nim, bo ten jest rycerz między nami najprawdziwszy!” Potém zaś zaczęli mnie dawać, co który miał, albo z łupów zdobył: więc bachmaty z rzędami, namioty jedwabne, szable drogimi kamieniami sadzone, cekiny włoskie i tureckie, tyftyki, olstra, handziary bogate, naczynia srebrne albo zgoła złote, błamy sobole, a inny turkusów garść lub rubinów, a inny zapięcia dyamentowe, tak, że na kilka tysięcy czerw. złotych skarbów mi zsypali, które na pięć wozów trzeba było zabierać. Co czynili z dobrego serca, ale tém łacniej iż na wojnę właśnie szli, na kozaków, Łoboda bowiem i Nalewajko poczęli rozruch na Ukrainie, za który Żółkiewski ich gromił. Potém jechaliśmy dalej. Często różne oddziały wojska nas spotykały, a niektórzy żołnierze zbliżając się pytali: „kogo wieziecie?” Na co Chimek odpowiadał: „ślachcica w niewoli poszczerbionego.” Po których słowach nietylko każdy zostawiał nas w spokoju, ale jeszcze, czém kto mógł, darzył. Spotkał też nas za Kijowem i sam Żółkiewski, który pochód na Perejasław symulując, przez Dniepr się przeprawić pragnął. Usłyszawszy ów wojownik sławny, co mnie w niewoli spotkało, rzekł: „Mniejszych starostwami nagradzają, o czém do króla Jegomości pisać będę.” I pierścień mnie kosztowny podarował, który dotąd na palcu noszę. Serce mi też rosło na widok jego wojsk, te bowiem lubo nieliczne i ustawiczną pogonią znużone, tak były sprawne i ochocze, że w żadnej bitwie nieprzyjaciel pola im dotrzymać nie mógł.

Patrząc na tych ludzi poczerniałych od wiatru, którzy sypiali na murawie stepowej, nie jadaliby po dwa i trzy dni, nie zrzucali nawet i na noc pancerzy, rany prochem zasypywali, a przecież fantazyją mieli bohaterską, uczyłem się pokory i myślałem: nie słusznym byłbym się w pychę wzbijał i o zasługach moich wiele mniemał, gdy ci w trudach takowych, nic sobie z nich nie robią i jeszcze śpiowają weseli, jakoby nie rozumiejąc, iż są bohaterami. O! jakże mnie żal było, że nie mogłem na konia sieść, ani pancerza i kopii dźwignąć, ani z nimi jeździć! ale jeszcze sobie węgielki ze skóry obłupywać musiałem. Rozkoszy też wielkie były wówczas na Ukrainie dla wszelkiej duszy rycerskiej. Co noc było widać łuny, a słyszeć surmy bojowe. Żółkiewski jako orzeł z panem Potockim wojewodą kamienieckim po stepach krążył, Rożyński kniaź koło Pawłowoczy gromił, Jazłowiecki harce zwodził, Nalewajko, Łoboda i Sasko z czernią jako wilcy pomykali jarami. Raz też mnie czerwona pijana winem mołdawskiem opadła. Tym po staremu Chimek rzekł, iż ślachcica poszczerbionego wiezie, oni zaś iskier wielkie mnóstwo, aby mnie w nocy poznać, poczęli krzesać i do Kremskiego mnie zawiedli. Tam gdy łuczywo rozpalili, poznał mnie jeden kozak essaul, którego ze mną w Krymie był i na Czaczuk-bayron został uwolniony. Począł tedy krzyknąć: „Pane! pane!” a potem: „świętego to lacha wiozą!” i do nóg moich przypadł, gdy zaś Kremskiemu opowiedział, jako im w niewoli pomagałem, inni też z czapkami do mnie przyśli, których zaraz zgromiłem, iż w posłuszeństwie Rzeczypospolitej nie trwają—Kremski zaś nie tylko że gardła mi nie odjął, ani też nic mi nie zabrał, ale jeszcze obdarzywszy, strażę

mi dodał. Takto w mezu wojennym nieprzyjaciel nawet rany i meztwo uczcić potrafi, za co wreszcie Bóg pewno Kremkiego zbawieniem wynagrodził, który też nie był takim Rzplitéj nieprzyjacielem, za jakiego go mieli....

Na całej Ukrainie, ba w całej Rzplitéj wrzało jakby w ulu i dużo klęsk Bóg na ziemie nasze spuścił, ile że przy wojnie szła i piekielnica zaraza. Gdy *animus* innemi sprawami był zajęty, mało kto na nią zważał, ale ja ją własnymi oczyma z wozu oglądałem. Szła ta zaraza nie ławą, ale jako i w Krymie, miejscami ludzi napadając, pojedyncze miasteczka, wsie i osady zabierała. Byli też tu i owdzie burmistrze powietrzni mianowani, a po osadach kupy się gnoju paliły, dymiąc smrodliwie i obficie, którego zapachu zaraza znieść nie może. Nocami parobcy smolni pilnowali onych kup, by nie zgasły. Lud w przewidywaniu klęsk procesyę czynił, na których chorągwie z trupami głowami bywały noszone. Bóg przytém ślepotę jakowąś na ludzi spuścił, bo i zgody między możnymi nie było, którzy miasto na koń siadać, jako poprostu i ućciwie można było uczynić, sejmy sprawami swemi mącili. Nieprzyjaciel gromadził się na granicach, a siły były dziwnie rozstrzelone; w czém zawsze było nieszczęście nasze, bo gdyby wszystka szlachta i możni do boju zgodnie się zerwali, tedyby *orbis terrarum* przed nami zadrżać musiał. Co mówię dlatego, że nie masz żołnierzy, którzyby kopijnikom naszym opór dać mogli, a jakom widział potem i janczarów tureckich i piechotę szkocką i szwedzką rajtaryą przez nich łamaną, tak twierdzę, iż przyrodzenie hojniej nas w wojenną spcsobność, niżeli innych opatrzyło. My jednak stawiamy tysiąc ludzi, gdzie inni stawiają dziesięćkroć.

Czemu się zaś tak dzieje, tego arkanów chyba w woli Bożej szukać trzeba, gdyż każdemu łatwiejszém się powinno wydawać na koń sieść, niż zawieruchy językiem czynić. I chwała ztąd większa i zabłakanie *animi* mniejsze i zasługa doskonalsza i zbawienie pewniejsze.

Człowiek przechodzi jako podróżny po świecie, więc o siebie nie powinien dbać, jedno o Rzeczpospolitą, która jest i ma być nieustającą. Amen!

.
.

. . Święty Boże, Święty mocny, Święty a nieśmiertelny, bądź pochwalony w dziełach Twoich. Kędy oczy moje łzami zalane obróce, tam Cię widzę, a kędy Cię widzę, tam Cię wyznawam. Tyś na firmamencie ognie niebieskie zawiesił, Ty słońcu z morza wstawać każąc, dzień na górach i dolinach czynisz. Na chwałę Twoją bory szumią i trzody po polach dzwonią; na chwałę Twoją wojska po stepach ze rzeniem koni jeżdżą i wszelka ziemską rzeczpospolita cześć Ci oddawa. A iżeś mnie służyć swego opuścił i szczęścia mnie pozbawił i w tém bądź pochwalony! Na wojnach zbiegł wiek żywota mego i w trudzie pobielały mi włosy. Tam, Panie, gdzie działa ogniem śpiewały majestat Twój, a w dymach grzmiało imię Twoje, tam byłem. I na Multanach i na Inflanciech płynęła krew moja, a dziś jestem stary i przygasłe źrenice ku ziemi się już zwracają, a ciało wiecznego spoczynku pragnie. Nie ziemskie dobra, nie bogactwa, honory i godności na tamten świat ze sobą poniosę, bom oto ubogi jest jak byłem. Ale Ci, Panie, tarcz moją pokażę i powiem: „patrz — nie splamiona, a splamiona, to jedno krwią moją. Imię-m nieskalane przechował, ducham nie poddał—i gnąc się z bólu — przeciwnie się nie złamał.”

Na tém kończą się urywki z pamiętnika Aleksego Zdanoborskiego. Okazuje się z téj kroniczki, iż ów „książę niezłomny,” który koniuszym tatarskim nie chciał zostać, życie miał bólów pełne. Zgodnie z duchem czasu do imienia wielce był przywiązany. Z Maryą, jak to z pobieżnej wzmianki końcowej widać, rozdzieliły go losy. Zapewne téż wcale się już nie ożenił. Jakoż ze wszystkiego domyślać się godzi, iż ślachcic ten umarł bezpotomnie i był ze swego rodu ostatnim.

www.libtool.com.cn

III

1915 12 1 日

www.libtool.com.cn

III.

„J A M I O L.“

www.libtool.com.cn

LIBRARY

47

JAMIOŁ.

OBRAZEK WIEJSKI.

■ miasteczku Łupiskórach, po pogrzebie Kalikstowój były nieszpory, a po nieszporych zostało jeszcze kilka-
naście bab w kościele, by odśpiewać resztę pieśni. Była
godzina czwarta po południu, ale że w zimie o czwartej
mrok pada, w kościele więc było ciemno. Szczególniej
wielki ołtarz tonął już w głębokim cieniu. Dwie jeszcze
tylko świece paliły się koło cyboryum, ale migotliwe pło-
myki ich zaledwie trochę rozświecały złocenia drzwiczek,
i nogi zawieszonego wyżej na krzyżu Chrystusa, przebite
ogromnym gwoździem. Główka tego gwoźdźca wyglądała
jak wielki punkt błyszczący w ołtarzu. Z innych świec,
dopiero co pogaszonych, snuły się pasemka dymu, napeł-
niając miejsce za stłłami czysto kościelnym zapachem
wosku.

Dziad i mały chłopak kręcili się przed stopniami
ołtarza. Jeden zamiętał, drugi ściągał ze stopni dywan.
W chwilach, w których baby przestawały śpiewać, sły-
chać było gniewliwy szept dziada, wymyślającego na chłopaka,
albo stukanie do zasutych śniegiem okien wróbli, którym
było na dworze zimno i głodno.

Baby siedziały w ławkach, bliżej drzwi wchodowych. Byłoby tam jeszcze ciemniej, gdyby nie kilka łożówek, z pomocą których właścicielki książek ułatwiały sobie czytanie. Jedna z tych łożówek oświecała dosyć wyraźnie, przytwierdzoną do następnej ławki chorągiew, wyobrażającą grzeszników wśród płomieni i wśród szatańców. Na innych chorągwiach nie można było rozemnać malowideł.

Kobięty nie śpiewały, ale raczej mruczały sennemi i zmęczonemi głosami pieśń, w której ustawicznie powtarzały się słowa:

„A kiedy przyjdzie skonania godzina,
Uproś nam, uproś u Twojego syna....

Ten kościół pogrążony w cieniu, chorągwie sterczące przy ławkach, stare o pożółkłych twarzach kobiety,—migotliwe, jakby pogięzione pomroką, światełka—wszystko to było nad wszelki wyraz posępne, a nawet poprostu straszne. Ponure słowa pieśni o skonaniu znajdowały w tém tło właściwe.

Czasem téż przestawano śpiewać; jedna z bab stała w ławce i poczyniała mówić drżącym głosem: „Zdrowaś Marya łaskiś pełna”—i inne podchwytywały: „Pan z Tobą etc.,” ale że to dzień był pogrzebu Kalikstowej, każde więc „Zdrowaś Marya” kończyło się słowami: „Wieczny odpoczynek racz jęj dać Panie, a światłość wiekuista niechaj jęj świeci.”

Córka Kalikstowej, Marysia, siedziała w ławce obok jednej staręj kobiety. Na grób świeży jęj matki padał tam teraz właśnie śnieg miękki i cichy, ale dziewczyna nie

miała jak dziesięć lat; więc zdawała się nie rozumieć ani swęj straty, ani litości jaką mogła obudzać. Twarzyczka jęj o dużych niebieskich oczach miała w sobie dziecinny spokój, a nawet obojętną jakąś pogodę. Malowało się na nięj trochę ciekawości i nic więcęj. Otworzywszy usta, patrzyła z wielką uwagą na chorągiew, na której było malowane piekło z grzesznikami, potęm patrzyła w głęb kościoła, a potęm jeszcze na okno, w które stukwały wróble. Oczy jęj pozostały bezmyślne. Tymczasem baby poczynwały mruczeć sennie po raz dziesiąty:

„A kiedy przyjdzie skonaniana godzina.....”

Dziewczyna kręciła kosmyki swoich jasnych włosów, zaplecione z tyłu w dwa warkoczyki nie większe od mysich ogonków: widocznie się jęj nudziło. Następnie jednak uwagę jęj zajął dziad.

Dziad wyszedł na środek kościoła i jął pociągać za węzłowaty sznur zwieszający się z sufitu. Dzwonił za duszę Kalikstowęj, ale czynił to zupełnie mechanicznie, gdyż widocznie myślał przytęm o częm inném.

Dzwonienie owo było także znakiem, że nieszpory skończone. Baby powtórzywszy ostatni raz prośbę o lekkie skonanie, wyszły na rynek. Jedna z nich prowadziła za rękę Marysię.

— Kulikowa!—spytała druga—a co będzieta robić z dziewczyną?

— A co mam robić? Jedzie do Leszczyniec Wojtek Marguła, co go przysłali na pocztę, to ją odwiezie. A bo co?

— A coże ona będzie robić w Leszczyńcach?

— Moście wy! To co i tu. Zkąd jest, niech tam jedzie. A choć i we dworze, to sierotę przygarną i w krendensie się pozwolą przespać.

Tak rozmawiając szły przez rynek do szynku. Mroczyło się coraz bardziej. Czas był zimowy, cichy, niebo zawleczone chmurami a powietrze przesiąknięte wilgocią i mokrym śniegiem. Z dachów kapiała woda, na rynku zaś leżało błoto urobione ze śniegu i słomy. Miasteczko o domach nędznych i poodrapywanych wyglądało tak posępnie jak i kościół. Niektóre okna połyskiwały światłem; ruch już ustawał, w szynku tylko grała oberka katarynka.

Grała na wabia, bo w środku nie było nikogo. Babby weszły, napiły się wódki, przyczém Kulikowa dała i Maryśce pół kieliszka mówiąc:

— Napij się, boś sierota. Nie zaznasz dobroci.

Słowo: sierota, przywiodło babom na myśl śmierć Kalikstowej. Kapuścińska mówiła:

— Do was Kulikowa! napijta się. O moi drodzy! jak ją ten paralus trzasnął, tak ci ani zipnęła. Nim dobrodziej przyszedł spowiadać, już była zimna.

Kulikowa na to:

— Mówiłam ja zdawna, że ona cienko przedzie. Zeszłej niedzieli przyszła a ja powiadam:—Ej Kalikstowo, Kalikstowo! oddajcie lepiej Maryskę do dworu. A ona powiada:—jedną córuchnę mam i nie dam. Ale markotno jój było i zaczęła słuchać, a potem do kancelaryi poszła, do wójta, żeby papiery mieć co do „kolomnii” na porządek. Zapłaciła cztery złote i groszy sześć. Ale powiada: dla dziecka nie żałuję. Moście wy! A oczy to miała wytrzyścone i po śmierci jeszcze lepiej wytrzyścyla.

Co jęj chcieli zamknąć, to nie mogli. Mówili że i po śmierci na dziecko patrzyła.

— Napijwa się na ten żal półkwaterek!

Katarynka wciąż grała oberka. Baby poczęły się trochę rozmarzać. Kulikowa powtarzała żalosnym głosem: „chudziątko! chudziątko!” a Kapuścińskiej przyszła z kolei na myśl śmierć nieboszczyka jęj męża.

— Jak umirol—mówiła—to tak ci wzdychol, tak wzdychol, tak wzdychol! — i rozciągając coraz bardziej głos weszła mimowoli w śpiew, ze śpiewu w takt katarynki, a w końcu porwała się za boki i zupełnie już na nutę oberka poczęła śpiewać:

„Wzdychol, wzdychol, wzdychol,
Oj ta dana — wzdychol!”

Nagle rozplakała się rzewnie, dała kataryniarzowi sześć groszy i napiła się jeszcze wódki! Kulikową również porwało rozczulenie, ale skierowała je ku Marysi.

— Pamiętaj, sierotko—rzekła—co ci mówił dobrodziej, kiej ci mateńkę śniegiem przysypywali, że jamioł (anioł) je nad tobą.

Tu zatrzymała się nagle, spojrzała naokoło jakby zdziwiona, a potém dodała z nadzwyczajną energią:

— Kiej mówię że jamioł, to jamioł!...

Nikt nie przeczył. Marysia, mrugając swojemi błędnymi głupimi oczkami, wpatrywała się uważnie w babinę. Kulikowa mówiła dalej:

— Tyś je sierotka, to złemu od ciebie zasię! Nad sierotami je jamioł. On je dobry. Na, masz dziesięć

groszy. Choćbyś i piechotą do Leszczyniec poszła, to trafisz, bo on cię zaprowadzi.

Kapuścińska zaczęła śpiewać:

„W cieniu swych skrzydeł zachowa cię wiecznie.
Pod Jego pióry — uleżysz bezpiecznie.”

— Cichoście!—zawołała Kulikowa. A potem znów do dziewczyny:

— Ty głupia, wiesz kto je nad tobą?

— Jamioł—odrzekło cienkim głosem dziecko.

— Sierotęńko-że ty, jagodko ty, robaczku ty Boży! Jamioł ze skrzydłami—mówiła w zupełnym już rozczuleniu Kulikowa i porwawszy dziewczynkę, poczęła ją przyciskać do swjej pocziwjej choć pijackiej piersi.

Dziewczynka rozplakała się teraz. Może w jej ciemnej główce i w sercu, które nie umiało nic jeszcze rozemnać, budziło się jakieś rozeznanie w tej chwili.

Szynkarz spał już w najlepsze za szynkwasem, na knotach łożówek narosły grzyby: kataryniarz przestał grać, bo go bawiło to, co widział.

Nastala cisza, którą przerwało nagle chlupotanie końskich nóg w błocie przed drzwiami i jakiś głos, który zawołał na konie:

— Prrrr!

Do szynku wszedł Wojtek Marguła z zapaloną latarką w ręku, postawił latarkę, poczał „zabijać” ręce, by je rozgrzać i wreszcie rzekł do szynkarza...

— Dajta-no półkwaterek!

— Marguła, kasztanie!—zawołała Kulikowa—wezmiesz dziewczynę do Leszczyniec.

— Juści wezmę, bo mi i kozeli—odparł Marguła. Potém, przypatrzwszy się obydwom kobietom dodał:

— Aleśta się porznęły jak...

— Ażeby cię zara sparło!—odrzekła Kulikowa. Kiedy ci mówię ostrożnie z dzieckiem, to ostrożnie. Ona je sierota. Ty wiesz głąbie kto nad nią je?

Wojtek nie uznał za stosowne odpowiadać na pytanie i postanowił widocznie podnieść inny przedmiot, podniósł bowiem przedewszystkiem półkwaterek i zaczął:

— Wciorności wam...

Ale nie skończył, bo wypił wódkę, skrzywił się, splunął i stawiając z niezadowoleniem miarkę rzekł:

— Dyć to sama woda. Dajta-no drugiej z téj innej flaszki.

Szynkarz nalał mu z innej. Wojtek skrzywił się jeszcze mocniej.

— El araku nie mata?

Margule groziło widocznie także same niebezpieczeństwo jak i babom, ale że w tym samym właśnie czasie, we dworze w Łupiskórach, właściciel przygotowywał do jednego z pism obszerny i wyczerpujący artykuł: „O prawie propinacyi dla dworów, jako o podstawie ustroju społecznego,” a zatém Wojtek przyczyniał się tylko niechcący do wzmocnienia fundamentów społecznych, a to témbardziej, iż propinacya, chociaż w miasteczku, była istotnie dworską.

Przyczyniwszy się tak z pięć razy z rzędu, zapomniał wprawdzie latarki w której świeczka zgasła, ale wziął napół śpiącą dziewczynę za rękę i rzekł:

— Chodźże zmorol!

Kobięty posnęły również w kącie, nikt więc nie pożegnał Marysi. Prostu: matka jej została na cmentarzu w Łupiskórach a ona jechała do Leszczyńiec.

Wyszli, siedli, Marguła krzyknął na konie: „wiśta!” i pojechali. Sanie sunęły z początku dosyć ciężko po miasteczkowym błocie, ale potem zaraz wydobyli się na pola białe i rozległe. Jechać było lekko, śnieg nie szumiał prawie pod płozami: czasem tylko koń parsknął; czasem zdaleka, zdaleka doszło szczekanie psów.

Jechali, jechali. Wojtek poganiał konie i śpiewał pod nosem: „Pamiętos psia jucho, coś mi obiecował. Ale wkrótce umilkł i zaczął „żydy” wozić. Kiwnął się w prawo, w lewo. Śniło mu się, że go w Leszczyńcach tłuką po karku, za to, że zgubił kobiałkę z listami, więc od czasu do czasu budził się przez pół i powtarzał: „wciornać!” Marysia nie spała, bo jej było zimno. Szeroko otwartymi oczyma patrzyła na białe pola, które jej chwilą zasłaniały ciemne plecy Marguły. Myślała też przytem, że „matula pomegli” a tak myśląc, wyobrażał sobie doskonale bladą i chudą twarz matuli o wytrzeszczonych oczach—i odczuwała półświadomie, że ta twarz była kochana bardzo, że jej niema i nie będzie w Leszczyńcach już nigdy. Przecież widziała na własne oczy jak ją zasypali w Łupiskórach. Przypomniawszy to sobie, byłaby się rozplakała z żalu, ale że zziębły jej nogi i kolana, więc rozplakała się z zimna.

Mrozu wprawdzie nie było, ale powietrze stało się przenikliwe, jak zwykle w odwilży. Wojtek bo miał przy najmniej w żołądku spory zapas poczerpniętego w łup

skórskim szynku ciepła. Właściciel Łupiskór słusznie przecie zauważył, „że wódka w zimie rozgrzewa, a ponieważ jest ona jedyną pociechą naszego ludu, odejmując przeto większym posiadaczom możność wyłącznego pocieszania ludu, odejmuje się im i wpływ na lud.” Wojtek w tej chwili tak był pocieszony, że nic go zasmucić nie mogło.

Nie zasmuciło go nawet i to, że konie doszedłszy do lasu, naprzód zwolniły zupełnie kroku, choć droga była w lesie lepsza, a następnie ruszywszy w bok przewróciły sanie w rów przydróżny. Rozbudził się wprawdzie, ale nie zrozumiał dobrze co się stało.

Marysia poczęła go trącać.

— Wojtek!

— Czego skrzeczysz?

— Przewróciliśwa.

A Wojtek spytał: „śklonkę?” i usnął na dobre.

Dziewczyna siadła przy saniach, skuliła się jak mogła i siedziała. Ale twarz zmarzła jój wkrótce zupełnie, więc znów zaczęła trącać śpiącego:

— Wojtek!

Nie odpowiadał.

— Wojtek, chcę do chałupy!

A po chwili znowu:

— Wojtek, bo pójde piechcą...

Nakoniec poszła. Zdawało się jój, że do Leszczyńiec jest bardzo blisko. Zresztą znała drogę, bo co niedziela chodziła nią z matką do kościoła. Ale teraz musiała iść sama. W lesie śnieg mimo odwilży leżał wysoki, ale za to noc była bardzo jasna. Blask od śniegu łą-

czył się z blaskiem światła chmur, więc drogę było widać jak w dzień. Marysia, zapuszczając wzrok w ciemny las, mogła bardzo daleko dojrzeć pnie rysujące się wyraźnie, czarno i spokojnie, na białym podkładzie. Widziała również dokładnie rzuty śniegowe do pni przez całą długość przywarłe. Jakiś ogromny spokój był w lesie, który dziecku dodawał otuchy. Na gałęziach leżała złódź obfita, a z niej spływały krople wody, rozbijając się ze słabym szmerem o gałęzie i gałązki. Ale to był jedyny szmer. Zresztą na okół cicho, cicho, białło, milcząco, głucho!

Wiatr nie wiał. Uśnieżone kiście nie poruszały się najmniejszym ruchem. Spało wszystko zimowym snem. Mogło się zdawać, że śniegowy obrus na ziemi i cały las milczący a przytrząśnięty i blade chmury na niebie, to wszystko jakaś biała jedność—martwa. Tak bywa w czasie odwilży. Jedyną żywą istotą, poruszającą się jak mały czarny punkcik wśród tych milczących wielkości, była Marysia. Dobry, pocziwy las! Te krople, które opuszcza topniejąca złódź, to może łzy nad sierotą. Drzewa takie wielkie, a takie litośne nad maleństwem. Oto samo jedno, takie słabe, biędne, wśród śniegu, nocy i lasu, brnie sobie z ufnością jakby nigdy nic! Noc jasna zdaje się troskać o nią. Jest w tém jakaś wielka słodycz, gdy coś, co jest małym i bezsilnym oddaje się i powierza tak zupełnie ogromnej sile. W ten sposób wszystko może istnieć na woli Bożej. Dziewczyna szła już dość długo i zmęczyła się wreszcie. Przeszkadzały jój ciężkie, zawielkie buty, w których jój małe nóżki zesuwały się ustawicznie. Ciężko było wyciągać takie ogromne buciska ze śniegu. Przytém i rękoma nie mogła swobodnie poruszać, bo w je-

dnęj wyciągniętej sztywnie, trzymała z całej siły ową dziesiątkę, którą dostała od Kulikowej. Bała się jęj upuścić w śnieg. Zaczynała chwilami płakać głośno, a potem urywała nagle, jakby się chcąc przekonać, czy kto płaczu nie słyszy. Owszem, las słyszał. Topniejąca złódź szemrała jednostajnie a jakoś żałośnie. Prócz tego, może jeszcze ktoś słyszał. Dziecko idzie coraz wolniej. Czyżby miała zbłądzić? Gdzietam! droga jakby biała, szeroka, zwięzająca się w dali wstęgą, leży wyraźnie między dwoma ścianami ciemniejszych drzew. Dziewczynę począł ogarniać sen niepokonany.

Zeszła i siadła pod drzewem. Powieki opadały jęj na oczy. Przez chwilę myślała, że po białości śniegowej matula idzie ku niej od strony cmentarza. Nikt nie szedł. Dziecko było jednak pewne, że ktoś przyjść musi. Kto?— Anioł. Przecie stara Kulikowa mówiła, że „jamiol” jest nad nią.— Marysia знаła go. W chałupie u matuli był jeden malowany z „leliją” w ręku i ze skrzydłami. Przyjdzie niezawodnie. Złódź jakoś zaczyna szemrać mocniej. To może jego skrzydła strącają więcej kropel.— Cicho! istotnie ktoś idzie; śnieg choć miękki szeleści wyraźnie, kroki zbliżają się i zbliżają ciche ale szybkie. Dziecko podnosi z ufnością senne powieki...

Co to!!

Szara jakaś trójkątna głowa o sterczących uszach, przypatruje się dziecku pilnie... straszna, ohydna...

www.libtool.com.cn

www.libtool.com.cn

IV.

NA JEDNĄ KARTE.

www.libtool.com.cn

www.libtool.com.cn

IV.

NA JEDNĄ KARTĘ.

Stella.

Ale ja chcę, żebyś zgadła, żebyś powiedziała mi: naturalnie że ten, a nie kto inny. Nie uwierzysz, jak mi pochlebi i jak mnie ucieszy.

Czeska.

A więc: hrabia Drahomir.

Stella.

Ach!

Czeska.

A zarumieniłaś się? Prawda, że niedawno tu byłaś, ale jaki miły, jaki sympatyczny, jaki wesoły! O, moje stare oczy dobrze widzą, i gdym was zobaczyła razem, zrazu pomyślałam sobie: śliczna para! może co z tego będzie.

Stella.

Nic z tego nie będzie, mateczko, bo... pan Karol jest wprawdzie bardzo sympatyczny, ale narzeczoną moją jest pan Jerzy.

Czeska.

Pan Jerzy Pretwic?

Stella.

Tak. Czy to cię dziwi?

Czeska.

Nie, moje drogie dziecko. Niech cię Bóg błogosławi—zkażębym się miała dziwić? Tylko, że ja tak lub hrabiego Drahomira, więc myślałam, że to on.... Pan J

rzy Pretwic!... O, bynajmniej! wcale mu się nie dziwię, że cię pokochał. Ale to także jakoś prędko się stało! Jakże wy dawno się znacie? bo to ja siedząc w swoim Berwinku, nic nie wiem, co się dzieje w okolicy.

Stella.

Od trzech miesięcy. Mój narzeczonny odziedziczył tu majątek po Jazłowieckich i przyjechał, jak pani wie, z bardzo daleka. On był blizki krewny Jazłowieckich, a i sam pochodzi ze znakomitej rodziny. Kochana pani słyszała o Pretwicach?

Czeska.

Nic a nic, Stelko. Co mi tam do heraldyki!

Stella.

Niegdyś, ale to już całe wieki temu, Pretwiczowie byli i z nami spokrewnieni. To bardzo znakomita rodzina. O! inaczej papo-by się nie zgodził.... Otóż pan Pretwic przyjechał tu, objął dobra po Jazłowieckich, poznał się z nami i....

Czeska.

I zakochał się w tobie. Na jego miejscu byłabym też samo zrobiła. To go podnosi w moich oczach.

Stella.

Alboż tego potrzebował?

Czeska.

Nie, koteczku drogi—bądź spokojna. Wiesz że aż śmieją się ze mnie, że zawsze widzę w ludziach wszystko

najlepsze... Z pięknej rodziny, młody, bogaty, przystojny, dobrze wychowany... tylko...

Stella.

Tylko?

Czeska.

Jakieś ptaszki mi śpiewały, bo nawet nie pamiętam kto mówił, że trochę do burzy podobny.

Stella.

Bo też życie jego było burzą, ale się w niej ten szlachetny człowiek nie złamał.

Czeska.

To tém lepiej. Słuchaj, dziecko: tacy ludzie najlepiej bo to najprawdziwsi mężczyźni. Im więcej się zastanawiam, tém szczerzej ci winszuję.

Stella.

Dzięki i rada jestem, że wreszcie mówiła z tobą otwarcie. Ja tu istotnie jestem bardzo samotna: prawiecznie niedomaga, naszego doktora od trzech miesięcy w domu niema.

Czeska.

Daj-no tylko pokój z waszym doktorem.

Stella.

Zawsze go nie lubisz?

Czeska.

Wiesz, że nie uprzedzam się do ludzi, ale nie mogę się do niego przekonać.

www.dlibra.org.pl

Stella.

A czy wiesz, że ofiarowano mu katedrę w uniwersytecie, a przytém stara się o mandat poselski. Mateczko! doprawdy jesteś niesprawiedliwa, bo on poprostu poświęca się dla nas. Taki sławny, zamożny już i uczony, a jednak siedzi u nas, choć cały świat przed nim otworem. Byłabym się go z pewnością poradziła,...

Czeska.

Miłość, Steluniu, nie choroba.... ale mniejsza tam o niego, niech mu Bóg pomaga. Powiedz-no lepiej, kotku, ale tak szczerze, bardzo ty się kochasz?

Stella.

Widzisz przecie, jak prędko wszystko poszło. Prawda, że i pani Miliszewska przyjeżdżała tu ze swoim synem. Wiedziałam, że o mnie idzie; bałam się, choć nepotrzebnie, żeby i papie nie przyszło to do głowy....

Czeska.

Nie odpowiadasz mi na pytanie....

Stella.

Bo jak tu mówić wyraźnie. Życie pana Jerzego, mateczko, to szereg czynów bohaterskich, poświęceń i niebezpieczeństw. Raz już był prawie zgubiony i nie żyłby dziś, gdyby go nie wyratował hrabia Drahomir. Ale jak

téż on go kocha za to! Co chcesz? — Znać na moim i rzeczonym odległe pustynie, długą samotność i długie ciępienia. Gdy jednak zacznie rozsnuwać przedemną swoje życie, doprawdy, zdaje mi się, że kocham bardzo tego szalaznego człowieka. Żebyś wiedziała, jak on nieśmiały, a jednak serdecznie wypowiedział co czuje dla mnie, a po tém dodał, iż wie, że jego ręce zaszorstkie....

Czeska.

Nie zaszorstkie, bo pocziwe. Po tém, co o nim mówisz, całą mu duszą sprzyjam.

Stella.

A jednak, mateczko, mimo tego wszystkiego czuję się czasem bardzo nieszczęśliwa.

Czeska.

I co to jest, Stelko? dlaczego?

Stella.

Dlatego, że chwilami nie możemy się zrozumieć wzajemnie. Uczucia, mateczko, są dwojakie: jedne jak skały potężne i niewzruszone, drugie jak strumień, w który się przejrzeć można. Otóż gdy patrzę na uczucia Jerzego, widzę ich ogrom i niewzruszoność, ale dusza moja odbija się w nich jak twarz w przejrzystym strumieniu. Ja go kocham, to prawda, ale chwilami zdaje mi się, że jeszcze mocniej kochałbym mogła, że nie kładę wszystkiego sił serca w to przywiązanie, i wtedy to czuję się nieszczęśliwa....

Czeska.

Ależ ja bo tego nie rozumiem prawie. Biorę życie poprostu: kocham, lub nie. Ej Stelko! świat jest tak mądrze urządzone, a Bóg tak dobry, że nie łatwiejszego jak szczęście. Nie trzeba tylko płać spraw Bożych. Cicho, dziecko! Jesteś zakochana aż strach! Co tam!

Stella.

O! właśnie czego mi było trzeba, to téj ufności w przyszłość, tego twojego optymizmu. Wiedziałam, że się namarszczysz kochana weredyczko i powiesz: co tam. Zaraz mi rzeźwię i weselę. Boję się tylko trochę naszego doktora. Ale co to? (*patrzac przez okno*) To nasi panowie: pan Jerzy i hrabia Drahomir!

Czeska.

(*patrzac przez okno*) Ślicznie wygląda twój przyszły; ale i hrabia Drahomir także. Dawno on bawi u Jerzego?

Stella.

(*patrzac przez okno*) Od dwóch tygodni. Pan Jerzy prosił go umyślnie.... Idą już.

Czeska.

A serduszko tam: puk, puk?....

Stella.

Nie sprzeciwiaj się, niedobra.

SCENA II.

Pani Czeska — Stella — Jerzy — Pretwic — hrabia Drahomir z lewą ręką na temblaku — Służący.

www.libtool.com.cn

Służący.

(*otwierając drzwi*) Księżniczka jest w salonie!

Stella.

(*witając się*) Jakoś dziś późno, panie Jerzy?

Jerzy.

Prawda: słońce już zachodzi. Ale nie mogliśmy wcześniej. — Czy panie wiedzą, że w sąsiedniej osadzie był pożar? Pojechaliśmy do ognia.

Czeska.

Słyszałyśmy już. Podobno kilkanaście domów spaliło się zupełnie.

Jerzy.

Ogień wszczął się od rana, a ugaszono go dopiero teraz. Koło dwudziestu rodzin jest bez dachu i bez chleba. Spóźniliśmy się tu jeszcze i dlatego, że Karol miał wypadek.

Stella.

(*żywo*) Prawda! ręka na temblaku; panie Karol

Drahomir.

Doprawdy, nic wielkiego. Gdyby nie było większy ran na świecie, odwagę sprzedawanoby na wszystkich targach. Lekkie draśnięcie....

Stella.

Jakże się to stało, panie Jerzy?

Jerzy.
www.ibstool.com.cn

Gdy się to stało, byłem na drugim końcu ulicy i nie mogłem nic widzieć z powodu dymu. Mówiono mi tylko, że Karol wskoczył do płonącego domu.

Stella.

Ach, Boże!

Drahomir.

(Śmiejąc się) Uważam, że czyn mój zyskuje na odległości.

Czeska.

Więc niech go pan sam opowie.

Drahomir.

Zawołano przy mnie, że w domu, którego zresztą dach zaczynał się dopiero palić, jest jakaś kobieta. Wtedy ja, sądząc, że owa salamandra, nie lękająca się płomieni, jest może jakąś zaczarowaną pięknoscia, przez czystą ciekawość wszedłem do środka. Było tam już trochę ciemno od dymu. Patrząc więc, i przekonywam się ostatecznie, że w niczym nie mam szczęścia, bo moja salamandra jest tylko staruszką żydówką, która pakuje w worek pierze darte. Wśród płatków gęsiego puchu wyglądała na co państwo chcecie, ale nie na wróżkę. Krzyczę tedy, że się pali, ona w ciemności bierze mnie widocznie za złodzieja i krzyczy także, czyli—krzyczymy oboje. Nakoniec widząc, że niema rady, chwytam w objęcia moją salaman-

dre i wynoszę ją omdlałą ze strachu, nawet nie oknem a drzwiami.

Jerzy.

Nie dodajesz tylko, że dach runął i że krokiew udzieliła cię w rękę.

Drahomir.

Kiedy tak, zrywam tamy skromności i dodaję jeszcze, że burmistrz miał do mnie mówkę. Zdaje mi się że mówił coś o pomniku, jaki mi mają postawić w rynku. Niech mi jednak panie wierzą, że ogień ugasił Jerzy i swymi ludźmi. Myślę, że powinni postawić dwa pomniki.

Czeska.

Wiem, że panowie warciście jeden drugiego.

Stella.

Chwała Bogu, że nic gorszego nie spotkało pana, panie Karolu.

Drahomir.

Spotkało mnie coś bardzo dobrego, bo współczucie pani.

Czeska.

I moje jest dla pana, dlatego, że z panem Jerzym mam na pieńku.

Jerzy.

Za co, droga pani?

Czeska.

Ej, panie Jerzy, panie Jerzy! *(do Stelli i Drahomira)* Idźcie-no państwo do księcia, a my tu rozmówimy się zaraz.

Stella.

Ej, mateczko, widzę, że chcesz bałamucić pana Jerzego.

Czeska.

Cicho psotnico! właśnie mi z tobą iść w zawody. Wiedz jednak, moja przelaszczko, że każda jesień miała przedtém wiosnę. No, idźcie państwo!

Stella.

(do Drahomira) Więc chodźmy. Papo jest w ogrodzie i boję się, czy mu znów nie gorzej. Bięda, że tego doktora niéma!

SCENA III.

Pani Czeska — Jerzy — później Stella.

Czeska.

Powinnabym łąać pana, panie Jerzy, tak jak wyla-
jałam moją dziewczynkę, za tajemnicę. Ale Stelka po-
wiedziała mi już wszystko, więc mówię tylko: niech was
Bóg błogosławi oboje!

Jerzy.

(całując ją w rękę) Dziękuję pan!

Czeska.

Wychowałam tę dziecinę od najmniejszego robaczka i dziesięć lat byłam przy niej, więc wiem jaki skarb pan bierze. Pan miałeś ję powiedzieć, że twoje ręce zaszorstkie. Odpowiedziałam ję zaraz: nie zaszorstkie, bo pocziwe. Stelka to jednak kwiatek bardzo delikatny; trzeba ją bardzo kochać i osłaniać. Ale pan to potrafi—nieprawda?

Jerzy.

Cóż pani odpowiem? . Ile jest w mocy ludzkiej dać szczęścia téj świętej dla mnie istocie, tyle go ję chciałbym zapewnić.

Czeska.

Z całej duszy mówię: Boże błogosław!

Jerzy.

Panna Stella uważa panią za matkę, więc i ja będę tak szczerze mówił jak z matką. Życie moje było bardzo trudne. Była chwila, w której życie to zawisło na nitce. Uratował mnie wtedy Karol, którego czczę i kocham jak brata, ale później....

Czeska.

Mówiła mi Stella. Mieszkałeś pan daleko....

Jerzy.

Byłem wśród pustych stepów, pani, więc nawpół dzikim, wśród obcych, więc bardzo samotnym i za krajem utęsknionym i ze szlachetnego rodu ostatnim. A przytém,

dusza dumna, choć bita ~~miesz~~żęciem jak młotem wsty-
dzi się jęknąć i ból w sobie zamyka, a ztąd czuje umęcze-
nie wielkie. Doprawdy, czasem nie było koło mnie jednej
żywěj istoty....

www.libtool.com.cn

Czeska.

Bóg był, panie, nad gwiazdami.

Jerzy.

O! to co innego. Ale serce rzucone na ziemię, mu-
si kogoś na ziemi kochać i mieć przy sobie. Więc całą
tą potrzebą kochania, prosiłem Boga, by mi pozwolił ko-
goś kochać. Wysłuchał mnie i dał mi ją. Czy mnie pa-
ni rozumie teraz?

Czeska.

O, rozumiem!

Jerzy.

Jak szybko zmieniło się wszystko potem. Odziedi-
czyłem tu majątek i mogłem doń wrócić; potem poznałem
księżniczkę i teraz kocham ją, jak spełnioną prośbę mo-
dlitwy, jak zapłatę za niedolę, jak moje serdeczne *wszyst-*
ko na świecie. O! bądź pani spokojna.

Czeska.

Będę. Doprawdy, że mi się chce płakać. Mój za-
cny panie Jerzy, bądź dobrój myśli. Pan jesteś wart
Stelki i ona będzie z panem szczęśliwa. Moja złota, ko-
chana Stelunia!...

Stella.

(pokazując się we drzwiach ogrodowych i klaszcząc w ręce) Doskonała nowina! doskonała nowina! Doktorek za chwilę przyjeżdża; jest już we wsi. Papo zaraz spokojniejszy i w lepszym humorze.

Czeska.

A nie trzpiotować mi się i nie biegać zaprędko! Aż cała różowa ze zmęczenia. Gdzie jest książkę?

Stella.

W ogrodzie, pije kawę. Prosi właśnie, abyście państwo tam przyszli.

Jerzy.

Pójdźmy.

Stella.

(idzie naprzód, potem się zatrzymuje) Ale! Proszę nie mówić doktorowi, co się między nami stało.... Chcę mu to pierwsza powiedzieć. Papy prosiłam już o tajemnicę *(wychodzą)*.

SCENA IV.

Józefowicz.

(wchodzi przez drzwi główne) Janie! rzeczy moje na górę, a paczkę, którą zostawiłem w przedsionku, odesłać umyślnym do pana Antoniego, sekretarza rady powiatowej.

Służący.

(klaniając się) Słucham pana doktora! *(wychodzi)*.

Józwowicz.

(posuwając się na przód sceny) Nakoniec!.. po trzech miesiącach niebytności... Jak tu zawsze cicho i spokojnie... Za chwilę powitam ich jako przyszły poseł... Sześć lat rzucałem w tę dzielącą nas przepaść pracę żelazną, nocny bezsenne, naukę, sławę, a teraz... zobaczymy *(podchodzi ku drzwiom ogrodu)* Otóż idą już—nie zmieniła się nic.

SCENA V.

(Przez drzwi ogrodowe wchodzi Stella, pani Czeska, obok nich Jerzy, za nimi Drahomir pod rękę z księciem Starogrodzkim).

Stella.

A! nasz doktor! nasz kochany doktorek! Jak się pan ma, panie Stanisławie? Stęskniliśmy się już do pana.

Czeska.

(klaniając się chłodno) Szczególniej księżę....

Józwowicz.

(całując rękę Stelli) Dobry wieczór, księżniczko! I mnie pilno było już wrócić. Przybywam na dłuższy czas odpocząć trochę. A! i księżę! Jakże tam ze zdrowiem?

Księżę.

(ściskając go) Kochany chłopcze! Słabym, słabym! Doskonałeś zrobił, żeś przyjechał. Obaczysz sam zaraz, co się ze mną dzieje:

Józwowicz.

Teraz może księżę zechce poznać mnie z resztą towarzystwa.

www.libtool.com.cn

Księżę.

A prawda. Doktor Józwowicz, minister moich spraw wewnętrznych. Dobrze powiedziałem — co? bo przecie pilnujesz mego zdrowia. Hrabia Karol Drahomir.

Drahomir.

Nazwisko pana już dziś nie obce nikomu, więc właściwie, ja tylko powinienbym się przedstawić.

Józwowicz.

Panie...

Księżę.

(*przedstawiając*) Pan Jerzy Pretwic, nasz sąsiad i... (*Stella daje znak ojcu*) i tego... chciałem powiedzieć, i tego...

Jerzy.

Jeśli się nie mylę, i kolega pański ze szkół.

Józwowicz.

Nie chciałem przypominać się pierwszy.

Jerzy.

Witam więc serdecznie dawnego kolegę. Dawne to i czasy, ale żyliśmy blisko. Prawdziwie, szczerze się cieszę, zwłaszcza po tém co tu o panu słyszałem.

Drahomir.

Jako o dobrym duchu tego domu.

www.Stella.com.cn

O, tak!

Ksiązę.

Czekajcie, niechno ja swoje o nim powiem.

Jerzy.

Ileżto razy pierwszy uczeń Józwowicz, odrabiał zadania za Pretwica.

Józwowicz.

Szczęśliwą pan ma pamięć!

Jerzy.

Szczęśliwą, kolego, bo pamiętam także, że wówczas nie mówiliśmy sobie wzajemnie, pan. Więc jeszcze raz: witam cię serdecznie Stanisławie.

Józwowicz.

Nawzajem.

Jerzy.

Ale pamiętam, że po skończeniu szkół poszedłeś na prawnika.

Józwowicz.

Potém zostałem także doktorem medycyny.

Książe.

No, siadajcie. Czy będziecie stali? Jan! sam tu! światła!

www.libtrn.com.cn

Stella.

Jakto dobrze, że panowie się znają.

Józwowicz.

Szkolna ławka jak bięda, łączy ludzi. Ale potem pozycya ich rozdziela. Jerzy miał świetny los zapewniiony, ja zaś musiałem go szukać.

Książe

A szukał i on, ale guzów.

Drahomir.

W dwóch częściach świata.

Czeska.

To prawdziwie po mężku.

Józwowicz.

Ha! szedł za swym instynktem. Jeszcze w szkołach ujeżdżał konie, strzelał, rąbał się.

Jerzy.

Lepiej niż uczył?...

Józwowicz.

(*śmiejąc się*) Tak!... Zwaliśmy go hetmanem, bo też i hetmanił nam w naszych wojnach studenckich.

Drahomir.

Jerzy, poznaję cię...

Czeska.

www.libtool.com.cn

Ale teraz myślę, że przestanie wojować.

Stella.

Kto wie?...

Jerzy.

Niezawodnie, pani.

Józwowicz.

Co do mnie, byłem najgorszym z jego szeregowych: nie czułem nigdy smaku w takich rozrywkach.

Książę.

Bo też to rozrywki szlacheckie nie doktorskie.

Józwowicz.

(*wesoło*) Już zaczynamy się kłócić! Mój książę, wy się szczycicie, że wasi przodkowie—rycerze zabijali tłumy ludzi: ażeby książę wiedział, ilu ja już mojemi lekarstwami zabiłem! Zaręczam, że żaden z przodków waszej książęcej mości nie poszczyci się taką liczbą!

Drahomir.

Brawo! doskonale!

Książę.

Co ten niegodziwiec gada! i on jest moim doktorem.

Stella.

Papo! doktorek żartuje.

Książę.

Już ja mu dziękuję za takie żarty. Ale świat się teraz przewraca, to pewna,

www.libtool.com.cn

Józwowicz.

E, książę! pożyczmy jeszcze ze sto lat! (*do Jerzego*)
Pójdź, opowiedz mi, co się z tobą działo. Państwo już
znają pewno twoje przygody, a dla mnie one nowe (*odcho-
dzą ku oknu*).

Książę.

Nie uwierzycie, jakim ja nieszczęśliwy, że się bez te-
go niegodziwca obejść nie mogę. To syn kowala ze Sta-
nisławowa. Oddawałem go do szkół, bom chciał zrobić z nie-
go oficjalistę, a potem on sam oddał się do uniwersytetu...

Drahomir.

I jest podwójnym doktorem. Rozumny człowiek,
dość spojrzeć...

Stella.

Ach! i jaki.

Czeska.

Taki rozumny, że aż się go boję.

Drahomir.

Ale książę musi być rad?

Książę.

Rad, rad!... W głowie mu przewrócili, zrobili z nie-
go jakiegoś demokratę czy sankiulota. Tylko, że dobry

doktor, a jam słaby. Brak mi soków w żołądku. (*do Drahomira*) Wiedziałeś o tém?

Drahomir.

Dawniej już książę skarżył się...

Czeska.

Od dwudziestu lat!

Książę.

Moja Czesiu!... A to zgryzoty i służba publiczna stargały mi zdrowie.

Czeska.

Co tam! książę zdrów.

Książę.

(*gniewliwie*) Powiadam żem chory. Stelka! ja'm chory—co?

Stella.

Teraz papie będzie natychmiast lepiej.

Książę.

Bo téż on jeden utrzymuje mnie na nogach. Stella także byłaby umarła na serce, gdyby nie on.

Drahomir.

Jeśli tak, to to człowiek bez ceny.

Stella.

O! winniśmy mu wieczną wdzięczność.

Książę.

(*przypatrując się Jerzemu*) On i Pretwicowi będzie potrzebny. Stelka—co? będzie potrzebny?

www.libtool.com.cn

Stella.

(*ze śmiechem*) Papo, zkadże ja mogę wiedzieć?

Drahomir.

Doprawdy, zazdroszczę nieraz tym żelaznym ludziom, idącym w świat przebojem. W tej walce wyrabiają w sobie siłę, która w nas słabnie i zanika, bo nic jej nigdy nie podsyca. Może i my jesteśmy z dość szlachetnego metalu, ale nas przetrawia rdza: oni hartują się w życiu. Jest to smutna konieczność.

Czeska.

A pan Jerzy?

Drahomir.

Jerzy także przeszedł wiele. Jest jednak między nimi jakaś różnica, którą się czuje, choć określić jej trudno. Spójrzycie państwo na tych dwóch ludzi. Gdy wichry wieją, Jerzy opiera się im jak stuletnie drzewo, a taki człowiek jak doktor opanowywa je i każe im popychać łódź swoją. Jest w tym jakaś większa zdolność do życia, więc i wynik o tyle łatwy do przewidzenia, o ile drzewo, choć silne, im starsze, im bardziej burzami star-gane, tym musi uschnąć prędej.

Książę.

Nieraz mówiłem, że schniemy jak stare drzewa. Jakaś tam inna gęstwina wyrasta, ale to tylko krzaki. Jam też już wysechł i schudł przynajmniej na trzy palce.

Stella.

Kto jest dobry, panie Karolu, ten ma prawo do życia; zatem—nienależy wątpić o sobie.

www.libtool.com.cn

Drahomir.

Ja też nie wątpię, choćby dlatego, że poeta mówi: Świętym jest na ziemi, kto umiał zawrzeć przyjaźń....
(*klaniając się Stelli*) ze świętymi.

Stella.

(*grożąc*) Jeśli nie zdobył ich przyjaźni przez pochlebstwa.

Drahomir.

Niech mi tylko będzie wolno nie zazdrościć doktorowi.

Stella.

Przyjaźń nie jest wyłączną, a choć doktora uważam jak brata....

Księżę.

Co, Stelka! co ty pleciesz? On taki twój brat, jak ja radykał. Ja go niecierpię, tylko się obejść bez niego nie mogę.

Czeska.

Gdzietam księżę kogo niecierpił

Drahomir.

(*z uśmiechem*) I za cóżby!

Książę.

Za co? Czy nie mówiłem? Robi z nami co chce, rozporządza się w całym domu jak chce. Nie wierzy w nic, tylko w jakichś tam w, kogo, to Stelka — co? A ambitne to przytém jak lichy. Już został profesorem akademii jakby jakiś duchowny, a przytém stara się podobno o mandat poselski. He! słyszycie? On będzie posłem, zatém Jaśnie Wielmożnym! Ale nie byłbym Starogrodzkim, gdybym na to pozwolił. (*głośno*) Józwowicz!

Józwowicz.

(*z pod okna*). Co książę rozkaże?

Książę.

Czy to prawda, że ty się starasz o mandat?

Józwowicz.

Do usług księcia.

Książę.

Pani Czeska? słyszałaś pani? Nie przewracaj się teraz świat?—He? Józwowicz!

Józwowicz.

Co, książę?

Książę.

A może ty jeszcze i ministrem zostaniesz?

Józwowicz.

Może.

Księżę.

Słyszeliście? I ty może myślisz, że ja tobie będę mówił: Jego Ekscelencya?

www.libtool.com.cn

Józwowicz.

Takby wypadało: wyższy stopień potrzeba uczcić.

Księżę.

Biorę was na świadki. Józwowicz! czy chcesz, żeby mnie żółć zalała?

Józwowicz.

Niech się księżę uspokoi. Moja Ekscelencya zawsze będzie pilnować Jego oświeconej żółci.

Księżę.

A, prawda. Iritacya mnie szkodzi. Co — Józwowicz? Szkodzi?

Józwowicz.

Szkodzi na żółć, ale daje apetyt. (*obaj z Jerzym zbliżają się do rozmawiających*).

Stella.

O czémże panowie mówili?

Józwowicz.

Słuchałem, księżniczko, opowiadał Jerzego. Dziwne, straszne rzeczy! Jerzy popełnił tę omyłkę, że przyszedł na świat o dwieście lat zapóźno: Bayardom źle się teraz dzieje na świecie.

Czeska.

Nad wszystkimi jest Opatrzność!

Drahomir.

www.libtool.com.cn

I ja w to wierzę.

Józwowicz.

Gdybym był matematykiem, nie przecząc panu, powiedziałbym tylko, że ponieważ w wielu wypadkach nie wiadomo, czemu się równa X ., należy sobie samemu radzić.

Księżę.

Co on powiada?

Stella.

O, doktorku! proszę nie mówić tak sceptycznie, bo nie z papą, ale ze mną będzie wojna.

Józwowicz.

Mój sceptycyzm tam się kończy, gdzie zaczynają się słowa pani—więc zdaję się na łaskę.

Stella.

Jaki grzeczny.... pan poseł.

SCENA VI.

Ciż — Służący.

Służący.

Herbata na stole!

Jerzy.

Ja księztwa muszę pożegnać.

Stella.

Jakto? Zawsze musimy pierwsi przypominać, że już późno, a dziś pan tak wcześnie nas opuszcza.

Józwowicz.

(*n. s.*) Dawny kolega na poufałej tu stopie.

Jerzy.

Wybacz, pani! Mnie tu tak dobrze, jak nigdzie, ale dziś koniecznie muszę być w domu. Zresztą zostawiam Drahomira, by mnie zastąpił.

Stella.

Gniewać się, byłoby to wbijać pana' w zarozumiałość; proszę się jednak wytłómaczyć.

Jerzy.

Pogorzelcy, pani, są u mnie. Muszę rozporządzić, by mieli co jeść i gdzie się przespać.

Czeska.

(*n. s.*) Umię się zrzec przyjemności dla obowiązku.
(*głośno*) Stelko!

Stella.

Słucham, mateczko!

Czeska.

My jutro zajmimy się składką dla nich i zawieziemy im trochę odzieży.

Józwowicz.

A więc i ja pojadę z paniami. Będzie to pierwszy wypadek, że nie nędza doktora, ale doktor nędzy poszuka.

www.libtool.com.cn

Czeska.

Doskonale!

Ksiązę.

(*stukając laską*) Pretwic!

Jerzy.

Co ksiązę rozkaże?

Ksiązę.

Mówisz, że ta hołota bardzo biédna?

Jerzy.

Bardzo biédna.

Ksiązę.

Mówisz, że będą marli z głodu—co?

Jerzy.

Prawie, ksiązę.

Ksiązę.

Dobrze im tak. To Bóg karze ich za to, że wybierają na posłów (*pokazując na Józwowicza*) takich—ot!

Józwowicz.

(*z ukłonem*) Jeszcze mnie nie wybrali.

Stella.

Papo!

Książę.

Stelka, co ja chciałem mówić? Aha! Pretwic!

Ierzy.

Słucham księcia.

Książę.

Powiedziałeś że będą marli z głodu?

Ierzy.

Powiedziałem: prawie.

Książę.

Dobrze! Idźże do kasyera Florkiewicza, żeby dał
tysiąc reńskich dla tej ~~holoty~~ *holoty*. (*stuka laską*) Niech
wiedzą, że ja nie pozwalam obok mnie nikomu umierać
z głodu.

Stella.

Drogi, kochany ojcze!

Drahomir.

Wiedziałem, że się tak skończy.

Józwowicz.

Istotnie, to po książęcu!

Książę.

A tak, panie Józwowicz. *Noblesse oblige!* Rozu-
miesz Jego Ekscelencyo, panie Józwowicz?

Józwowicz.

Rozumiem, Jaśnie Oświecony Książę.

www.Ksiazę.com.cn

(*podając rękę pani Czeskiej*) A teraz chodźmy na herbatę (*Jerzy żegna się i odchodzi*).

Józwowicz.

Ja także muszę państwa pożegnać. Jestem zmęczony, a przytém mam napisać kilka listów.

Książę.

Dalibóg, myślałby kto, że już został ministrem. A przyjdź-że jeszcze zobaczyć mnie, bo bez ciebie nie usnę.

Józwowicz.

Przyjdę, książę.

Książę.

(*mrucząc*) Człowiek zaraz zdrowszy i weselszy, jak tylko ten Robespierre przyjechał.

Stella.

Panie Stanisławie, niech się pan zatrzyma jeszcze chwilę. Ja nie piję herbaty, więc tylko papę posadzę i zaraz powrócę. Mam z panem pomówić.

Józwowicz.

Na usługi księżniczki.

SCENA VII.

Józwowicz sam—potém Stella.

www.libtool.com.cn
Józwowicz.

Co tu robią ci ludzie, i co ona chce mi powiedzieć? Czyżby?... Ale nie! To niemożliwe. Jestem jakiś niepokojny, ale przecie za chwilę wszystko się wyjaśni.... Ach, jakiż ze mnie głupiec! Ona chce po prostu opowiedzieć, co wie o zdrowiu księcia. To ten księżycowy wieczór tak mnie rozstraja, że mi tylko wziąć gitarę w rękę.

Stella.

(*wchodząc*) Panie Stanisławie!

Józwowicz.

Jestem tu, księżniczko!

Stella.

Staralam się, żeby pan długo nie czekał. Siadę tu koło pana i pogadamy, tak jak to dawniej, gdy byłam małą jeszcze i słaba, a pan mnie leczył. Pamiętam, że nie raz zdarzało mi się usnąć, a pan mnie na rękę odnosił śpiącą.

Józwowicz.

Pieszczota całego domu była bardzo słaba wówczas.

Stella.

A dziś, jeśli jest zdrowa, to dzięki panu tylko; jeśli coś umi, to również dzięki panu. Jestem sobie rośliną wypielegnowaną ręką pana.

Józwowicz.

Zatem i zasługą i chlubą moją największą. W życiu jakie pędziłem, mało bywa chwil cichych i ciepłych— a spokoju zaznałem w tym domu tylko.

Stella.

Zawsze pan równie dobry—więc téż i ja uważam pana jakby starszego brata. Przecie pan się o to nie gniewa?

Józwowicz.

Takie słowa pani, to jedyny uśmiech mego życia. Ja panią nietylko czczę, ale i kocham bardzo głęboko— jak siostrę, jak dziecko własne.

Stella.

Dziękuję. W niczyj rozum i prawość nie ufam tyle, ile w pana, i dlatego chciałam pomówić o ważnych rzeczach. Spodziewam się nawet, że to co powiem, ucieszy pana, jak i mnie cieszy, że pan wynosi się coraz wyżej nad zwyczajnych ludzi. Czy to już pewne, że pan ma zostać posłem?

Józwowicz.

(niespokojnie) Nie! to tylko prawdopodobne. Ale mów pani o tém, co jój dotyczy.

Stella.

Więc... Ach, Boże!... Pan jednak nie opuści papy: prawda?

Józwowicz.

(oddychając głęboko) O! pani chce mówić o zdrowiu księcia.

Stella.

Nie. Wiem, że papo ma się teraz lepiej. Doprawdy, nie spodziewałam się, że to tak trudno... Boję się trochę pańskich surowych sądów o ludziach.

Józwowicz.

(z przymusowym spokojem) Nie bierz jednak pani na tortury mojej ciekawości!

Stella.

A więc zamknę oczy i powiem, choć to żadnej panie nie łatwo. Pan zna oddawna pana Jerzego?

Józwowicz.

(coraz niespokojniej) Znam, pani.

Stella.

Jak on się panu podoba?

Józwowicz.

Co pani zależy na mojem zdaniu?

Stella.

To... to mój narzeczonny.

Józwowicz.

(wstając) Narzeczonny?.....

Stella.

Mój Boże! Więc się panu nie podoba mój wybór?

(chwila milczenia).

Panie Stanisławie....

Józwowicz.

Chwilę tylko... chwilę... Wybór pani, jeśli wyszedł z jęj serca i woli, musi być dobry... Tylko... była to dla mnie wiadomość... niespodziana—więc... przyjąłem ją może zażywo — zbyt żywo. Ale nie mogłem jęj przyjąć obojętnie, przez życzliwość dla.... domu państwa. Zresztą moje zdanie nic tu nie znaczy. Owszem — winszuję pani i życzę szczęścia—księżniczko. Życzę szczęścia, serdecznie życzę szczęścia.

Stella.

Będę teraz spokojniejsza: dziękuję panu.

Józwowicz.

Wróć pani do papy. Szczęście jakie spadło na dom książęcy, i mnie trochę zbiło z nóg, bo spadło zbyt niespodzianie. Potrzebuję ochłonać—potrzebuję oswoić się z tą myślą. W każdym razie winszuję wyboru—wróć pani do papy.

Stella.

Dobranoc panu. *(we drzwiach zatrzymuje się chwilę, patrzy na Józwowicza niespokojnie i wychodzi).*

SCENA VIII.

Józwowicz.

(sam) Zapóźno! zapóźno!...

(Zasłona spada).

KONIEC AKTU PIÉRSZEGO.

AKT DRUGI.

Scena przedstawia tenże sam salon.

SCENA I.

Józwowicz. — Antoni.

Józwowicz.

Tutaj, Antoni, tutaj. Będziem się tu mogli rozmówić swobodnie, bo mój pokój odnawiają. Co przynosisz z miasta?

Antoni.

Dobre nowiny. Za godzinę przybędzie tu deputacya wyborców. Trzeba, żebyś im co powiedział — rozumiesz?... Tak coś o oświacie, drogach, mostach, niesłusznym podatkach od soli i mlewa. Ale przecie ty to wiesz lepiej odemnie.

Józwowicz.

Wiem, wiem; a jak tam mój program?

Antoni.

Wrażenie ogromne — winszuję ci. Rzecz napisana z chłodem, powagą i naukową ścisłością. Cyfry choć kłują

w oczy, nie znoszą repliki. Dzienniki konserwatywne wściekają się, — tém bardziej, że nie pozostaje im nic innego, jak plwać.

www.libtool.com.cn
Józwowicz.

To dobrze. Co dalej?

Antoni.

Przed trzema dniami byłeś jednak na przedmieściu zachwiany, ale dowiedziałem się o tém, zebrałem wyborców i palnąłem mówkę: „Obywatele! — powiadam w końcu—na wszystkie wasze i społeczne biedy, znam tylko jedno lekarstwo: zowie się Józwowicz! Niech żyje postęp!”— Uciałem także trochę konserwatystów, ale umiarkowanie: nazwałem ich tylko pasibrzuchami....

Józwowicz.

Nie można powiedzieć—jak na ciebie, było to umiarkowanie. Ty jesteś dzielny człowiek, Antoni. Jest więc nadzieja zwycięstwa?

Antoni.

Prawie pewna. Zresztą, czy teraz zwyciężymy, czy nie — przyszłość przed nami. A wiesz dlaczego? bo pominąwszy wszystkie wrzaski wyborcze, my jednak, zszedłszy się tu we dwóch i mówiąc o naszych sprawach, nie potrzebujemy sobie parskać śmiechem w oczy jak rzymscy augurowie. Postęp i prawda są po naszej stronie, a każdy dzień robi nową szczerbę w tym zbutwiałym murze, który kopiemy. My tylko pomagamy wiekom, więc musimy zwyciężyć. Mówię chłodno: ten lud nasz, ci nasi wy-

borcy, to jeszcze owce, ale my chcemy z owiec ludzi zrobić i w tém nasza siła. Przeciwny obóz będzie wył, wściekał się, obrzucał nas błotem, podkopywał, czernił, ale i my mamy ostre zęby. Po naszej stronie słuszność, inteligencya, nauka—po ich herby, które myszy jedzą. Co do mnie, gdybym nie czuł, że w zasadach moich leży prawda i postęp, pierwszy plunąłbym na wszystko i poszedł do klasztoru.

Józwowicz.

A jednak jeśli teraz nie wygramy, to będzie fatalne, Antoni.

Antoni.

Jestem pewny, że pobijemy. Między nimi tam płocho, jakby już po klęsce! Tyś straszny dla nich kandydat! Ale jeden tylko współzawodnik niebezpieczny: Husarski, szlachcic bogaty i popularny. Drugi, Miliszewski, to dla ciebie korzyść. Rozdzielili się tylko stawiając jego kandydaturę. Sam też im to trochę podszeptałem.

Józwowicz.

Raz dostawszy się do sejmu, postaram się o wpływ.

Antoni.

I zagarniesz go. Wierzę i dlatego nie żałuję pracy. Cha! cha! „Zabrali nam już wszystko—mówił wczoraj w klubie hrabia Hornicki—znaczenie, pieniądze, nawet dobre maniery.”—No, ja tam przynajmniej nie zabrałem im dobrych manier. Niech ich tam dyabli wezmą!

Józwowicz.

Istotnie. Dobrych manier im nie zabrałeś.

Antoni.

www.libtool.com.cn

Ale! mówią w mieście, że twój książę dał tysiąc reńskich na pogorzalców. To może sprawić złe wrażenie dla nas. Trzeba, żebyś i ty co zrobił.

Józwowicz.

Zrobiłem co należało.

Antoni.

A teraz, powiem ci jeszcze... Uważaj-no, Józwowicz. Wczoraj więc... Ale cóż to jest u licha? ja mówię, a ty myślisz o czém inném.

Józwowicz.

Wybacz. Dotknęło mnie wielkie nieszczęście osobiste. Nie mogę tak swobodnie myśleć jak zwykle.

Antoni.

Cóż znowu?

Józwowicz.

Nie zrozumiałbyś, Antoni!

Antoni.

Proszę cię! jestem furmanem wozu, na którym jedziesz. Powinienem wiedzieć o wszystkiém.

Józwowicz.

Nie. Nic ci na tém nie zależy.

Antoni.

Ale zależy na twojej energii, którą zdajesz się tracić. Nie potrzebujemy Hamletów.

www.libfool.com.cn
Józwowicz.

(*ponuro*) Mylisz się, Antoni. Nie dałem za wygraną.

Antoni.

Widzę. Zęby jakosć ściskasz mówiąc o tém. Zresztą niech mnie powiesz, jeśli w twoim charakterze leży dawać za wygrane.

Józwowicz.

Może być że nie. Pracuj bym został posłem. Dwie gry przegram, jeśli ty przegrasz.

Antoni.

Musieli ci dyabło przypiec, bo strasznie syczysz.

Józwowicz.

Stara historia. Chłop sześć lat nie sypiał, nie jadł, ręce okrwawił, grzbiet zgarbił, a nosił deski na chałupę; po sześciu latach przyszedł pan, kopnął nogą w chałupę i powiedział: tu stanie mój zamek. Jesteśmy dość sceptyczni, żeby się śmiać z tego.

Antoni.

To był prawdziwy pan!

Józwowicz.

Pan z panów: z głową tak wyniosłą, że i nie zauważył, co mu tam pod nogą pękło.

Antoni.

To historia w moim guście. Cóż chłop?

Józwowicz.

www.libtool.com.cn

Wedle staréj tradycyi chłopskiéj, myśli o hubce i krzesiwie.

Antoni.

Królewska myśl! Doprawdy zbyt pogardzamy tradycją. Są w niéj rzeczy bardzo zdrowe.

Józwowicz.

Dość. Mówmy o czém inném.

Antoni.

(*rozglądając się dokoła*) Stary dom i okazały? Co-by to była za chałupa!

Józwowicz.

O czém mówisz?

Antoni.

O niczém. Józwowicz! czy stary książę ma córkę?

Józwowicz.

Tak. Alboż co?

Antoni.

(*śmiejąc się*) Hi, hi! Dalibóg, od twego nieszczęścia i twéj historyi zaleciało mnie damskiemu perfumami. Zwie-trzyłem tu jakąś książęcą spódniczkę. Poza posłem jest Józwowicz, jak poza frakiem szlafrok. Witajże mi w szla-froku, zakochany pośle! Ach, jak tu pachną perfumy!

Józwowicz.

Sprzedaj na innym targu twoję domyślność. To sprawa osobista.

www.libtool.com.cn

Antoni.

Albo i nie, bo to znaczy, że ty w sprawy ogólne kładziesz tylko pół duszy. To się na lichu zdało. Patrz na mnie: szczują mnie jak psa po dziennikach, wyszydzają w komedjach, a ja o to nie dbam. Powiem ci więcéj! czuję, że pozostanę zawsze na dole, choć nie brak mi sił, ani inteligencji. Mógłbym pokusić się o pierwsze miejsce w obozie, o buławę, a jednak tego nie robię. Dłaczęgo? bo znam siebie na wylot, bo wiem, że nie mam statku, powagi, taktu. Byłem i jestem świszczypałą, narzędziem, którym się posługują tacy jak ty, a które jutro może nogą kopną, gdy im przestanie być potrzebne. Ale miłość własna mnie nie zaślepia; o siebie nie dbam: pracuję dla moich przekonań i kwita. Z urzędu wypędzą mnie lada dzień, w domu u mnie często bięda, a choć kocham żonę i moje pędraki, mniejsza o wszystko. Gdy idzie gra, niech idzie, a gdy sprawa przekonań, będę dla niej żył, agitował, burzył. Jam w to włożył całą duszę. A tobie staje w drodze jedna książęca spódniczka! Nie spodziewałem się tego po tobie, Józwowicz. Tfu! pluń na wszystko i chodź z nami.

Józwowicz.

Mylisz się, Brutusie. Nie pragnę męczeństwa, ale zwycięstwa; im zaś więcéj węzłów osobistych łączy mnie ze sprawą, tém gorliwiéj będę jój służył: umysłem, sercem, czynem, wszystkim co składa człowieka—nie rozumiesz?

Antoni.

Amen! Oczy mu błyszczą jak wilkowi... Poznaje cię.

Józwowicz.

Czego chcesz więcej?

Antoni.

E! już niczego. Powiem ci tylko, że nasz program mówi: bij przeciwne zasady, nie ludzi.

Józwowicz.

Niechże twa dziewicza cnota się uspokoi: nie otruję nikogo.

Antoni.

Wierzę. Jednakowoż, jeszcze ci coś powiem: znam cię dobrze, cenię twoją energią, twoją naukę, twój rozum, ale—nie chciałbym ci stanąć na drodze.

Józwowicz.

Tém lepiej dla mnie.

Antoni.

Zresztą jeśli chodzi o pańków, to mimo naszego programu, daruję ci ich.—Głów im przecie nie pourywaś!

Józwowicz.

Zapewne. Teraz wracaj i pracuj dla mnie, a raczej dla nas.

Antoni.

Dla nas, Józwowicz. Nie zapominaj o tém.

Józwowicz.

Bez przysięg nie zapomnę.

Antoni.

Więc jakże sobie tu z pankiem poradzisz?

Józwowicz.

Czy wymagasz zwierzeń?

Antoni.

Najprzód nie potrzebuję ich, bo w naszym obozie jest się dosyć domyślnym. Chodzi o córkę księcia i kwi-
ta. Ale mnie ciągle wraca myśl, że ty dla niej możebyś
i sprawę poświęcił. Pracując dla ciebie, odpowiadam za
ciebie, więc bądźmy szczerzy.

Józwowicz.

Bądźmy szczerzy.

Antoni.

Zatém powiedziałeś sobie: wysadzę z siodła panka—
i wysadź go. To twoja rzecz, ale ja jeszcze raz pytam:
dla nas czy dla księżniczki chcesz zostać posłem?—to zno-
wu moja rzecz!

Józwowicz.

Kładę ci kartę na stół. Ja, ty i my wszyscy nowi
ludzie, mamy to do siebie, żeśmy nie lalki wycięte z pa-
pięru i pomalowane jedną farbą. Jest w nas miejsce na
przekonania, na miłość, na nienawiść, słowem, jak ci już
mówiłem: na wszystko z czego się składa człowiek zupeł-
ny. Natura dała mi serce i prawo do życia, więc pragnę

szczęścia; dała mi umysł—więc służyć wybranėj idei. Co to jedno drugiemu przeszkadza? Czemu księżniczkę przeciwstawiasz sprawie—ty człowiek trzeźwy i rozumny?—czemu frazesem chcesz zastąpić życie? Mam prawo do szczęścia i zdobędę je i będę umiał pogodzić życie z idea, jak żagiel z okrętem. Tém pewniój popłynę. Zrozumiěj mnie. W tém siła nasza, że umiemy godzić, i wyższość nad nimi—bo oni właśnie nie umieją żyć. Ile będę wart bez téj kobiety—nie wiem. Nazwałeś mnie Hamletem. Możebym nim został, ale wy nie potrzebujecie Hamletów.

Antoni.

W głowie przewracasz mi jak w młynie i zdaje mi się znowu, że masz słuszość. Jednakowoż dwie walki będziesz prowadził zamiast jednéj i siły rozproszysz.

Józwowicz.

Nie!—sił mam dosyć.

Antoni.

Powiedz krótko: ona jest narzeczoną?

Józwowicz.

Tak.

Antoni.

I kocha narzeczonego?

Józwowicz.

Albo się łądzi.

Antoni.

W każdym razie nie kocha ciebie.

Józwowicz.

Jego naprzód muszę usunąć. — Tymczasem, ty leć i pracuj.

www.liternet.com.cn

(*patrząc na zegarek*) Za chwilę przybędzie do ciebie deputacya.

Józwowicz.

Dobrze. Książę tu idzie z hrabiną Miliszewską i jej synem, moim współzawodnikiem. Chodźmy.

SCENA II.

Książę — Stella — Pani Czeska — Hrabina Miliszewska — Jan Miliszewski — Podczaski — Hrabina.

Hrabina.

Więc mówię księciu, że taka rzecz w głowie się prawie nie chce pomieścić. Świat chyba teraz dziczeje zupełnie.

Książę.

Ja przecie to samo mówię, pani hrabino. Stella? czy ja tego nie mówię?

Stella.

O! bardzo często.

Hrabina.

(*z cicha do syna*) Siadaj koło księżniczki i baw ją, Jean, puszczaj się!

Jan.

Puszczę, mamam!

Hrabina.

Ale to zachwalstwo przeszło już miarę. Posłałam pana Podczaskiego do wyborców. a oni mówią: „nie potrzebujemy posłów bez głowy.” Dziwi mnie tylko, że to i księcia nie oburza. Do czego to doszło i do czego dojdzie. Ja tu latam, biegam, kręcę się jak muszka, poruszam niebo modłami, a oni śmiały stawiać przeciw kandydaturze mego syna, kandydaturę jakiegoś pana Józwowicza!

Ksiązę.

Laskawa pani, co ja mogę na to poradzić?

Hrabina.

I kto jest ten, ten pan Józwowicz?—doktor! Cóż to jest doktor? Jean ma wpływy, znaczenie, stosunki, koligacje; a on co? Zkąd się tu wziął, kto o nim kiedy słyszał! Doprawdy, nie mogę mówić spokojnie i myślę, że to chyba koniec świata się zbliża. Nieprawda panie Podczaski?

Podczaski.

(z ukłonem) Tak jest, pani hrabino dobrodżiko! Gniew boży!... nigdy tak często nie grzmiało.

Ksiązę.

Grzmiało? pani Czeska—co? grzmiało?

Czeska.

Zwyczajnie, jak z końcem wiosny. Co tam!

Hrabina.

(pocichu) Jean, puszczaj się!

Jan.

Puszczam się, maman!

Hrabina.

Zobaczy ksiązę, że oni Janka nie obiorą posłem jedynie przez nienawiść dla nas, na złość nam. Bo zresztą czy to Jean nie potrafiłby być posłem? czy to on nie skończył nauk w Metz? Mówią, że nie zna kraju i nie rozumie jakichś tam potrzeb. Tu przedewszystkiém trzeba nie pozwolić, by tacy Józwowicze znaczyli coś w kraju. Prawda, mój ksiązę.

Ksiązę.

Nie pozwólże mu pani, kiedy on sobie sam pozwoli.

Hrabina.

I otóż właśnie koniec świata, że tacy ludzie mogą sobie pozwalać co im się podoba. Śmiać mówić, że Jean nie potrafiłby być posłem, a pan Józwowicz potrafi? Jean zawsze celował w naukach w Metz. Jean! wszakże celowałeś w naukach i talentach?

Jean.

Celowałem, maman!

Podczaski.

Koniec świata! Święte słowa pani hrabiny.

Stella.

Czemuż pan poświęcał się szczególnie?

Jean.

Ja, pani, studyowałem historią herezyi.

Książę.

Studyował kogo, pani Czeska—co?

Hrabina.

Dotychczas nie mieliśmy między sobą talentó
co oni nam ciągle wyrzucali, a przecie do dyplomacyi i
trzeba niemałego talentu.

Podczaski.

Pan hrabia ma nawet i minę dyplomaty.

Książę.

(n. s.) No, dalibóg—niebardzo!

Czeska.

Pan hrabia jest małomówny i poważny.

Jan.

Nie, pani. Czasem dosyć mówię.

Hrabina.

Co do mnie z góry zapowiadam, że jeśli Janek
nie utrzyma, wyjeżdżam z kraju.

Podczaski.

I sami sobie winę przypiszą.

Hrabina.

Ale jeśli Janek się nie utrzyma, to będzie księć
wina.

Książę.

Moja?

Hrabina.

Jak książę może pozwolić takiemu panu Józwowiczowi, by współzawodniczył z osobami z towarzystwa? jak książę może go trzymać?

Książę.

Już to co prawda, to nie ja jego, ale on mnie trzyma, bo gdyby nie on, to jabym już dawno (*robi znak ręką*).

Hrabina.

Tembardziej. Więc on księciu w domu potrzebny, a jak będzie siedział w mieście, kto będzie księcia doglądał?

Książę.

A prawda, Stelka? a prawda?

Hrabina.

Książę musi mu zakazać. Nie puszcze księcia, póki mi nie przyrzeknie, że mu zakaze. To niesłychana rzecz! Książę ma przecie prawo, on jest u księcia, książę go wychował, więc ma nad nim władzę.

Stella.

Droga pani, doktor jest przyjacielem papy. Papa może go tylko prosić, a i to nie wiem, czy byłoby skuteczne.

Hrabina.

(*z gniewem*) Do tego więc doszło? Więc książę będzie go popierał, więc zostanie narzędziem w jego rękę i przez niego będzie służył demokracji?

Książę.

Co? ja służę demokracji? Stelka—słyszysz? ja służę demokracji? (*stuka łaską*).

Hrabina.

Tak wszyscy powiedzą. Pan Józwowicz jest kandydatem demokracji.

www.Książę.com.cn

Ale ja nie jestem, i kiedy tak, to i jemu nie pozwolę. Mam już tego dosyć, niechże się raz skończy. Już mi te demokracje pana Józwowicza ością stały. Niech nie mówią, że jestem narzędziem demokracji! (*dzwoni—wchodzi służący*) Prosić tu doktora natychmiast.

Hrabina.

Otóż teraz książę jest prawdziwym księciem.

Książę.

Ja służę demokracji!

Stella.

Papo! papo!

Hrabina.

A my tymczasem pożegnamy księcia. Jean zabieraj się. Adieu droga Stello, adieu moje dziecko. (*do syna*) Pocałuj księżniczkę w rękę!

SCENA III.

Ciż — Józwowicz.

Józwowicz.

Przepraszam księcia, jeśli się spóźnił, ale przybyła do mnie deputacya, musiałem z nią skończyć!

Hrabina.

Co, deputacya tu jest? Jean, puszczaj się!

Józwowicz.

(z ukłonem) Niech się hrabia spieszy, bo odjadą!

Podczaski.

Padam do nóg *Jaśnie Oświeconego Księcia (Hrabina, Jan i Podczaski wychodzą—za nimi Stella i pani Czeska).*

SCENA IV.

Józwowicz—Ksiązę.

(*chwila milczenia*).

Ksiązę.

(*stukając laską*) Oświadczam panu, że mu zakazuję starać się o mandat.

Józwowicz.

A ja, że nie posłucham zakazu.

Ksiązę.

Pan mnie do wściekłości doprowadzasz.

Józwowicz.

Ksiązę mi przyszłość zamykasz.

Ksiązę.

(*w pasy*) Ja pana od małego wychowałem.

Józwowicz.

Ja księcia—zachowuję.

Ksiązę.

Ja dla pana byłem jakby ojcem.

Józwowicz.

Książę! pomówmy spokojnie. Jeśli książę byłeś dla mnie ojcem, ja jestem dlań dotychczas z przywiązaniem synowskiem. Ale ojciec nie powinien synowi zamykać drogi do publicznego zawodu.

Książę.

Publiczne zawody nie dla takich jak waspan.

Józwowicz.

(*śmiejąc się*). Przed chwilą nazwałeś mnie książę synem.

Książę.

Jakim synem, co za synem!

Józwowicz.

Jakie synowstwo, takie posłuszeństwo!

Książę.

A! wykręca się, wykręca! Stelka? A! niéma jój!

Józwowicz.

Mój książę! gdybym istotnie był waszym synem, miałbym tytuł, majątek, słowem wszystko, co książę posiada; ale jako człowiek biędny, sam sobie muszę torować drogę i nikt niéma prawa mi jój tamować, zwłaszcza, jeśli jest prosta i uczciwa. (*śmiejąc się*) Chyba książę zechcesz mnie adeptować, żeby ród nie zaginął.

Książę.

Co ty pleciesz, Józwowicz, co ty pleciesz!

Józwowicz.

Tylko żartuję. No, drogi książę, przestańmy się irytować, bo to nam szkodzi.

www.litpol.com.cn

Książę.

A prawda! irytacja mnie szkodzi. Czemu ty mi u dyabła, chłopcze, nie ustąpisz z tém poselstwem?

Józwowicz.

Trzeba się postawić w mojem położeniu. To moja przyszłość.

Książę.

A mnie tymczasem napadają tu, irytują i jeszcze do łóżka zapędzą. Zamłodu byłem w tylu bitwach i nie bałem się... Mogę pokazać krzyże; nie bałem się śmierci w bitwie, ale te wasze łacińskie choroby..... Czegóż się tak na mnie patrzysz?

Józwowicz.

Patrzę jak zwykle, a co do choroby, powiem księciu, że więcej jęj w wyobraźni, niż w rzeczywistości. Organizm jest silny, i z moją pomocą będziem żyć Matuzalowe lata.

Książę.

Jesteś pewny: co?

Józwowicz.

Najpewniejszy.

Książę.

Pocciwy chłopiec! A nie odstąpisz-że ty mnie?

Józwowicz.

Może ksiązę być pewny.

Ksiązę.

No, to bądźże sobie posłem, czy dyabłem. Stelka!—
a! niéma jój! Dalibóg, że ten Miliszewski, widzisz, głu-
pi: co?

Józwowicz.

Nie mogę przeczyć.

SCENA V.

Ciż—Stella i pani Czeska.

Stella.

Wchodzę, bom się obawiała, żeby panowie nie po-
sprzeciali się zanadto. Cóż, jak się skończyło?

Ksiązę.

A cóż, ten niegodziwiec zrobił co chciał: mało bra-
kło, a kazałby mi się jeszcze prosić, żeby przyjął mandat.

Józwowicz.

Istotnie, ksiązę raczył zgodzić się na moje zamiary,
i pozwolił starać mi się o wybór.

Ksiązę.

Tak, pozwoliłem.

Stella.

(grożąc) Ej doktorku!

Czeska.

Ile to zabiegów i sporów! Czy to nie lepiej, żeby jeden drugiemu ustąpił. Przecie przysłowie nawet mówi: mądry głupiemu ustąpi.

www.libtool.com.cn

Józwowicz.

Trzymaliśmy się dotąd téj zasady we wszystkich naszych sprawach.

Stella.

Niech papa zejdzie teraz do ogrodu. Pan Jerzy i pan Karol przyjechali. Czekają przy łodziach, bo mamy jeździć po jeziorze. Pan Karol ma tu przyjść po mnie, jak wszystko będzie gotowe.

Księżę.

Pani Czeska, więc chodźmy (*odchodzą*). Widzi pani, ten Miliszewski... (*odchodzą*).

SCENA VI.

Józwowicz—Stella—później Drahomir.

Stella.

Jak tam zdrowie ojca, kochany doktorze?

Józwowicz.

Jak najlepiej. Ale pani naprawdę pobiadła.

Stella.

O! jam zdrowa.

Józwowicz.

Więc chyba trochę smutna.

Stella.

I to nie. Może tylko poważniejsza niż dawniej.

Józwowicz.

Jak zwykle—narzeczona.

Stella.

Tak...

Józwowicz.

Jednakże trzeba się bawić i rozrywać, bo zdrowie tego wymaga.

Stella.

Doprawdy, nie pragnę zabawy.

Józwowicz.

Jeśli nie zabawy, to choć wesołości... Wszyscy tu jesteśmy zbyt zgorzkniali dla pani; często nawet, może nie umiemy pani zrozumieć.

Stella.

Wszyscy aż nadto jesteście dobrzy.

Józwowicz.

A przynajmniej troskliwi. Jeśli pani ma chwilę czasu, siądźmy i pomówmy. Niech ta troskliwość wytłómaczy moją śmiałość. Z powagą narzeczonej chodzi zwykle pogoda i szczęście. Kto bez żalu całe serce oddaje, ten nie może tęsknić za niczym i jasno patrzy w przyszłość.

Stella.

W każdej przyszłości jest coś, co chwilami przejąć może niepokojem najodważniejszą duszę.

www.libtool.com.cn

Józwowicz.

Co takiego, pani?

Stella.

Choćby to, że ta przyszłość nadejdzie dopiero.

Józwowicz.

Nazywałaś mnie nieraz pani sceptykiem, a jednak, to ja mówię: kto kocha, ten wierzy.

Stella.

Więc co, doktorze?

Józwowicz.

Więc kto wątpi....

Stella.

Panie Stanisławie....

Józwowicz.

Ja nie badam, księżniczko. Chwilami widzę, że pogoda znika z twarzy pani, a zatem dopytuję jak doktor, jak przyjaciel. Uspokój mnie pani. Proszę pamiętać, że pyta człowiek, którego nazwałaś pani także bratem, i który sam jeden wie, jak mu jest drogie szczęście takiej siostry. Nie mam nikogo na świecie: wszystkie uczucia rodzinne związałem z domem waszym. I ja mam serce,

które się troska. Uspokój pani moje obawy: oto wszystko czego żądam.

Stella.

Jakie obawy? Ja nie wiem...

Józwowicz.

Obawy, których wypowiedzieć prawie nie śmiem. Od czasu jak tu jestem, oczy moje nie odwracają się od pani, i im więcej się wpatruję, tém więcej się lękam. Pani boisz się przyszłości, pani nie patrzysz w nią z ufnością i nadzieją.

Stella.

Niech mi pan pozwoli odejść....

Józwowicz.

Nie, pani. Ja mam prawo pytać, a jeśli pani nie śmiesz spojrzeć w głąb swego serca, to mam prawo i powiedzieć, że to słabość i brak odwagi; a taką grzeszną słabość płaci się później własném i cudzém szczęściem. I ja cierpię, pytając, ale trzeba—trzeba. Słuchaj mnie, pani, w kim jest choć cień wątpienia, ten myli się co do natury swych uczuć.

Stella.

Doktorze!... Alboż można się tak mylić?

Józwowicz.

Można. Czasem wziąć można sympatyą, współczucie i litość za miłość.

Stella.

Okropna pomyłka!!...

Józwowicz.

Którą poznaje się wówczas, gdy serce rwie się w inną stronę. Wówczas powaga narzeczonej jest skrywanym bólem. Jeśli się mylę, przebacz mi pani!

Stella.

Panie Stanisławie, ja nie chcę myśleć o takich rzeczach.

Józwowicz.

Zatém, nie mylę się. Nie patrz na mnie pani z przeżeniem, ja chcę cię ratować, dziecko kochane! Gdzie serce twoje? Jeśliś poznała w tej chwili, że nie kochasz Jerzego, to taż sama chwila powie ci kogo kochasz. Nie! nie cofnę pytania! Gdzie serce twoje? Na Boga! jeśli to ktoś nierówny ci, on się wzniesie aż do ciebie. Ale nie! i ja już szaleję.

Stella.

Chcę odejść i muszę odejść.

Józwowicz.

(*zastępując ję*) Nie! nie odejdiesz, póki nie odpowiesz. Kogo kochasz?

Stella.

Doktorze, oszczędzaj mnie—bo inaczej — zwątpię o wszystkim... Zlituj się nademną...

Józwowicz.

(*gwałtownie*) Kogo kochasz?!

SCENA VII.

Ciż — Drahomir.

Drahomir.

Księżniczko!

Stella.

Ach!

Drahomir.

Co to? przestraszyłem panią. Przyszedłem tylko powiedzieć, że czekamy przy łodziach... Co pani jest?

Stella.

Nic! Idźmy!

(Drahomir podaje jej rękę, wychodzą).

SCENA VIII.

Józwowicz (*sam*).

(patrząc za odchodzącymi) Aa! ro... zu... miem!

(Zasłona spada).

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

AKT TRZECI.

Tenże sam salon.

SCENA I.

Podczaski wchodzi pierwszy—za nim służący.

Podczaski.

Powiedz doktorowi, że pan Podczaski kłania mu się i czeka na niego w pilnym interesie.

Służący.

Pan doktor bardzo zajęty, bo i księżniczka niezdrówą, ale mu powiem (*wychodzi*).

Podczaski.

(*sam*) Fiu! fiu! hrabina posyła na przedmieścia: „Podczaski leć, Podczaski agituj! Podczaski namawiaj!” a pieniędzy nie daje. Latam, kłaniam się, namawiam, ściskam łyków, aż im oczy wyłażą, a jak proszę żeby pożyczyla sto reńskich, to mi powiada: zobaczymy po wyborach! Tak? Ano dobrze! Więc to ja mam babie borgować, nie ona mnie? mam za swoje pić z łykami?—A to wolę pić sam! Do dyaska z taką służbą! Padam do nóg

pani hrabino dobrodzik, całuję stopki. Jeśli ma tak być, to trafię gdzieindziej. Kiepska służba! wolę pójść do doktora. Tacy jak doktor, płacą, bo mają rozum. A że on i tak wszystkich za łeb weźmie, to człowiek i w znaczeniu się podniesie. Arystokratka, a szlachci-cowi stu reńskich nie chce pożyczyć....

SCENA II.

Podczaski—Józwowicz.

Podczaski.

Kłaniam panu doktorowi dobrodziejowi, ściele się do stópek pana doktora dobrodzieja!

Józwowicz.

Czém mogę służyć, panie Podczaski?

Podczaski.

Panie dobrodzieju! ja bez ogródek, wprost do ma-teryi. Panu dobrodziejowi wiadomo, jakie usługi odda-wałem pani hrabinie Miliszewskiej?

Józwowicz.

Trochę.

Podczaski.

Jako były obywatel ziemski... gdyż miałem kolonię...

Józwowicz.

(*przerywając*) Po stracie kolonii mieszkasz pan na Łyczakowie i agitujesz pan dla młodego hrabiego Mili-szewskiego przeciw mnie.

Podczaski.

Niech Bóg uchroni... To jest, panie dobrodziejó, tak było, ale przejrzałem dość wcześnie. Robiło się co mogło. Ma się tam jakieś stosunki między łyka... między mieszczaństwem. Umiejęć uczcić pochodzenie. Niech jednak pan dobrodziej będzie pewny...

Józwowicz.

Krótko, czego pan żądasz?

Podczaski.

Bóg widzi, panie dobrodziejó, służyłem pani hrabinie wiernie i wykosztowałem się nie mało, ale przeciw tak rozumnemu człowiekowi jak pan dobrodziej... wszedłszy w sumienie—chybaby ze szkodą kraju, a tego nie chcę.

Józwowicz.

Uznaję pańskie obywatelskie uczucia. Nie chcesz pan być przeciw mnie?

Podczaski.

Nie chcę, panie dobrodziejó, nie chcę.

Józwowicz.

Masz pan słuszność. Więc za mną?

Podczaski.

Gdybym się ośmielił służyć moje ofiarować...

Józwowicz.

Przyjmuję.

Podczaski.

(*n. s.*) Takich to rozumiem—sto reniów, jak w kieszeni. (*głośno*) Wdzięczność moja.

Józwowicz.

(*przerrywając*) Moja okaże się po wyborach.

Podczaski.

Po wy-bo-rach?

SCENA III.

Ciż — Jan Miliszewski -- później Antoni.

Jan.

Dzień dobry, doktorze! czy tu niéma mamy?

Józwowicz.

Nie, hrabio, niéma mamy.

Jan.

A bo myśmy tu przyjechali oboje, ale mama zaraz poszła do apartamentów księcia, ja trochę zostałem, i teraz nie mogę trafić do apartamentów księcia (*spostrzegając Podczaskiego, który się kłaniał od początku sceny*). A! pan Podczaski, co pan tu robi?

Podczaski.

Padam do nóżek pana hrabiego. Ot! poradzić się przyjechałem: w nogach strzyka, w głowie strzyka!

Jan.

Czy doktor będzie łaskaw mi pokazać gdzie są apartamenta księcia?

Józwowicz.

Na lewo, w amfiteatrze.

już nic nie chcę. Znasz ją dawniej odemnie, więc udałem się do ciebie, jako do jej i mego przyjaciela. Odpowiedziałeś mi drwinami. W oczach błyszczy ci nienawiść do mnie, choć nie uczyniłem ci nic złego, a powitałem pierwszy jak dawnego kolegę. Sądź sam! Jabył miał większe prawo spytać: czego chcesz odemnie, gdyby nie to, (z dumą) że mi to wszystko jedno (*wychodzi*).

Józwowicz.

Zobaczmy.

SCENA XIV.

Józwowicz—Służący.

Służący.

Umyślny od pana Antoniego przyniósł list.

Józwowicz.

Dawaj. (*Służący wychodzi. Józwowicz patrząc na drzwi, które mi wyszedł Jerzy*) Oh! i ja już nie panuję nad nienawiścią. Zgniotę cię w proch, i teraz przed niczem się nie cofnę!.... (*rozrywa gorączkowo pieczętkę*). Przekleństwo! muszę tam jechać jeszcze dziś!

SCENA XV.

Józwowicz—Pani Czeska.

Czeska.

(*wchodząc żywo*) Doktorze, szukam pana po całym domu.

Józwowicz.

Co się stało?

Józwowicz.

Pieniędzy.

Antoni.

A, ofiarował głosy—domyślam się. Dałeś mu?

Józwowicz.

Nie.

Antoni.

To dobrze. My nie przekupujemy. Agitacya—to co innego. Ale mniejsza o to. Wiesz?—szczęście, że postawili kandydaturę Miliszewskiego; inaczej byłbyś przepadł, bo większość miałby Husarski. Chociaż on i tak groźny, w niektórych obwodach ma większość.

Józwowicz.

Pobiją nas, Antoni?

Antoni.

Nie! Od tego jestem. Uf! jakim zmęczony: odpoczną choć przez pięć minut. (*siada*) O, jak Boga kocham, jakie tu miękkie kanapy. W okręgach Husarskiego trzeba dać pieniędzy na jakie cele publiczne. Masz ty pieniądze?

Józwowicz.

Mam trochę.

Antoni.

Byle początek—potém uzyskasz od sejmu poparcie. Zafundujemy jaką szkołkę. Uf! jakim ja zmęczony!

Józwowicz.

Zatém masz klucz od biórka, jest tam trochę gotówki i weksle na bank.

Antoni.

Dobrze, ale muszę odpocząć. Tymczasem—co tu u ciebie słyszać? Zmizerniałeś, oczy ci wpadły. Musisz się tu gryźć. Dalibóg nie kochałem się w ten sposób w mojej żonie. Mów, przez ten czas odpocznę, ale mów otwarcie.

Józwowicz.

Bądź spokojny, z tobą będę otwarty.

Antoni.

Cóż dalej?

Józwowicz.

To małżeństwo nie przyjdzie do skutku.

Antoni.

Dlaczego?

Józwowicz.

Taki czas przyszedł, że tym ludziom nic się nie udaje.

Antoni.

Na strych mi z temi pawianami! Cóż ten twój ludożerca? ten Pretwic?

Józwowicz.

Długoby mówić. Księżniczka brała litość i współczucie, jakie dla niego czuła, za coś głębszego. Dziś wie, że go nie kocha.

Antoni.

Dobryś! Doprawdy, możnaby powiedzieć, że ściga tych ludzi jakiś fatalizm. To los ras przeżytych.

Józwowicz.

I logika rzeczy nieubłagana.

Antoni.

Więc ona nie pójdzie za niego? W gruncie mi ich żal. Niech ich tam licho porwie!

Józwowicz.

Poszłaby, choćby słowa miała dotrzymać za cenę życia. Ale tu ktoś trzeci zapłatał się w tę sprawę—hrabia Drahomir.

Antoni.

Co rusz, to hrabia! Więc ona zdradza Jerzego?

Józwowicz.

Kto cię uczył sądzić ludzi, niech ci wróci pieniądze.

Antoni.

Ale bo prawdę rzekłszy, za te wszystkie wasze salonowe wielkie sprawy nie dałbym pięciu centów.

Józwowicz!

Ona i Drahomir nie rozumieją nawet, że się kochają. Jakaś siła nieprzeparta ciągnie jedno ku drugiemu—jaka?—nie pytają. To dzieci niewinne.

Antoni.

Więc ja o coś spytam. Co ci z tego przyjdzie?

Józwowicz.

Słuchaj demokrato! gdy dwóch rycerzy kocha się w jednej kasztelance, miłość kończy się zwykle dramatycznie, i kasztelanka dostaje się komuś trzeciemu.

Antoni.

A rycerze?

Józwowicz.

Mniejsza o nich, niech zginą.

Antoni.

(*deklamując*) „Na grobie jego rośnie mech,
Ach! wszakto kurek zdechl!”

Co myślisz, że się stanie?

Józwowicz.

Nie wiem.... Pretwic to człowiek gwałtowny.... Nie przewiduję nic, widzę tylko logikę rzeczy, która mi sprzyja i nie będę takim głupcem, by jej wbrew własnemu szczęściu przeszkadzać.

Antoni.

Oh! jestem pewny, że jak będzie trzeba, to ty jej nawet pomożesz.

Józwowicz.

Ha! jestem doktorem. Obowiązkiem moim jest pomagać naturze.

Antoni.

Ot i gotowy program! Znam cię! Przychodzi mi tylko jedna myśl: zkąd wiesz, że tak jest, jak mówisz? Może to wszystko koszałki opałki?

Józwowicz.

Mogę mieć zupełną pewność przez dawną nauczycielkę księżniczki.

Antoni.

Dowiedz się jak najprędzej.

Józwowicz.

Za chwilę pani Czeska tu nadejdzie: prosiłem ją o to umyślnie.

Antoni.

To ja zmykam. Wiesz co jeszcze? Nie pomagaj ty zanadto naturze, bo to byłoby....

SCENA IV.

Ciż — Pani Czeska.

Czeska.

(wchodząc) Życzył pan sobie ze mną pomówić?

Józwowicz.

Tak jest.

Antoni.

(klania się pani Czeskiej, następnie do Józwowicza)
Więc idę po pieniądze i wracam za chwilę. Przyniosę ci kwity.

Józwowicz.

Dobrze *(Antoni wychodzi)*.

Czeska.

Kto jest ten pan?

Józwowicz.

Sternik.

Czeska.

Jakto?

Józwowicz.

On prowadzi okręt, na którym płynę; zresztą straszliwie poczciwy człowiek.

Czeska.

Nie rozumiem dobrze. O czém pan chciał ze mną mówić?

Józwowicz.

O księżniczce. Jesteście panie jak matka z córką, zatém pani powinnaś wiedzieć wszystko. Co jój jest? Ona tai jakieś zmartwienie. Jako doktor, pani, i ja powinieniem wiedzieć wszystko, bo żeby leczyć słabości fizyczne, trzeba znać nieraz powody moralne. (n. s.) Duchu Eskulapa, przebac mi ten frazes!

Czeska.

Mój dobry panie, o co pan pyta?

Józwowicz.

Mówiłem pani, że księżniczka tai jakieś zmartwienie.

Czeska.

Nie wiem.

Józwowicz.

Oboje zarówno ją kochamy, więc mówmy szczerze...

Czeska.

Jestem gotowa.

Józwowicz.

A zatém, czy ona kocha narzeczonego?

Czeska.

Co pan mówi, doktorze? Inaczej nie byłaby narzeczoną. Doprawdy, że wy wszystko lubicie tak brać na rozum, że czasem więcej niż się powinno mieścić. Kogożby miała kochać? Naturalnie, że skoro jest narzeczoną, to kocha. Ja to uważam za tak proste, że nawet nie mówię więcej o tém ze Stelką.

Józwowicz.

Powiadasz, pani: nie mówię więcej, zatém była mowa poprzednio.

Czeska.

Tak jest. Mówiła mi, że nie wie czy go dość kocha. Ale bo to mój panie, każda czysta dusza obawia się, czy spełnia jak należy obowiązek. Co téż panu mogło przyjść na myśl.

Józwowicz.

(kłaniając się) To tylko chciałem wiedzieć *(n. s.)*. Szkoda tu czasu!

SCENA V.

Ciż — Jan Miliszewski.

Jan.

Dotychczas nie mogłem znaleźć mamy. Dzień dobry pani! Może przeszkadzam?

Czeska.

Nie, my już skończyliśmy. *(do Józwowicza)* Ona spełni obowiązek: niech pan będzie spokojny.

Józwowicz.

Dziękuję (*Czeska wychodzi*).

Jan.

Doktorze? www.libtool.com.cn

Józwowicz.

Słucham.

Jan.

Ja muszę mówić o rzeczach bardzo delikatnych.

Józwowicz!

Proszę otwarcie.

Jan.

Zróbmy z sobą układ jak dobrzy ludzie. Mama chce, żebym ja został posłem, ale ja nie mam ochoty.

Józwowicz.

Zbytek skromności.

Jan.

Pan to mówi nieszczerze, a ja nie umiem się bronić. Wcalebym się nie starał o to poselstwo, gdyby nie mama. Widzi pan, jest taka rzecz: jak mama chce czego, to musi być. Wszystkie Srokoszyńskie są takie, a mama z domu Srokoszyńska.

Józwowicz.

Pan hrabia ma przecie własną wolę.

Jan.

W tém właśnie bięda, że się tak złożyło, że znowu Miliszewscy zawsze słuchają kobiet. My się tém odznaczamy, panie!

Józwowicz.

Rycerski znak. Ale czem mogę służyć?

Jan.

Oto ja panu nie będę przeszkadzał w poselstwie.

Józwowicz.

Szczerość za szczerość: pan zamiast przeszkadzać, pomagałeś mi dotąd.

Jan.

Nie wiem jakim sposobem, ale jeśli tak, to niech mnie doktor pomoże z kolei.

Józwowicz.

W czém?

Jan.

To właśnie rzecz delikatna. Ale sekret, doktorze, przed mamą.

Józwowicz.

Naturalnie.

Jan.

Mama chce żebym się żenił z księżniczką, a ja, panie, nie chcę....

Józwowicz.

Pan nie chce?

Jan.

Pan się dziwi?

Józwowicz.

Wyznaję....

Jan.

Nie chcę, bo nie chcę. Jak się człowiek niéma ochoty żenić, no, to się niéma ochoty żenić. Pomyśli pan, że się kocham w kim innym? Może. Dość że nie w księżniczce. Naturalnie, że jak mama zawoła: „Jean puszczaj się!” to się puszczam, bo cóż mam robić? Miliszewscy umieli sobie radzić z mężczyznami, ale z kobietami, oho!

Józwowicz.

Nie rozumiem tylko, w czym mogę być pożyteczny?

Jan.

Doktor przecie wszystko może w tym domu, niech doktor sprawi, ale w sekrecie przed mamą! żebym ja dostał odkosza.

Józwowicz.

Panie hrabio, dla pana co w mocy ludzkiej....

Jan.

Dziękuję.

Józwowicz.

I podejmuję się tém chętniej, że księżniczka jest narzeczoną.

Jan.

A to nie wiedziałem, że mi tu ktoś w drogę włożył.

Józwowicz.

(n. s.) Dobra myśl. (*głośno*) Pan Jerzy Pretwic.

Jan.

A to mnie tu chcieli na dudka wystrychnąć!

Józwowicz.

Pan Pretwic jest zuchwałym człowiekiem. Wyzna-
ję nawet panu, że miałeś słuszość, nazywając sprawę
delikatną. Pana Pretwica ludzie boją się, gdy więc pan
ustąpisz, świat będzie mógł pomyśleć.....

Jan.

Że i ja się boję? A to nie ustąpię! O, mój panie, jak
widzę, to pan nie zna wcale Miliszewskich. My tylko z ko-
biętami nie umiemy sobie dawać rady, ale żaden Miliszew-
ski nie był tchórzem. Wiem, że ludzie śmieją się ze mnie,
ale kto mię nazwie tchórzem, tego oduczę się śmiać. Ja
tu zaraz pokażę, czym tchórz. Cóżto pan Pretwic? Gdzie
on teraz jest?

Józwowicz.

W tej chwili w ogrodzie. (*pokazując przez okno*)
Widzi go pan tam nad jeziorem.

Jan.

Do widzenia!

SCENA VI.

Józwowicz sam —potém Antoni.

Józwowicz.

Wielcy ojcowie bezdzietni! Cha! cha!

.

Antoni.

(*wbiegając*) Jesteś tu? Masz kwity. Czego się śmie-
jesz?

Józwowicz.

Miliszewski polecał wyzwać na pojedynek Pretwica.

Antoni.

Co znowu? czy oni powaryowali?

Józwowicz.

W piękném świetle stanie przed nią Pretwic, ten rycerz bez skazy, jeśli będzie miał awanturę z takim głupcem. W piękném świetle!

Antoni.

To tyś tak nakręcił?

Józwowicz.

Jak powiedziałem ci: dopomagam naturze.

Antoni.

Dopomagajże sobie, a ja zmykam.

Józwowicz.

Bądź zdrow! Albo nie: idę z tobą, nie mogę dopuścić, by awantura poszła zadaleko.

Antoni.

Chciałem ci jeszcze powiedzieć, że z twoich pieniędzy kupię jeść moim pędrakom. Oddam ci później: pozwalam?

Józwowicz.

Jak możesz pytać, Antoni? (*wychodzi*).

SCENA VII.

Stella z kapeluszem w ręku i Drahomir.

(*wchodzą drzwiami od ogrodu*).

www.libtool.com.cn

Stella.

Zmęczyła mnie trochę przechadzka. Widzi pan, panie Karolu, jaka jestem słaba (*siada*). Gdzie jest pan Jerzy?

Drahomir.

Z młodym Miliszewskim, który prosił go o rozmowę. Pani zaś Miliszewska traktuje z księciem. Zdaje mi się nawet, że tam odbywa się mała scena. Hrabina nie wiedziała, że pani jesteś narzeczoną i miała podobno inne zamiary. Ale daruj mi pani! ja się śmieję, a pani to sprawia przykrość.

Stella.

I ja miałabym się ochotę śmiać, gdybym nie wiedziała, ile to papie sprawi kłopotów. Zresztą, żal mi pana Miliszewskiego.

Drahomir.

Pojmuję, co może czuć w jego położeniu serce prawdziwie kochające, ale o pana Jana jestem spokojny. Pocięży się, jeśli mama każe.

Stella.

Czasem można bardzo się omylić na ludziach.

Drahomir.

Czy mowa o mnie, czy o Miliszewskim?

Stella.

Niech będzie o panu. Przedstawiono mi pana z góry, jako zbiór wszystkich doskonałości.

Drahomir.
www.ibstool.com.cn

A pani znalazła zbiór wszystkich wad?

Stella.

Przecie tego nie mówię.

Drahomir.

Ale, myślę. Za to ja nie zawiodłem się: portret pani, jak mi go odmalowali Jerzy i doktor, zgadza się z rzeczywistością.

Stella.

Jakiż był portret?

Drahomir.

Ze skrzydłami u ramion.

Stella.

To znaczy, że mam tyle powagi co motyl?

Drahomir.

Skrzydła aniołów godzą się z powagą.

Stella.

Prawdziwa przyjaźń powinna prawdę mówić. Proszę o jaką gorzką.

Drahomir.

Czy bardzo gorzką?

Stella.

Jak piołun, albo jak chwilami... życie.

Drahomir.

A więc: nie jesteś pani dobrą dla mnie.

Stella.

Za jakiż grzech mam rozpocząć pokutę?

Drahomir.

Za brak przyjaźni dla mnie.

Stella.

Piérwsza odwołam się do przyjaźni, ale w czémże nie spełniam jój warunków?

Drahomir.

Bo dzielisz się pani ze mną wesołością, zabawą, śmiechem, a gdy nadleci chwila smutku i goryczy, to te gorzkie kwiatki i ciernie zabierasz sobie wyłącznie. Podziel się pani ze mną i taką chwilą, proszę bardzo!

Stella.

Nie chciałam nigdy mieć wesołości pana, to nie egoizm.

Drahomir.

Moja wesołość nie płynie także z egoizmu. Jerzy powiedział mi o pani, gdy tu przybył: „ja umiem tylko patrzeć na nią i modlić się do niej; tyś młodszy, weselszy, staraj się ją rozweselić i zabawić;” więc oto przyniosłem tu całą moję wesołość, jak towar na plecach i złożyłem ją u nóg pani. Ale od pewnego czasu widzę, że panią mę-

czę tylko; widzę na twarzy pani jakąś chmurkę, podejrzuję jakiś tajony smutek, więc jako druh serdeczny oddałbym życie, żeby go rozproszyć.

www.klasyka.com.pl **Stella.**

(cicho) Panie Karolu....

Drahomir.

(składając ręce) Pozwól mi pani mówić. Roztrzępalcem byłem w życiu, ale siedł za głosem serca i sercem pani smutek odgadłem. Odtąd padł cień i na moje wesołość... ale się przewyciężał. Łzy wypłakanéj nic już nie wróci, w drodze jednak do oczu, może ją przyjazna ręka zatrzymać.... Więc się przewyciężałem....—by łzy do pani oczu nie puścić. Jeślim pobłądził, jeślim złą drogę obrał, proszę o przebaczenie. Życie się pani złożę, jak bukiet kwiatów, bądź więc pani weselsza, bądź weselsza.

Stella.

(wzruszona, podając mu rękę) Będę przy panu. Grymasna ze mnie dziewczyna, rozpieszczona i słaba trochę. Sama często nie wiem, co mi jest i czego pragnę. Jam szczęśliwa, doprawdy szczęśliwa. To są chwile przełotne, ale obiecuję poprawę. Nie jedną jeszcze chwilę spędzimy wesoło...

Drahomir.

A więc: co tam! jak mówi pani Czeska. Starajmy się przewyciężyć; będziemy się śmiać, biegać po ogrodzie i płatać psoty mamie i synowi Miliszewskim.

Stella.

Odgadłam tajemnicę pańskiej wesołości i szczęścia: to prawość serca i dobroć.

www.liternet.com.cn

Drahomir.

Nie, pani. Wielkie ze mnie nic-potem. Byłem tylko dotąd dość spokojny, ale prawdziwe szczęście nie w tém leży.

Stella.

Czasem myślę że go wcale niéma na świecie.

Drahomir.

Rozum go nie uchwyci i nie poleci za tą wizyą skrzydlatą. Czasem może ona i przelatuje blisko, ale nim się człowiek obejrzy, nim wyciągnie ręce: bywa zapóźno!

Stella.

Jakie to bolesne słowo: zapóźno.

SCENA VIII.

Ciż—Józwowicz.

Józwowicz.

(*wchodzi śmiejąc się*) Cha! cha! czy państwo wiecie, co się stało?

Stella.

Coś zabawnego, doktorze?

Józwowicz.

Rzecz okropna, tragiczna, straszna, ale przede wszystkim śmieszna! Miliszewski chciał wyzwać Jerzego.

Stella.

Mój Boże!

Józwowicz.

Śmieję się pani razem ze mną. Gdyby to było coś niebezpiecznego, przeciebym pani nie przestraszał.

Drahomir.

Na czémże się skończyło?

Józwowicz.

Wiecie państwo, że aż się pogniewałem na Jerzego. Wyobrażcie sobie: wziął tę rzecz poważnie.

Drahomir.

Proszę cię, cóż miał zrobić?

Józwowicz.

A tożby dla człowieka, jak Jerzy, wstyd był strzelać się z takim biédakiem!

Stella.

Doktor ma słuszność. Nie rozumiem pana Jerzego.

Józwowicz.

Niech się nie gniewa nasza księżniczka. Już ich pogodziłem. Jerzy tylko nie wnikał w głąb rzeczy i przyrodzona krewkość go uniosła. Ale teraz, gdy się zastanowił i gdym mu wytłumaczył rzecz całą, zgodził się, że byłoby to co najmniej śmieszne. On ma dużo rozsądku, Jerzy.

Drahomir.

Cóż Miliszewski?

Józwowicz.

Odesłałem go do mamy. To także dobry chłopiec.

Stella.

www.libtool.com.cn

Jednak pan Jerzy dostanie odemnie burę.

Drahomir.

Niech tylko pani nie będzie zbyt surowa.

Stella.

Panowie się śmieją. a mnie przykro, że panu Jerzemu trzeba było to tłumaczyć. Doprawdy, zaraz mu dam burę (*odchodzi*).

SCENA IX.

Drahomir—Józwowicz.

Drahomir.

Co to za anioł ta księżniczka!

Józwowicz.

Tak. Niéma ani jednej skazy na téj kryształowej naturze.

Drahomir.

Musi tak być, skoro ty nawet, doktorze sceptyku, mówisz o niej z takim zapalem.

Józwowicz.

Sześć lat upływa jak tu jestem. Gdym tu przyjechał pierwszy raz, wybiegła do mnie w krótkiej sukience i z główką w papilotach—ot, takie jeszcze maleństwo.

Odtąd przy mnie to rośło. Sześć lat ma swoje prawa, trudno się nie przywiązać.

Drahomir.

Wierzę. *(po chwili w zamyśleniu)* Dziwne wy jednak macie serca, wy ludzie pracy...

Józwowicz.

Dlaczego?

Drahomir.

Bo.. wiem co mi pan możesz powiedzieć o jój towarzyskiej pozycyi; ale to nic nie znaczy: serca są równe; więc jakże się to stało, że pan tak blizki księżniczki, umiał tak nad sobą panować i nie.. i nie...

Józwowicz.

(przerywając) Co takiego?

Drahomir.

Trudno mi wyrażenie znaleźć!

Józwowicz.

To ja znajdę. Pytasz pan, dlaczegom się w nią nie zakochał?

Drahomir.

Cofnąłem się przed słowem zbyt śmiałem.

Józwowicz.

Doprawdy, jeśli tak brak hrabiemu odwagi, to go wyręczę i spytam: a pan?

Drahomir.

(*po chwili walki z sobą*). Wobec Boga i ludzi oświadczam, że krew tylko zmywa takie słowa.

www.libjerry.com.cn

Jerzy.

Krew. (*pokazując na doktora*) Oto świadek twych słów.

Józwowicz.

Służę panom.

(Zasłona spada).

KONIEC AKTU CZWARTEGO.

AKT PIĄTY.

Tenże sam salon.

SCENA I.

Józwowicz.

(wchodzi czytając depeszę) „Rezultat dotychczas wiadomy: Józwowicz głosów 613, Husarski 604. Godzina 10-ta: Józwowicz 700, Husarski 700. Godzina 11-ta: Józwowicz 814, Husarski 750. Walka zacięta. Ostateczny rezultat będzie wiadomy o trzeciój” *(patrzy na zegarek)*.

SCENA II.

Józwowicz. — Jerzy.

Józwowicz.

Ty tutaj!

Jerzy.

Cofasz się jak przed widmem.

Józwowicz.

Przecie to dziś?

Jerzy.

Prosto ztąd jadę na plac. Mam jeszcze godzinę

czasu. Pojedynek odbędzie się w Dąbrowie na gruntach Miliszewskich, zatém niedaleko.

Józwowicz.

Zabliżko ztąd.

Jerzy.

Miliszewski jako świadek nalegał. Zresztą od tego ty jesteś, żeby wiadomość tu przyszła jak najpóźniej.

Józwowicz.

Wszakże doktor Krzycki będzie według umowy na placu?

Jerzy.

Tak jest!

Józwowicz.

Proś go jeszcze raz, by mi przysłał wiadomość natychmiast. Sambym wam towarzyszył, ale muszę być tu.

Jerzy.

Bardzo słusznie. Jeśli zginę....

Józwowicz.

Nie przypuszczaj z góry.

Jerzy.

Są ludzie przekłęci przez los w godzinie urodzenia, dla których jedyném odkupieniem jest śmierć. Ja do takich ludzi należę. Myślałem o wszystkim długo i spokojnie. Bóg widzi, że więcej się życia lękam niż śmierci. Niema dla mnie wyjścia, bo jeśli nawet nie zginę, powiedz mi co będzie wówczas, co mnie czeka, gdy zabiję człowieka, którego ona kocha? Powiedz mi? Będę żył

bez niej i przeklinany przez nią. Czy wiesz, że kiedy wspomnę na moje położenie, kiedy pomyślę o tém co się stało, to zdaje mi się, że jakiś zły duch wmięszał się między nas i tak popłatał wszystko, że tylko śmierć rozplątać te węzły może.

Józwowicz.

Pojedynek często się kończy raną, skaleczeniem.

Jerzy.

Zelżyłem Drahomira ciężko i takiej obelgi rana nie zmywa. Wierz mi, że jeden z nas zginąć musi. Ale przychodzę mówić o czém inném.

Józwowicz.

Słucham cię.

Jerzy.

Prawdę mówiąc, ponieważ nie wiem, czy za godzinę żyć będę, przyjechałem popatrzeć jeszcze na nią, bo... bo ją kocham nad wszystko w świecie. Byłem może dla niej zaszczerstki, zanieszczęśliwy, zagłupi, ale... kochałem. Oto niech Bóg, który teraz patrzy w serce moje, potępi mnie na zawsze, jeśli nie pragnął jój szczęścia. Jak mnie tu widzisz, tak w téj chwili jój żal mi najwięcej i cierpię bardzo, gdy myślę o jój przyszłości. Słuchaj! czy zginę, czy nie, ona stracona dla mnie; nie ożeni się z nią i Drahomir, bo nie może się żenić z kobietą, którój zabił narzeczonego. Z nas trzech, ty jeden zostaniesz przy niej, strzeż jój, czuwaj nad nią. Oddaję ją, mój skarb jedyny jaki miałem, w twoje uczciwe ręce.

Józwowicz.

(*spokojnie*) Spełnię wszystko czego żądasz.

Jerzy.

A teraz, ponieważ mogę zginąć, chcę zginąć jak chrześcianin. Jeśliś miał do mnie urazę, jeśliś względem ciebie kiedy zawinił, przebacz mi! (*ściskają się za ręce—Jerzy wychodzi*).

Józwowicz.

(*sam*) Tak! Z nas trzech, ja jeden zostanę przy niej.

SCENA III.

Antoni—Józwowicz.

Antoni.

(*wbiegając szybko*) Człowieku, czyś ty zwaryował! Tam każda chwila droga, a ty tu siedzisz. Sprawa chwile się, porozlepiano nowe afisze, stronnicy Husarskiego łapią ludzi za poły. Na Boga, jedźże ze mną. Dorożka czeka na dole. Czegoże ty tu siedzisz?

Józwowicz.

Muszę tu zostać. Nie pojedę za nic w świecie, nie pojedę. Niech się dzieje co chce.

Antoni.

A! przysięgam, jeśliś ja się tego spodziewał! Pokaż się choć na chwilę, a wygrasz na pewno! Mnie już płuc i głosu nie staje. Czyś się wściekł? Tam za niego pracują, wrzeszczą, a ten się przyczepił do spódniczki i siedzi. Pięknego posła wybieramy.

Józwowicz.

Antoni! Choćbym tam miał przepaść, krokiem się nie ruszę. Nie mogę i nie pojadę.

www.libtool.com.cn

Antoni.

...Tak?...

Józwowicz.

Tak jest!

Antoni.

A! no, to rób co chcesz. Dobrze! winszuję (*chodzi po pokoju, po chwili wkłada ręce do kieszeni i staje przed Józwowiczem*). Co to wszystko znaczy?

Józwowicz.

To znaczy, że muszę tu być. W tej chwili Drahomir z Pretwicem stoją naprzeciw siebie z bronią w ręku. Gdyby wiadomość doszła o tém niespodzianie do księżniczki, mogłaby ją życiem przypłacić.

Antoni.

Strzelają się?

Józwowicz.

Na śmierć i życie. Za chwilę będzie tu wiadomość, który z dwóch zginął (*chwila milczenia*).

Antoni.

Józwowicz! kto to wszystko zrobił?

Józwowicz.

Ja! Zgniotłem tych co mi stawali w drodze, i zgniotę zawsze. Masz mnie, jakim jestem.

Antoni.

A no, jeśli tak, to i mnie już nie spieszno. Czy wiesz co ci powiem?

www.littool.com.cn
Józwowicz.

Usuń się na chwilę, księżniczka tu nadchodzi (*otwiera drzwi bocznego pokoju*) Wejdź tam.

SCENA IV.

Józwowicz—Stella.

Stella.

Mój doktorze, co się tu dzieje w tym domu?

Józwowicz.

O co pani pyta?

Stella.

Pan Jerzy przyszedł do mnie jakiś wzruszony i żegnał się ze mną; prosił mnie, bym mu przebaczyła, jeśli kiedy względem mnie zawinił.

Józwowicz.

(*n. s.*) Głupiec sentymentalny!

Stella.

Mówił mi, że może na kilka dni zmuszony będzie wyjechać. Mam przecucie, że coś ukrywacie przedemną. Co to znaczy, doktorze? Nie dręczcie mnie dłużej. Taką już jestem biedna, że doprawdy, należy mi się trochę litości.

Józwowicz.

Niech pani się o nic nie troszczy. Cóżby się dziać mogło. Przywidzenie, czyste przywidzenie. Opieka serc troskliwych otacza panią. Zład takie dziwne przypuszczenia? Niech pani teraz wróci do siebie i nie przyjmuje nikogo. Za chwilę nadejdę.

Stella.

Więc naprawdę niéma nic złego?

Józwowicz.

Ależ co znowu! Proszę mi wierzyć, że potrafiłbym usunąć wszystko, coby groziło szczęściu pani.

Stella.

(podając mu rękę) O! panie Stanisławie, szczęście to rzecz zbyt trudna, niechby tylko spokój nas nie opuszczał *(chce odchodzić przez pokój, w którym jest Antoni)*.

Józwowicz.

Tędy, księżniczko. W tamtym pokoju czeka ktoś na mnie. Za chwilę przyjdę do pani. Proszę nie przyjmować nikogo. Antoni!

(Księżniczka odchodzi).

SCENA V.

Antoni — Józwowicz — później Służący.

Antoni.

Jestem. Biędne, biędne dziecko!

Józwowicz.

Dla niej nie mogę odjechać. Muszę tu być i nie puszczać do niej wieści z nieszczęściem, bo to mogłoby ją zabić.

www.libtool.com.cn

Antoni.

Jakto? więc ty, wiedząc o tém, narażasz ją jednak? Kochasz ją i poświęcasz dla siebie?

Józwowicz.

(*gorączkowo*) Kocham ją i muszę ją mieć, choćby ten dom zwalił się nam na głowy.

Antoni.

Człowieku, ty mówisz jak nieprzytomny.

Józwowicz.

Człowieku, ty mówisz jak niedołęga, nie jak mężczyzna. W ustach macie pełno frazesów i siły, a nie umiecie spojrzeć w oczy faktom. Kto śmie powiedzieć: nie masz prawa się bronić?

Antoni.

(*po chwili*) Bądź zdrów!

Józwowicz.

Dokąd idziesz?

Antoni.

Wracam do miasta.

Józwowicz.

Jesteś ze mną, czy przeciw mnie?

Antoni.

Jestem uczciwym człowiekiem.

Służący.

(*wchodzi*) Posłaniec przyniósł list z Miliszewa.

Józwowicz.

Dawaj. Odejdź! (*rozrywa pieczętkę i czyta*). „Po-
jedynek odbył się. Pretwic nie żyje” (*po chwili*) A a!...

Antoni.

Nim odejdę, winienem ci odpowiedź, boś mnie py-
tał, co znaczy, że się oddalam. Służyłem ci wiernie jak
pies, bom wierzył w ciebie. Ty umiałeś mnie użyć, a mo-
że i zużyć. Wiedziałem, że byłem narzędziem, ale ja o ta-
kie rzeczy nie dbam; jednakże teraz...

Józwowicz.

Teraz opuszczasz sprawę?

Antoni.

O, ty mnie nie znasz. Cobym robił na świecie, gdy-
bym ją opuścił. A zresztą, czy sądzisz, że sprawa to ty
jeden? Ja nie opuszczę jój dlatego, że się zawiódł na
tobie. Ale chodzi mi o co innego. Byłem tak głupi, że
się do ciebie przywiązałem, a teraz żal mi tego, bo jako czło-
wiekowi prywatnemu, muszę powiedzieć ci: przebrałeś
miarę, na złe użyłeś téj siły, która jest w tobie. O! wiem,
wiem, możeby dla mnie korzystniej było nie mówić ci te-
go; może czepiać się ciebie, to przyszłość dla takiego odra-
pańca jak ja, który niebardzo ma co w domu dać jeść żo-
nie i dzieciom. Ale nie mogę! dalibóg, nie mogę! Goły

jestem i goły zostanę, niech więc przynajmniej mam czyste sumienie. Ot co! Byłeś mi tak blizki jak i żona i dzieci, bliższym jeszcze! od dziś jesteś tylko cyfrą polityczną, ale w przyjaźni, szukaj kogo innego. Wiesz, że ja nie skrupulat; człowiek się ociera o ludzi i nie jedno w sobie zetrze: tyś jednak przebrał miarę. Niech mnie powiesz, jeśli nie wolę kochać ludzi niż ich tłuc. Mówią, że uczciwość i polityka to co innego. Gdziein-dziej, tak! Ale u nas te rzeczy musisz połączyć. Dlaczego to nie mają iść razem? Ja nie opuszczam naszej sprawy, ale z naszej przyjaźni kwita, bo kto mówi, że kocha ludzkość, a czai się i wali podstępem ludzi po łbie, ten jest kłamcą, rozumiesz?

Józwowicz.

Twojej przyjaźni nie będę ciągnął przemocą, ale posłuchaj mnie poraz ostatni. Jeśli zaczniesz się dla mnie czas kłęsk, to zaczniesz się od tego, że tacy ludzie jak ty, przestaną mnie rozumieć. Oto mojemu losowi, moim prawom do szczęścia, mojej przyszłości człowiek ten, który zginął, wszedł w drogę nagle, ślepo, fatalnie i zabrał mi wszystko. Wszedł uzbrojony w dostatki, nazwisko, stosunki i całą tę broń niezwalczoną, którą daje fortuna i urodzenie. Com miał przeciw niemu? z czém mogłem walczyć? co przeciwstawić jego potędze? Nic, prócz tego, co jest bronią nowych ludzi, tę trochę inteligencji zdobytej krwawą pracą i wysileniem. Oto wypowiedział mi głuchą wojnę. Bronilem się. Czém? Bronią, jaką mi dała natura. Gdy nadepczesz robaka, nie bierz mu za złe, że się broni żądłem, bo niema czém inném się bronić.

Gdy masz usunąć kamień leżący na drodze, usuwaj jak chcesz. To prawo ludzkie! Tak jest! postawiłem wszystko na jedną kartę i wygrałem, ale to nie ja, to rozum zwyciężył siłę, nowy czas, dawne wieki. I ty mi to bierzesz za złe? Czego chcesz? jam wierny zasadzie; tylko że wy się cofacie, ja nie! To jedna strona, a druga? Dla mego szczęścia potrzeba mi téj kobiety, bo ją kocham! dla moich celów, jój majątku i stosunków. Dajcie mi taką broń w ręce, a ja spełnię i przeprowadzę wszystko!... Czy ty rozumiesz, jaka olbrzymia praca, jakie wielkie cele i plany przedemną? Chcecie, bym rozbił mur ciemnoty, zacoiania, lenistwa, żebym tchnął życie w to co zwiędło: ja wołam środków! Nie macie! Więc ja je zdobędę lub zginę. Ale co? Tym wielkim celem, tym wielkim planem, téj jasnej przyszłości, nietylko mojej, ale ogólnej, staje w drodze jeden panek, jeden błędny rycerz, jeden awanturnik, którego całą zasługą, że urodził się z herbem, i ja nie mam prawa go zgnieść? I wy chcecie bym upadł głową do jego wielmożnych nóg, bym mu wszystko poświęcił? Nie!... nie znacie mnie! Dość sentymentów. Trzeba siły, i ja ją mam, i utoruję sobie i wam drogę, choćbym miał setki takich Pretwiców podeptać.

Antoni.

Nie, Józwowicz! Tyś zawsze robił ze mną coś chciał, ale teraz nie pobijesz mnie. Póki chodziło o przekonania, jam był z tobą; aleś ty zaczął jakąś zasadę większą od ciebie i odemnie, i trwalszą i niezmienną. Ty mi tego nie wytłómaczysz i sam strzeż się. Lada powód, a jako człowiek runiesz z całą swoją energią. To siła większa

niż twoja; strzeż się, bo z nią przegrasz! Zasady, kochanku, się zmieniają, ale prosta uczciwość zawsze jednaka. Rób co chcesz, ale strzeż się. Co u dyabła! krew ludzka się mści, to także prawo natury. Ty mnie pytasz, czy ja cię opuszczam? Może radbyś, by ci zostawić wolność strzelania do ludzi z za płota, gdy ci to będzie dogadzało. Nie, bratku!... Odtąd rozpoczyna się między nami ścisły rachunek, bo nie możemy ci ufać. Musisz nam zdać rachunek! Będziesz posłem, ale jeśli myślisz, że my tobie, nie ty nam służyć będziesz, to się mylisz. Cóżes to ty sądził? że szczeble tej drabiny po której się drapiesz, składają się z łajdaków? Hola! My, cośmy cię zrobili posłem, my, w których uczciwość nie wierzysz podobno, będziemy cię teraz strzedz i sądzić. Jeśli zbroisz, to zerzemy cię w proch. Nie sprawa dla ciebie, ale ty dla sprawy. Wybraliśmy cię, teraz służ!

Józwowicz.

(gwałtownie) Antoni!

Antoni.

Spokojnie! Wieczorem masz się stawić w mieście przed wyborcami. Do widzenia.... panie Józwowicz!... *(wychodzi)*.

Józwowicz.

(sam) Ten jest pierwszy....

SCENA VI.

Józwowicz—Jan Miliszewski.

Jan.

(ukazuje się w uchylonych drzwiach) Psst!

Józwowicz.

Kto tam jest?

Jan.

To ja, Miliszewski. Czy doktor sam?

Józwowicz.

Wejdź pan! No i cóż?

Jan.

Skończone. Ach, doktorze! nie żył i pięciu minut. Kazałem odwieźć ciało do Miliszewa do kościoła.

Józwowicz.

Wszak matki pana niéma?

Jan.

Wyprawiłem ją do miasta. Dziś są wybory, a mama nie wie, że ja się cofnąłem, więc będzie czekać na wieczorne dzienniki w nadziei, że moje nazwisko znajdzie między wybranymi.

Józwowicz.

Nikt po drodze nie widział?

Jan.

Boję się, że zobaczą krew. Krwawił po drodze okropnie.

Józwowicz.

Dziwna rzecz! Strzelał jak mistrz!

Jan.

Doktorze, on umyślnie dał się zabić. Przecie tam byłem, widziałem doskonale: nie położył nawet palca na

cynglu. On wcale nie chciał Drahomira zabić. Sześć kroków, taka bliska meta. Oh! to okropnie patrzeć na cudzą śmierć!—naprawdę wolałbym sam zginąć. Strzelali na komendę: raz! dwa! trzy! słyszymy strzał, ale jeden. Lecimy, Pretwic postąpił dwa kroki i ukląkł, chciał mówić: krew rzuciła mu się ustami; potem wziął pistolet i strzelił w bok. Myśmy już stali wkoło, a on powiada do Drahomira: „Łaskęś mi zrobił, dziękuję. To życie do ciebie należało, boś je uratował. Przebacz—powiada—bracie!” powtórzył jeszcze raz: „Daj rękę” i zaczął konać.... (*obciera chustką pot z czoła*). Drahomir rzucił mu się na piersi.... O, doktorze! doprawdy to okropne. Biédna panna Stella! co się z nią stanie teraz?

Józwowicz.

Cicho! na miłość boską, przy niej ani słowa! Ona chora.

Jan.

Będę milczał.

Józwowicz.

Opanuj pan wzruszenie.

Jan.

Kiedy nie mogę nóg opanować, bę się podemną trzęsą.

SCENA VII.

Ciż — Księżę wsparty na ramieniu Stelli i pani Czeska.

Księżę.

Myślałem, że tu i Pretwic jest z wami. Józwowicz, gdzie jest Pretwic?

Józwowicz.

Nie wiem.

Stella.

Czy panu nie mówił dokąd wyjeżdża?

Józwowicz.

Nie wiem.

Czeska.

(*do Jana*) Co panu jest, panie hrabio, pan taki blady.

Jan.

O, wcale nie. To z gorąca.

Księżę.

Józwowicz! Mówił mi Pretwic....

SCENA VIII.

Drzwi otwierają się nagle, wbiega hrabina Miliszewska.

Hrabina.

Jean! gdzie mój Jean? O Boże, co się dzieje! Co za okropność!

Józwowicz.

(*biegnąc ku niej żywo*) Milcz pani!

Stella.

Co się stało?

Hrabina.

Więc to nie ty zabiłeś Pretwicę? nie tyś się pojedynekował?

Józwowicz.

Milcz pani.

Stella.

www.libtut.com.cn

Kto zabity, pani?

Hrabina.

Więc to Drahomir? Steluniu droga, Drahomir :
bił Pretwica!

Stella.

Za-bił! Boże! Boże! co się dzieje!...

Józwowicz.

Księżniczko! to nieprawda!

Stella.

Zabił? (*stania się i pada*).

Józwowicz.

Zemdlą!... wynieśmy ją do sypialni.

Księżę.

Dziecko moje!

Czeska.

Steluniu!... (*Księżę i Józwowicz wynoszą Stellę, Hrabina i Czeska idą za niemi*).

Jan.

(*sam*) O, to okropne! wyprawilem mamę umyśln

do miasta. Któżby się spodziewał, że wróci... (*we drzwiach ukazuje się hrabina*) Mamo, jakże księżniczka?

Hrabina.
www.ibstool.com.cn

Doktor ją cuci. Dotychczas się nie rozbudziła. Jean, wyjeżdżajmy ztąd.

Jan.

(*z rozpaczą*) Nie wyjadę. Po co mama wróciła z miasta?

Hrabina.

Po ciebie. Dziś wybory, zapomniałeś.

Jan.

Ja nie chcę być posłem! Po co mama powiedziała tu o śmierci Pretwica?

SCENA IX.

Ciż—Józwowicz.

Hrabina i Jan.

(*razem*) Co tam? co tam?

Józwowicz.

Tam, niéma już co robić. (*W pałacowej kaplicy odzywa się sygnaturka*).

Jan.

(*z przestraczem*) Co to? dzwonek w kaplicy? (*Józwowicz podchodzi naprzód sceny i siada*).

SCENA X.

Ciż—Podczaski.

Podczaski.

(*wpadając nagle*) Zwycięstwo na całej linii! Depu-
tacya tu jest! (*Głosy za sceną*): „Niech żyje! niech żyje!”

Podczaski.

Wygrana! niech żyje!

Józwowicz.

....Przegrałem strasznie!...

K O N I E C.

www.libtool.com.cn

V.

BARTEK ZWYCIĘZCA.

www.libtool.com.cn

BARTEK ZWYCIĘZCA.

I.

Bohatér mój nazywał się Bartek Słowik, ale ponieważ miał zwyczaj wytrzeszczać oczy, gdy do niego mówiono, przeto sąsiedzi nazywali go Bartek wylupiasty. Ze słowikiem istotnie mało miał wspólnego, natomiast jego przymioty umysłowe i prawdziwie homeryczna naiwność zjednały mu także przezwisko: Głupi Bartek. To ostatnie było najpopularniejsze i zapewne samo jedno tylko przejdzie do historyi, chociaż Bartek nosił jeszcze czwarte urzędowe. Ponieważ wyrazy: człowiek i słowik nie przedstawiają dla ucha niemieckiego żadnej różnicy, a Niemcy lubią w imię cywilizacyi przekładać barbarzyńskie słowiańskie nazwy na bardziej kulturny język, przeto w swoim czasie przy spisach wojskowych miała miejsce następująca rozmowa:

— Jak się nazywałeś?—pytał Bartka oficer.

— Słowik.

— Szloik?... Ach! ja. Gut.

I oficer napisał „Mensch.”

Bartek pochodził ze wsi Pogńębina, której-to nazwy wsi jest bardzo wiele w Księstwie Poznańskiem i innych ziemiach dawniej Rzeczypospolitej. Był on, nie licząc gruntu, chałupy i paru krów, właścicielem srokatego konia i żony Magdy. Dzięki takiemu zbiegowi okoliczności mógł sobie żyć spokojnie i zgodnie z mądrością zawartą w wierszu.

„Koń srokacz—żona Magda,
Co ma Bóg dać—to i tak da.”

Jakoż życie jego układało się zupełnie, jak Bóg dał, i dopiero gdy Bóg dał wojnę, Bartek zafrasował się niepomału. Przyszło zawiadomienie, że trzeba się było stawić, trzeba było porzucić chałupę, grunt i zdać wszystko na babską opiekę. Ludzie w Pogńębinie byli wogóle dosyć biédni. Bartek zimą, bywało, chodził do fabryki i tém sobie w gospodarstwie pomagał—teraz zaś co? Kto wie, kiedy się wojna z Francuzem skończy? Magda, gdy przeczytała kartkę powołującą poczęła kląć:—Ażeby ich nawidziło! żeby olśnęli... Chociażes głupi... jednak mi cię żal; Francuzy téż ci nie przepuszczą; głowę utną, albo co!...

Czuł Bartek, że kobieta sprawiedliwie mówi. Francuzów bał się jak ognia, a przytém i jemu było żal. Co jemu Francuzi zrobili? po co on tam pójdzie i dlaczego, na tę straszną obczyznę, gdzie niema jednej duszy życzliwej. Jak się w Pogńębinie siedzi, to zdaje się, ot, ni tak, ni owak, jak zwyczajnie w Pogńębinie; a jak każą iść, dopiero się widzi, że wszelako tu lepiej, niż gdzieindziej: ale już nic nie pomoże—taka dola, trzeba iść. Bartek uściskał babę, potem dziesięcioletniego Franka, potem splunął, przeżegnał się i wyszedł z chałupy, a Magda za

nim. Nie żegnali się zbyt czule. Ona i chłopak szlochali, on powtarzał: „No, cicho—no!” i tak znaleźli się na drodze. Tu dopiero ujrzeni, że w całym Pogńębinie działo się to samo, co u nich. Cała wieś wyległa: droga zapchana powołanymi. Idą oni do stacyi kolejowej, a baby, dzieci, starcy i psy odprowadzają ich. Powołanym ciężko na sercu, kilku tylko młodszym fajki wiszą z gęby; kilku już pijanych na początek; kilku śpiewa ochryplemi głosami:

„Skrzyneckiego ręce i złote pierścienie,
Już nie będą wymachiwać siabłą na wojence.”

Jeden téż i drugi Niemiec z Pogńębińskich kolonistów śpiewa ze strachu *Wacht am Rhein*. Cały ów tłum pstry i różnobarwny, wśród którego połyskują bagnety żandarmskie, posuwa się opłotkami ku końcowi wsi z krzykiem, gwarem i rwetesem. Baby trzymają swoich „żołnierzyków” za kark i lamentują; jakaś staruszka pokazuje żółty ząb i wygraża pięścią gdzieś w przestrzeń. Inna klnie: „niech wam Pan Bóg policzy nasze płakanie;” słyhać wołania: „Franku! Kaško! Józek! bądź-ta zdrowi.” Psy szczekają. Dzwon na kościele dzwoni. Proboszcz sam odmawia modlitwy za konających, boć przecie nie jeden z tych, co teraz idą na stacyą, nie wróci. Wojna ich bierze wszystkich, ale wojna ich nie odda. Pługi pordzewieją na polach, bo Pogńębin wypowiedział wojnę Francyi. Pogńębin nie mógł zgodzić się na przewagę Napoleona III i wziął do serca sprawę o tron hiszpański. Odgłos dzwonu przeprowadza tłumy, które już wyszły z opłotków. Mijają figurę: czapki i pikielhauby lecą z głów. Kurz złoty wstaje na drodze, bo dzień jest

suchy i pogodny. Po dwóch stronach drogi, zboże dojrzewające szeleści ciężkim kłosem i gnie się pod wietrzykiem, który od czasu do czasu dmucha łagodnie. W niebie błękitném tkwią skowronki i każdy świergoce jakby się zapamiętał.

Stacya!—Tłumy jeszcze większe. Są tu już powołani z Krzywdy Górnej, Krzywdy Dolnej, z Wywłaszczyń, z Niedoli, Mizerowa. Ruch, gwar i zamieszanie! Ściany na stacyi oblepione manifestami. Wojna tu „w Imię Boga i Ojczyzny.” Landwera pójdzie bronić swych zagrożonych rodzin, żon, dzieci, chat i pól. Francuzi widocznie szczególnież zawzięli się na Pogńebin, na Krzywdę Górną, na Krzywdę Dolną, na Wywłaszczyńce, Niedolę i Mizerów. Tak przynajmniej wydaje się tym, którzy czytają afisze. Przed stacyą przybywają coraz nowe tłumy. W sali dym z fajek napęlnia powietrze i przesłania afisze. W gwarze trudno się zrozumieć: wszyscy chodzą, wołają, krzyczą. Na peronie słyhać komendę niemiecką, której gwałtowne słowa brzmią krótko, twardo, stanowczo.

Rozlega się dzwonek: świst! zdala słyhać gwałtowny oddech lokomotywy. Coraz bliżej, wyraźniej. To wojna zdaje się przybliżać.

Drugi dzwonek! Dreszcz przebiega wszystkie piersi. Jakaś kobieta poczyną krzyczeć: „Jadom! Jadom!” Woła ona widocznie swego Adama, ale kobiety podchwytną wyraz i wołają: „jadą.” Głos jakiś przeraźliwszy nad inne dodaje; „Francuzi jadą,” i przez jedno mgnienie oka panna ogarnia nietylko kobiety, ale i przyszłych bohaterów Sedanu. Tłum zakółsał się. Tymczasem pociąg staje

przed stacją. We wszystkich oknach widać czapki z czerwonymi lampasami i mundury. Wojska widocznie jak mrowia. Na węglarkach czernieją posępne, podługowate ciała armat; nad otwartymi wozami jeży się las bagnętów. Widocznie kazano żołnierzom śpiewać, bo cały pociąg aż dygoce od silnych głosów męzkich. Jakaś siła i potęga bije od tego pociągu, którego końca nie dojrzeć.

Na peronie poczynają formować rekrutów; kto może, żegna się jeszcze; Bartek machnął łapami jakby skrzydłami wiatraka, oczy wytrzeszczył.

— No, Magda! bywaj zdrowa!

— Oj! moje biédne chłopisko!

— Już mnie nie obaczysz więcéj!

— Już cię nie obaczę więcéj!

— Niéma rady nijakiéj!

— Niechże cię Matka Boska strzeże i chroni...

— Bądź zdrowa: chałupy pilnuj.

Kobieta uchwyciła go za szyję z płaczem.

— Niechże cię Bóg prowadzi.

Nadchodzi ostatnia chwila. Pisk, płacz i lament kobiet zagłusza przez kilka minut wszystko: „Bądźta zdrowi! Bądźta zdrowi!” Ale owoż żołnierze są już oddzieleni od bezładnego tłumu: już tworzą czarną zbitą masę, która zwiera się w kwadraty, prostokąty i poczynają poruszać się z tą sprawnością i regularnością ruchów maszyny. Komenda: „siadać!” Kwadraty i prostokąty przełamują się w środku, wyciągają się wążkami pasami ku wagonom i giną w ich wnętrzu. W dali lokomotywa świszcze i rzuca kłęby siwego dymu. Teraz oddycha jak smok, zionąc pod siebie strumienie pary. Lament ko-

biet dochodzi do najwyższego stopnia. Jedne zasłaniają oczy fartuchami, inne wyciągają ręce ku wagonom. Łkające głosy powtarzają imiona mężów i synów:

— Bądź zdrów Bartek!—woła z dołu Magda.—
A nie leż tam gdzie cię nie poślą. Niech cię Matka Boska... Bądź zdrów! O dla-Boga!

— A chałupy pilnuj—odzywa się Bartek.

Korowód wagonów drgnął nagle; wozy stuknęły jedne o drugie i ruszyły.

— A pamiętaj, że masz żonę i dziecko — wołała Magda drepcząc za pociągiem. Bądź zdrowy, w Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Bądź zdrowy...

Pociąg poruszał się coraz prędzej wioząc wojowników z Pogńębina, z obydwóch Krzywd, z Niedoli i Mizerowa.

II.

W jedną stronę wraca ku Pogńbinowi Magda z tłumem bab i płacze, w drugą stronę świata rwie w siwą dal pociąg, najeżony bagnetami, a w nim Bartek. Siwój dali końca nie widać. Pogńbina téż ledwo dojrzeć. Lipa tylko szarzeje i wieża na kościele się złoci, bo po nią słońce igra. Wkrótce i lipa rozplynęła się, a złoty krzyż wyglądał tylko jak punkt błyszczący. Dopóki ten punkt świecił, patrzył na niego Bartek, ale gdy i on zniknął, frasunkowi chłopu nie było miary. Zdjęła go niemoc wielka i czuł że przepadł. Zaczął tedy patrzeć na podoficera, bo już prócz Boga nikogo więcej nie było nad nim. Co się teraz z nim stanie, to już w tém głowa kaprała; sam Bartek już nic nie wie, nic nie rozumie. Kapral siedzi na ławce i trzymając karabin między kolanami pali fajkę. Dym co chwila, jakby chmura zasłania mu twarz poważną i markotną. Nietylko Bartkowe oczy patrzą na tę twarz, patrzą na nią wszystkie oczy ze wszystkich kątów wagonu. W Pogńbinie lub Krzywdzie, każdy Bartek lub Wojtek jest sobie pan, każdy musi myśleć o sobie za siebie, ale teraz od tego kapral. Każe im się patrzeć na prawo, będą patrzeć na prawo, każe na lewo,

to na lewo. Każdy pyta się wzrokiem: „no? a co z nami będzie?” on sam zaś tyle wie, ile i oni, i radby także, aby kto starszy dał mu pod tym względem jakie rozkazy lub objaśnienia. Zresztą chłopci boją się pytać wyraźnie, bo teraz jest wojna z całym aparatem sądów wojennych. Co wolno, a czego nie wolno, nie wiadomo. Przynajmniej oni nie wiedzą, a straszy ich dźwięk wyrazów, takich jak *Kriegsgericht*, których dobrze nie rozumieją, ale témbardziej się boją.

Jednocześnie czują, że ten kapral potrzebniejszy im jeszcze teraz, niż na manewrach pod Poznaniem, bo on jeden wie wszystko, on za nich myśli, a bez niego ani rusz. Tymczasem zaciężył mu widocznie karabin, bo go rzucił Bartkowi do trzymania. Bartek porwał skwapliwie za broń, dech wstrzymał, oczy wyłupił i patrzy w kaprala, jak w tęczę, ale mała mu i z tego pociecha.

Oj, coś źle słyhać, bo i kapral jak z krzyża zdjęty. Na stacyach śpiewy i krzyki; kapral komenderuje, kręci się, łaje, żeby to starszym się pokazać, ale niechno pociąg ruszy, cichną wszyscy i on cichnie. Dla niego także świat ma teraz dwie strony: jedna jasna i zrozumiała, to jego izba, żona i pierzyna; druga ciemna, ale to zupełnie ciemna, to Francya i wojna. Zapał jego jak i zapał całej armii chętnieby zapożyczył chodu od raka. Wojowników pogłębińskich ożywiał istotnie duch tém widoczniejszy, że siedzący nie w żołnierzach, ale każdemu na ramieniu. A ponieważ każdy żołnierz dźwigał na ramionach tornister, płaszcz i inne wojskowe przybory, więc wszystkim było nader ciężko.

Tymczasem pociąg fukał, huczał i leciał w dal. Co stacya, przyczepiano nowe wagony i lokomotywy. Co stacya, widać było tylko pikelhauby, armaty, konie, bagnety piechurów i chorągiewki ułanów. Zapadał zwolna pogodny wieczór. Słońce rozlało się w wielką czerwoną zorzę, wysoko na niebie unosiły się stada drobnych lekkich obłoków, o brzegach poczerwieniałych od zachodu. Pociąg wreszcie przestał brać ludzi i wagony na stacyach, trząsł się tylko i leciał naprzód w ową jasność czerwoną, jakby w morze krwi. Z otwartego wagonu, w którym siedział Bartek z pognębińskimi ludźmi, widać było wsie, sioła i miasteczka, wieżyczki na kościołach, bociany poprzeginane jak haki, stojące jedną nogą na gniazdach, chałupy osobne, sady wiśniowe. Wszystko to migało przelotem, a wszystko czerwone. Żołnierze poczęli szeptać między sobą tém śmielój, że podoficer, podłożywszy sakwy pod głowę, zasnął z porcelanową fajką w zębach. Wojciech Gwizdała, chłop z Pognębina, siedzący wedle Bartka, trącił go łokciem.

— Bartek, słuchaj-no?

Bartek zwrócił ku niemu twarz z zamyślonemi, wyłupiastemi oczyma.

— Czegoż patrzysz jak ciele, co idzie na rzeź—szeptał Gwizdała — ale ty nieboże idziesz na rzeź, i pewnikiem....

— Oj, oj!—jęknął Bartek.

— Boisz się?—pytał Gwizdała...

— Co się nie mam bać....

Zorza stała się jeszcze czerwiejsza, więc Gwizdała wyciągnął ku niej rękę i szeptał dalej:

— Widzisz tę jasność? Wiesz, głupi, co to jest? To krew. Tu jest Polska, niby nasz kraj: rozumiesz? A hen tam daleko, gdzie się tak świeci, to właśnie Francya....

— A prędko zajadziewa?

— Albo ci pilno? Mówią, że okrutnie daleko. Ale nie bój się: Francuzi wyjdą naprzeciw...

Bartek zaczął pracować ciężko swoją pogiębińską głową. Po chwili spytał:

— Wojtek?

— Czego?

— A na ten przykład, co to za naród te Francuzi?

Tu uczoność Wojtka ujrzała nagle przed sobą dół, w który łatwiej jęć było wlecieć z głową, niż wylecieć napowrót. Wiedział, że Francuzi, to są Francuzi. Słyszał coś o nich od starych ludzi, którzy mówili o nich, że zawsze wszystkich bili; nakoniec wiedział, że to jacyś bardzo obcy ludzie: ale jak to tu wytłómaczyć Bartkowi, aby i on wiedział, jak dalece obcy.

Przedewszystkiem tedy powtórzył pytanie:

— Co to za naród?

— A juści.

Trzy narody były znane Wojtkowi: w środku „Polaki,” z jednéj strony „Moskale,” a z drugiejj „Niemcy.” Ale Niemców były różne gatunki. Chcąc więc być jasnym więcéj, niż ścisłym, rzekł:

— Co to za naród Francuzi? Jak ci powiedzieć: musi takie Niemcy, tylko jeszcze gorsze...

A Bartek na to:

— O, ścierwa!

Do téj pory żywił względem Francuzów jedno tylko

uczucie, to jest uczucie nieopisanego strachu. Teraz dopiero poczuł ku nim ten pruski landwerzysta wyraźniejszą patryotyczną niechęć. Jednakże nie wszystko jeszcze zrozumiał należycie i dlatego spytał znowu:

— To Niemcy będą z Niemcami wojować?

Tu Wojtek jak drugi Sokrates, postanowił pójść drogą porównań i odparł:

— Albo to się twój Łysek z moim Burkiem nie gryzą?

Bartek otworzył usta i popatrzył chwilę na swego mistrza.

— O, prawda...

— Przecie i Austriacy Niemcy—prawił Wojtek— a czy się nasi z nimi nie bili? Toć stary Świerszcz opowiadał, że jak był na onój wojnie, to Szeinstein krzyczał na nich: „Dalej chłopcy na Niemców!” Tylko, że z Francuzami nie tak łatwo!

— O, la Boga!

— Francuzi nigdy żadnej wojny nie przegrały. Taki, jak ci się do ciebie przyczepi, to się nie wykpisz, nie bój się! Każdy jest chłop, jak dwa albo trzy razy nasz, a brody to ci mają jak żydy. Inszy też jest czarny, jak dyabeł. Takiego jak zobaczysz, to poleć się Bogu!

— No, to poco my do nich pójdziemy?—pytał desperowany Bartek.

Filozoficzna ta uwaga nie była może tak głupią, jak zdawało się Wojtkowi, który widocznie pod wpływem urzędowych natchnień, pospieszył z odpowiedzią:

— Jabyśmy też wolał nie iść. Ale nie pójdziemy my, to przyjdą oni. Niéma rady. Czytałeś, co stało druko-

wane. Dycht najgorzej zawzięte na naszych chłopów. Ludzie gadają, że ony dlatego takie łakome na tutejsze grunta, bo chcieli wódkę przemycać z Królestwa, a rząd nie daje, i z tego jest wojna: no, rozumiesz?

— Co nie mam rozumieć — rzekł z rezygnacją Bartek. www.libtool.com.cn

Wojtek mówił dalej:

— Na baby ci też łakome, jak pies na sperkę...

— A toby na ten przykład i Magdzie nie przepuścili?

— Ony i starym nie przepuszczają!

— O! — krzyknął Bartek takim tonem, jakby chciał powiedzieć: — jeżeli tak, to będę walił!

Jakoż wydało mu się, że tego już nadto. Wódkę niechby jeszcze sobie z Królestwa przemycali, ale do Magdy im zasie. Teraz mój Bartek jał na całą tę wojnę patrzeć ze stanowiska własnego interesu i poczuł jakąś otuchę na myśl, że tyle wojska i armat występuje w obronie zagrożonej przez bałamuctwo francuzkie Magdy. Pięści mu się zacisnęły mimowolnie i strach przed Francuzami pomieszał się w jego umyśle z nienawiścią do nich. Przyszedł do przekonania, iż niema już chyba rady, że trzeba iść. Tymczasem jasność niebieska zgasła. Ściemniło się. Wagon na nierównych relsach począł się kołysać mocno, a w takt z jego ruchami kiwały się na prawo i lewo pikelhauby i bagnety.

Upłynęła jedna godzina i druga. Z lokomotywy sypały się miliony iskier, które jak długie złociste kresy i wężyki krzyżowały się ze sobą w ciemnościach. Bartek długo nie mógł zasnąć. Jako owe iskry po powie-

trzu, tak w głowie jego skakały myśli o wojnie, o Magdzie, Pogrzebinie, Francuzach i Niemcach. Zdawało mu się, że choćby chciał, nie mógłby się podnieść z téj ławki, na której siedział. Usnął wreszcie, ale nie zdrowym półsnem. I zaraz nadleciały widziadła: ujrzał najprzód, jak jego Łysek gryzie się z Wojtkowym Burkiem, aż sierć z nich leci. On cap za kij, żeby ich pogodzić, aż nagle widzi co innego: koło Magdy siedzi Francuz czarny, jak święta ziemia, a Magda kontenta śmieje się i szczyrzy zęby. Inni Francuzi kpią z Bartka i pokazują na niego palcami... To zapewne lokomotywa trajkoce, ale jemu się zdaje, że to Francuzy wołają: Magda! Magda! Magda! Magda! Bartek w krzyk: stulta pyski złodzieje! puszczają babę! A oni: Magda! Magda! Magda! Łysek i Burrek szczekają, cały Pogrzebin woła: nie daj baby! On czy skrepowany, czy co? Nie! rzucił się, targnął, powrozy pękły, Bartek Francuza za łeb i nagle...

Nagle wstrząsa nim silny ból, jakoby gwałtownego uderzenia. Bartek budzi się i zrywa na równe nogi. Cały wagon rozbudzony, wszyscy pytają co się stało? A to biedaczysko Bartek złapał podoficera przez sen za brodę. Teraz oto stoi wyciągnięty jak drut, dwa palce przy skroni, a podoficer macha rękoma i krzyczy jak wściekły:

— *Ach Sie! Dummes Vieh aus der Polakei! Hau' ich den Lummel in die Fresse, das ihm die Zähne sektionenweise aus dem Maule herausfliegen werden!*

Podoficer aż ochrypl z wściekłości, a Bartek ciągle stoi z palcami przy skroni. Inni żołnierze gryzą wargi, by się nie śmiać, ale boją się, gdyż z ust podoficera pa-

dają jeszcze ostatnie strzały: *Ein polnischer Ochse! Ochse aus Podolien!* Nakoniec ucichło wszystko. Bartek usiadł napowrót na dawném miejscu. Czuł tylko, że policzki poczynają mu jakoś nabrzmiwać, a lokomotywa jak na złość, powtarza ciągle:

—Magda! Magda! Magda!

Czuł téż wielki jakiś żal...

III.

Ranek! Rozpierzchłe, blade światło oświeca twarze senne i zmęczone z niewywczasu. Na ławkach śpią w nieładzie żołnierze: jedni z głowami pospuszczanemi na pierś, drudzy z zadartemi w tył. Wstaje jutrenka i zalewa różowością cały świat. Jest świeżo i rzeźwo. Żołnierze budzą się. Promienny ranek wydobywa z cienia i mgły jakąś nieznaną im krainę. Hej! a gdzie teraz Pogńębin, gdzie Wielka i Mała Krzywda, gdzie Mizerów? To już obczyzna i wszystko inne. Naokół wzgórza porośłe dębina, w dolinach domy kryte czerwoną dachówką z czarnymi krzyżownicami w białych ścianach, domy piękne jak dwory, obrosłe winem. Gdzieniegdzie kościoły o spiczastych wieżach, gdzieniegdzie kominy fabryczne z pióropuszcami różowych dymów. Tylko ciasno tu jakoś, równi brak i łąnów zbożowych. Ludzi za to mrowie. Migają wsie i miasta. Pociąg nie zatrzymując się, mija mnóstwo pomniejszych stacyj. Coś się musiało stać, bo wszędy widać tłumy. Słońce wychyla się zwolna z za wzgórz, więc jeden i drugi Maciek poczyną głośno pacierz. Za ich przykładem idą i inni; pierwsze promienie kładą blask na chłopskie twarze, modlące się i poważne.

Tymczasem pociąg zatrzymuje się na głównej stacyi. Tłum ludzi otacza go natychmiast: są już wieści z placu boju. Zwycięstwo! zwycięstwo! Depesze przyszły od kilku godzin. Wszyscy oczekiwali klęsk, więc gdy zbudzono ich pomyślną wieścią, radość nie zna miary. Ludzie nawpół ubrani poopuszczali domy, łóżka i pospieszyli na stacyą. Z niektórych dachów powiewają już chorągwie, a ze wszystkich rąk chustki. Do wagonów donoszą piwo, tytuń i cygara. Zapał jest nieopisany, twarze rozpromienione. *Wacht am Rhein* huczy jak burza. Niektórzy płaczą, inni padają sobie w objęcia. *Unser Fryc* pobił na głowę! wzięto armaty, chorągwie. W szlachebnym zapale tłumy oddają żołnierzom wszystko, co mają. Otucha wstępuje w serca żołnierzy i zaczynają śpiewać także. Wagony drżą od mocnych męzkich głosów, a tłum słucha z zadziwieniem słów niezrozumiałych pieśni. Pognębińscy śpiewają: „Bartoszu! Bartoszu! oj nie traćwa nadziei.” *Die Polen! die Polen!* powtarza tłum sposobem objaśnienia i kupi się koło wagonów, podziwiając postawę żołnierza, a zarazem umacniając się w radości opowiadaniem anegdot o straszném męztwie tych polskich pułków.

Bartek ma rozpuchnięte policzki, co przy jego złotych wąsach, wyłupiastych oczach i ogromnej kościstej postawie czyni go strasznym. Podziwiają go też jak osobliwsze zwierzę. Jakichto Niemcy mają obrońców! Ten dopiero sprawi Francuzom! Bartek uśmiecha się z zadowoleniem, bo i on jest kontent, że Francuzów pobili. Nie przyjdą już przynajmniej do Pognębina, nie zbałamucą Magdy i nie zabiorą gruntu. Uśmiecha się tedy, ale

ponieważ twarz boli go mocno, więc krzywi się zarazem i naprawdę jest straszny. Jé za to z apetytem homerycznego bohatera. Kiszki grochowe i kufle piwa znikają w jego ustach jak w czeluści. Dają mu cygara, fenigi: bierze to wszystko.

— Dobry jakiś naród te Niemiaszki — mówi do Wojtka, a po chwili dodaje — a widzisz, że Francuzów pobili!

Ale sceptyczny Wojtek rzuca cień na jego wesołość. Wojtek wróży jak Kassandra:

— Francuzy zawdy naprzód dają się pobić, żeby zbałamucić, a potem jak się wezmą, aż wióry lecą.

Wojtek nie wie o tém, że zdanie jego podziela większa część Europy, a jeszcze mniej o tém, że cała Europa myli się z nim razem.

Jadą dalej. Wszystkie domy jak okiem sięgnąć, pokryte chorągwiami. Na niektórych stacyach zatrzymują się dłużej, bo wszędy pełno pociągów. Wojsko ze wszystkich stron Niemiec spieszy wzmocnić zwyciężkich współbraci. Pociągi poubierane w zielone wieńce. Ułani zatykają na lance bukiety kwiatów, darowywane im po drodze. Między temi ułanami większość także Polaków. Nieraz słychać z wagonu do wagonu rozmowy i nawoływania:

— Jak się mata chłopcy! a gdzie Pan Bóg prowadzi?

Czasem z przelatującego po sąsiednich relsach pociągu zaleci znajoma piosenka:

Z tamtej strony Sandomierza

Mówi panna do żołnierza....

A wtedy Bartek i jego kamraci podchwytyją w lot:

Panie żołnierz chodź pokochać.

Jeszczem nie jadł—Bóg ci zapłaci!

O ile z Pogonębina wszyscy wyjeżdżali smutni: o tyle teraz pełni są zapału i ducha. Pierwszy pociąg z pierwszymi rannymi przybywający z Francyi, psuje jednak to dobre usposobienie. Staje on w Deutz i stoi długo, by przepuścić te które spieszą na plac boju. Ale nim wszystkie przejdą przez most do Kolonii, potrzeba kilku godzin czasu. Bartek leci razem z innymi oglądać chorych i rannych. Niektórzy leżą w zamkniętych, inni dla braku miejsca w otwartych wagonach, i tych można widzieć dobrze. Po pierwszym spojrzeniu, duch bohaterski Bartka ulatuje znowu na ramię.

— Chodźże tu Wojtek!—woła z przerażeniem—wiesz ino, ile te Francuzy napsowały narodu!—I jest na co patrzeć! Twarze blade, zmęczone; niektóre zczerniały od prochu lub bólu, powalane krwią. Na odgłosy ogólnej radości, ci odpowiadają tylko jękami. Niektórzy klą wojnę Francuzów i Niemców. Usta spieczone i zczerniałe wołają co chwila wody; oczy poglądają jak błędne. Tu i owdzie między rannymi widać zeszywniałą twarz konającego, czasem spokojną z błękitnymi sińcami naokoło oczu, czasem wykrzywioną przez konwulsye, z przerażeniami oczyma i wytrzeszczonymi zębami. Bartek po raz pierwszy widzi krwawe owoce wojny. W głowie jego znów powstaje zamęt, patrzy jak odurzony i stoi w tłoku z otwartymi ustami; popychają go na wszystkie strony; żandarm daje mu kolbą w kark. On szuka oczyma Wojtka, odnajduje go i mówi:

— Wojtek, bój się Boga! o!

— Będzie tak i z tobą.

— Jezu Marya! I to się ludziska tak mordują. Toć, jak chłop chłopą pobije, to go żandarmy biorą do sądu i karzą!

www.libtool.com.cn

— No, a teraz ten lepszy, kto więcej ludzisków napsuje. Cóżes głupi myślał, że będziesz prochem strzelał, jak na manewrach, alboli téż do tarczy, nie do ludzi?

Tu okazała się widocznie różnica między teorią a praktyką. Nasz Bartek był przecie żołnierzem, chodził na manewry i musztry, strzelał, wiedział, że wojna od tego, by się zabijać, a teraz jak zobaczył krew rannych, nędzę wojny, zrobiło mu się tak jakoś niedobrze i ckliwo, że ledwie się mógł na nogach utrzymać. Nabrał znów uszanowania dla Francuzów, które zmniejszyło się dopiero wtedy, gdy przejechali z Deutz do Kolonii. Na centralnym Bahnhofie ujrzeli poraz pierwszy jeńców. Otaczało ich mnóstwo żołnierzy i ludu, który patrzył na nich z dumą, ale jeszcze bez nienawiści. Bartek przedarł się przez tłum, rozpychając go łokciami, spojrzał na wagon i zżyzwił się.

Gromada piechurów francuzkich w podartych płaszczach, małych, brudnych, wynędzniałych, nappełniała wagon jak śledzie beczkę. Wielu z nich wyciągało ręce po szczupłe datki, jakiemi obdzielał ich tłum, o ile straż nie stawiała przeszkody. Bartek wedle tego co słyszał od Wojtka, zgola inne o Francuzach miał wyobrażenie. Duch z ramienia wstąpił mu napowrót w piersi. Obejrzał się czy Wojtka niéma. Wojtek stał obok.

— Cóżes gadał?—pyta Bartek.—Dyc to chmyzy.

Jakbym jednego bez łeb luhał, toby się ze czterech wywróciło.

— Musi jakoś zmarnieli—odrzekł również rozczarowany Wojtek. www.libtool.com.cn

— Po jakiemu oni szwargocą?

— Juści nie po polsku.

Uspokojony pod tym względem Bartek, poszedł dalej wzdłuż wagonów.

— Straszne kapcany!—rzekł skończywszy przegląd wojsk liniowych.

Ale w następnych wagonach siedzieli żuawi. Ci więcéj dali Bartkowi do myślenia. Z powodu że siedzieli w wagonach krytych, nie można było sprawdzić, czy każdy jest chłop, jak dwa albo trzy razy zwyczajny człowiek, ale przez okna widać było długie brody i marsowate, poważne twarze starych żołnierzy o ciemnej cerze i błyszczących groźnie oczach. Duch Bartka znowu skierował się ku ramionom.

— Te straszniejsze—szepnął ciche, jakby się bał, by go nie słyszeli.

— Jeszcześ nie widział tych, co się nie dali wziąć—odparł Wojtek.

— Bójże się Boga!

— Obaczysz.

Napatrzywszy się żuawom, poszli dalej. Zaraz przy następnym wagonie Bartek rzucił się w tył jak oparzony.

— O, rety! Wojtek, ratuj!

W otwartém oknie widać było ciemną, prawie czarną twarz turkosa z przewróconemi białkami oczu. Musiał być ranny, bo twarz wykrzywiła mu się cierpieniem.

— A co?—rzecze Wojtek.

— To złe, nie żołnierz. Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu.

— Spójrzij ino, jakie on ma zębiska.

— A niech go wciornaści! ja tam nie będę na niego patrzył.

Bartek umilkł, po chwili jednak spytał:

— Wojtek!

— Czego?

— A żeby takiego przeżegnać, czyby nie pomogło?

— Pogany na świętą wiarę nie mają wyrozumienia.

Dano znak do siadania. Po chwili pociąg ruszył. Gdy ściemniło się, Bartek widział ciągle przed sobą czarną twarz turkosa i straszne białka jego oczu. Z uczuć, które w téj chwili ożywiały tego pognębińskiego wojownika, nie wiele możnaby wywróżyć o jego przyszłych czynach.

IV.

Bliższy udział w walnej rozprawie pod Gravelotte, początkowo przekonał Bartka tylko o tém, że w bitwie jest się na co gapić a niema co robić. Z początku bowiem kazano stać i jemu i jego pułkowi z karabinem u nóg, u stóp wzgórza pokrytego winogradem. Zdala grały armaty, zbliżka przelatywały pułki konne z tententem, od którego ziemia się trzęsła; migotały to chorągiewki, to kirasyerskie miecze! Nad wzgórzem po błękitném niebie przelatywały z sykiem granaty w kształcie białych obłoczków, potem dym napełnił powietrze i zasłonił horyzont. Zdawało się, że bitwa, jak burza, przechodzi stronami, ale trwało to niedługo.

Po pewnym czasie dziwny jakiś ruch powstał koło Bartkowego pułku. Poczęły koło niego stawać inne pułki, a w przerwy pomiędzy niemi nadbiegały co koń wyskoczy, armaty, które wypręgano na gwałt i obracano paszczami ku wzgórz. Cała dolina napełniła się wojskiem. Teraz na wszystkie strony grzmiały komendy, latają adjutanci. A nasi szeregowcy szepcą sobie do ucha: „oj! będziez nam, będzie!” lub pytają jeden drugiego z niepokojem: „czy to już się zacznie?” „Zapewne już.” Oto zbliża się niepewność,

zagadka, może śmierć... W dymie, który zasłania wzgórze, wre coś i kotłuje się strasznie. Słysząc coraz bliżej basowy huk dział i stukotanie karabinowego ognia. Zdala dochodzi jakby niewyraźny jakiś trzask, to kartaczońce już słyszą. Nagle, jak hukną dopiero co postawione armaty, aż ziemia i powietrze zadygotały razem. Przed Bartkowym pułkiem zasyczało strasznie. Spojrzą: leci niby róża jasna, niby chmurka, a w téj chmurce coś syczy, śmieje się, zgrzyta, rży i wyje. Chłopi wołają: granat! granat! Tymczasem pędzi ten ptak wojny, jak wichor, zbliża się, spada, pęka! Huk straszny rozdarł uszy, łoskot jakby się świat walił, i pęd, jakby od uderzenia wiatru! Zamieszanie powstaje w szeregach, stojących w pobliżu armat, rozlega się krzyk i komenda: „szlusuj!” Bartek stoi w pierwszym szeregu, karabin przy ramieniu, łeb do góry, broda podpięta, więc zęby nie kłapią. Nie wolno drgnąć, nie wolno strzelać. Stać! Czekać! Aż tu leci drugi granat, trzeci, czwarty, dziesiąty! Wichor zwiewa dym z wzgórza. Francuzi już spędzili z niego baterie pruskie, już postawili swoje i teraz zieją ogniem na dolinę. Co chwila z gęstwy winogrodu wyskakują długie, białe rzuty dymu. Piechota pod zasłoną armat zstępuje coraz niżej, by rozpocząć ręczny ogień. Są już w połowie wzgórza. Teraz widać ich doskonale, bo wiatr odrzuca dymy. Czy winograd zakwitł makiem? Nie, to czerwone czapki piechurów. Naraz nikną między wysoką łożą winną, nie widać ich: gdzieś tylko wieją trójkolorowe chorągwie. Ogień karabinowy rozpoczyna się szybko, gorączkowy, nieregularny, wybuchający nagle w coraz innych miejscach. Nad tym ogniem wyją ciągle granaty

i krzyżują się w powietrzu. Na wzgórzu czasem wybuchną okrzyki, którym z dołu odpowiada niemieckie: „hurra!” Armaty z doliny huczą nieprzerwanym ogniem. Pułk stoi niewzruszony.

www.libtool.com.cn

Sfera ognia poczyną go jednak z kolei obejmować. Kule bzykają niby muchy, niby bąki zdaleka, lub przelatują ze strasznym świstem w pobliżu. Coraz ich więcej: oto świszczą koło głów, nosów, oczu, ramion, idą ich tysiące, miliony. Dziw, że jeszcze ktoś stoi na nogach. Nagle tuż za Bartkiem odzywa się jęk. „Jezu!” potém: „szlusuj!” znów: „Jezu!” „szlusuj!” Wreszcie jęk już nieprzerwany, komenda coraz spieszniejsza, szeregi ściskają się, świst coraz częstszy, nieustający, okropny. Zabitych wyciągają za nogi. Sąd Boży!

— Boisz się?—pyta Wojtek.

— Co się nie mam bać!...—odpowiada nasz bohater, szczękając zębami.

A jednak stoją obaj i Bartek i Wojtek, i nawet do głowy im nie przychodzi, że możnaby zemknąć. Kazali im stać i kwita! Bartek kłamie. Nie boi on się tak, jakby tysiące innych bało się na jego miejscu. Dyscyplina panuje nad jego wyobraźnią, a wyobraźnia nie maluje mu nawet tak okropném położenia, jak ono jest. Bartek jednak sądzi, że go zabiją i powierza tę myśl Wojtkowi.

— Dziury w niebie nie będzie, jak jednego kpa zabiją!—odpowiada rozdrażnionym głosem Wojtek.

Słowa te uspakajają Bartka znacznie. Zdawałoby się, że głównie chodziło mu o to, czy się dziura w niebie nie robi? Uspokojony pod tym względem stoi cierpliwiej, czuje tylko okropne gorąco i pot zlewa mu twarz.

Tymczasem ogień staje się tak straszny, że szeregi topnieją w oczach. Zabitych i rannych niema już kto wyciągać. Chrapanie konających miesza się ze świstem pocisków i hukiem wystrzałów. Po ruchu trójbarwnych chorągwi widać, że ukryte w winnicy piechury zbliżają się coraz bardziej. Stada kartaczy dziesiątkują szeregi, które poczyną ogarniać rozpacz.

Ale w odgłosach téj rozpaczey czuć pomruk zniecierpliwienia i wściekłości. Gdyby kazano im iść naprzód, poszliby jak burza. Nie mogą tylko ustać na miejscu. Jakiś żołnierz zrywa nagle czapkę z głowy, ciska ją z całą siłą o ziemię i mówi:

— Raz kozie śmierć!

Bartek doznaje znów na te słowa tak znakomitej ulgi, że prawie zupełnie przestaje się bać. Bo jeżeli raz kozie śmierć, to właściwie o nic wielkiego nie chodzi. Jest to filozofia chłopska, lepsza od każdej innéj, skoro dodaje otuchy. Bartek zresztą wiedział, że raz kozie śmierć, ale miło mu to było usłyszeć i mieć zupełną pewność, zwłaszcza, że bitwa zaczęła się zmieniać w pogrom. Oto pułk, nie wystrzeliwszy ani razu, jest już do połowy zniszczony. Tłumy żołnierzy z innych rozbitych pułków przebiegają koło niego w nieładzie, tylko ci chłopcy z Pogńębina, Krzywdy Wielkiéj, Krzywdy Małéj i Mizerowa, trzymani żelazną pruską dyscypliną, stoją jeszcze. Ale i w ich szeregach czuć już pewne wahanie się. Za chwilę pękną karby dyscypliny. Ziemia pod ich nogami staje się już miękka i ślizka od krwi, której surowy zapach miesza się z wońią dymu. W niektórych miejscach szeregi nie mogą się zewrzeć, bo trupy czynią w nich przerwy!

U nóg tych ludzi, którzy jeszcze stoją, druga połowa leży we krwi, w jękach, w konwulsjach, w konaniu, lub w ciszey śmierci. Oddechem braknie powietrza. W szeregach powstaje szmer. www.libtool.com.cn

— Na rzeź nas przywiedli!

— Nikt nie wyjdzie!

— *Still polnisches Vieh*—odzywa się głos oficera...

— Dobrze ci za moim kołnierzem...

— *Steht der Kerl da!*

Nagle jakiś głos poczyną mówić:

— Pod Twoję obronę...

Bartek podchwytuje natychmiast:

— Uciekamy się Święta Boża rodzicielko!

I wkrótce chór polskich głosów na tém polu zagłady woła oto do Patronki Częstochowskiej: „Naszemi prośbami nie racz gardzić!” A z pod nóg wtórują im jęki: „O Maryo, Maryo!” I wysłuchała ich widocznie, bo w téj chwili na spienionym koniu przybiega adjutant, rozlega się komenda: „do ataku broń! hurra! naprzód!” Grzebień bagnetów pochyła się nagle, szereg wyciąga się w długą linię i rzuca się ku wzgórzom szukać bagnetem tych nieprzyjaciół, których nie mogły dostrzedz oczy. Wszelako od stóp wzgórza dzieli naszych chłopów jeszcze ze dwieście kroków i przestrzeń tę muszą przebyć pod morderczym ogniem... Czy nie wyginą do reszty, czy się nie cofną? Wyginać mogą, ale się nie cofną, bo komenda pruska wie na jaką nutę grać tym polskim chłopom do ataku. Wśród ryku dział, wśród karabinowego ognia, dymu i zamieszania i jęków, głośniejszym nad wszystkie trąby i trąbki biją w niebo hymnem, od którego każda kro-

pla krwi skacze w ich piersiach: „Hurra!” odpowiadają Maćki. „Póki my żyjemy!” Ogarnia ich zapal, płomień bije im na twarze! Idą jak burza przez zwalone ciała ludzkie, końskie, przez złomy armatnie. Gina, ale idą z krzykiem i śpiewem. Już dobiegają krańca winnicy, nikną w zaroślach. Śpiew tylko brzmi, czasem błysnie bagnet. Na górze wre ogień coraz straszniejszy. Na dole trąbki wciąż grają. Salwy francuzkich wystrzałów stają się spieszniejsze, jeszcze spieszniejsze, gorączkowe i nagle....

Nagle milkną.

Tam na dole stary wilk wojny, Steinmetz, zapala porcelanową fajkę i mówi z akcentem zadowolenia:

— Im tylko to grać! Doszli zuchy!

Jakoż po chwili jeden z dumnie powiewających trójbarnych sztandarów, podskakuje w górę, pochyla się i niknie....

— Nie żartuj! — mówi Steinmetz.

Trąby grają znowu tenże sam hymn. Drugi pułk poznański idzie w pomoc pierwszemu.

W gęstwinie wre bitwa na bagnety.

Teraz Muzo śpiewaj mojego Bartka, aby potomność wiedziała co czynił. Oto i w jego sercu strach, niecierpliwość, rozpacz zlały się w jedno uczucie wściekłości; a gdy usłyszał ową muzykę, to każda żyłka wyprężyła się w nim, jak drut żelazny. Włos stanął mu dębem, z oczu skry poszły. Zapomniał o świecie, o tém, że „raz kozie śmierć,” i chwyciwszy w potężne łapy karabin, skoczył z drugimi naprzód. Dobiegłszy wzgórza przewrócił się z dziesięć razy na ziemię, stłukł sobie nos, powalał się zie-

nią i krwią, która mu z nosa pociekła, i biegł naprzód, wściekły, zziąjany chwytając w otwarte usta powietrze. Wytrzeszczał oczy, by w gęstwinie zobaczyć jak najprędzej jakiego Francuza i dojrzał ich wreszcie trzech naraz przy chorągwi. Byli to turkosy. Ale czy myślicie, że Bartek się cofnął? Nie! onby teraz samego Lucycpera brał za rogi! Dopadł już do nich, i oni z wyciem rzucili się ku niemu; dwa bagnety, jakby dwa żądła, już, już tykają jego piersi, a mój Bartek jak złapie za karabin z cienkiego końca, niby kłonicę, jak machnie, jak poprawi... Wrzask tylko odpowiedział mu straszny, jęk—i dwa czarne ciała poczęły drgać konwulsyjnie na ziemi.

W tej chwili trzeciemu, który trzymał chorągiew, podbiegło na pomoc z dziesięciu towarzyszy. Bartek jak furja rzucił się na wszystkich razem. Dali ognia, błysnęło, huknęło! i jednocześnie w kłębach dymu zagrzemiał chrapliwy ryk Bartka:

— Chybiliście!

I znów karabin w jego rękę zatoczył łuk straszliwy, znów jęki odpowiedziały ciosom. Turkosi cofnęli się w przerażeniu na widok tego oszalałego z wściekłości olbrzyma, i czy się Bartek przesłyszał, czy też wołali coś po arabsku, dość, że wyraźnie mu się zdało, iż z ich szerokich warg wychodzi okrzyk:

— „Magda! Magda!”

— Magdy wam się chce!—zawył Bartek i jednym skokiem był w środku nieprzyjaciół.

Szczęściem w tej chwili Maćki, Wojtki i inni Bartkowie przybiegli mu w pomoc. Wśród gęstwiny winogrodu zawiązała się bitwa ścieśniona i tłumna, której

wtórował trzask karabinów, świst nozdrzy i gorączkowy oddech walczących. Bartek szalał, jak burza. Osmalony dymem, oblany krwią, podobniejszy do zwierzęcia, niż do człowieka, nie pamiętny na nic, każdym uderzeniem przewracał ludzi, łamał karabiny, rozwalął głowy. Ręce jego poruszały się straszną szybkością, siejąc zniszczenie. Dotarłszy do chorążego, chwycił go żelaznymi palcami za gardło. Oczy chorążego wyszły na wierzch, twarz nabrzmiała, zacharczał, i ręce jego puściły drzewiec!

— Hurra!—krzyknął Bartek i podniósłszy chorągiew, zakołysał nią w powietrzu.

Ten-to wznoszący się i opadający sztandar widział z dołu generał Steinmetz.

Ale mógł go widzieć tylko przez jedno mgnienie oka, bo w drugiem, Bartek tą samą chorągwią strzaskał już jakąś głowę nakrytą kepi ze złotym sznurkiem.

Tymczasem towarzysze jego skoczyli już naprzód.

Bartek został przez chwilę sam. Obdarł sztandar; schował go w zanadrze, i chwyciwszy w obie ręce drzewce, rzucił się za towarzyszami.

Gromady turkosów, wyjąc nieludzkimi głosami, uciekały teraz ku stojącym na szczycie wzgórza armatom, za nimi zaś biegli Maćki, krzycząc, goniąc, tłukąc kolbami i bagnetami.

Żuawi, stojący przy armatach, powitali jednych i drugich karabinowym ogniem.

— Hurra!—krzyknął Bartek.

Chłopi doszli do armat. Zawiazała się przy nich nowa bitwa na białą broń. W téj chwili téż drugi pułk

poznański nadbiegł na pomoc pierwszemu. Chorągwie drzewce w potężnych łapach Bartka, zmieniło się teraz w jakieś piekielne cepy. Każde ich uderzenie otwierało wolną drogę w ścieśnionych szeregach francuzkich. Przerazenie też zaczęło ogarniać zuawów i turkosów. W miejscu, w którym walczył Bartek, pierzchli. Po chwili pierwszy Bartek siedział już na armacie, jak na pogrzebińskiej kobyle.

Ale nim żołnierze mieli czas dostrzedz go na niej, on już siedział na drugiej, przy której znów obalił chorążego z chorągwią.

— Hurra Bartek!—powtórzyli żołnierze.

Zwycięstwo było zupełne. Zdobyto wszystkie kartacznice. Pierzchająca piechota, wpadłszy po drugiej stronie wzgórza na nowy pruski pułk, złożyła broń.

Bartek zdobył jednak w pogoni trzecią jeszcze chorągiew.

Trzeba go było widzieć, gdy zmęczony, obłany potem i krwią, sapiąc jak miech kowalski, zstępował teraz wraz z innymi ze wzgórza, dźwigając na ramionach trzy chorągwie. Francuzi! hej! co on sobie teraz z nich robił! Obok niego szedł podrapany i pokiereszowany Wojtek, więc Bartek do niego:

— Cóżes gadał? Toć to robactwo: siły w kościach nijakiej niema. Podrapały ta mnie i ciebie, jak kociaki, ale i tyła. A com którego lunał, to ci o ziemię....

— Kto cię wiedział żeś taki zawzięty—odparł Wojtek, który widział czyny Bartka i począł patrzeć na niego zgoła innemi oczyma.

Ale któż tych czynów nie widział. Historia, cały

pułk i większość oficerów. Wszyscy spoglądali teraz na tego olbrzymiego chłopca, o rzadkich płowych wąsach i wylupiastych oczach z podziwem.—*Ach! Sie verfluchter Polake!*—powiedział mu sam major i pociągnął go za ucho, a Bartek aż mu trzonowe zęby pokazał z radości. Gdy pułk znów stanął u stóp wzgórza, major pokazał go pułkownikowi, a pułkownik samemu Steinmetzowi.

Ten obejrzał sztandary i kazał je zabrać, poczem począł oglądać Bartka. Mój Bartek stoi znowu wyciągnięty jak struna i prezentuje broń, a stary generał patrzy na niego i kręci głową z zadowoleniem. Nakoniec zaczyna coś mówić do pułkownika. Słysząc wyraźnie słowo: *Unteroffizier*.

— *Zu dumm, Excellenz!*—odpowiada major.

— Spróbujmy—mówi jego Ekscelencya, i zwracając konia, zbliża się do Bartka.

Bartek sam już nie wie, co się z nim dzieje. Rzecz niesłychana w pruskiej armii: generał będzie rozmawiał z szeregowcem. Jego Ekscelencyi przyjdzie to tém łatwiej, że umie po polsku. Zresztą szeregowiec ten zdobył trzy sztandary i dwie armaty.

— Zkąd jesteś?—pyta generał.

— Z Pogonębina—odpowiada Bartek.

— Dobrze. Imię twoje?

— Bartek Słowik.

— Mensch... tłumaczy major.

— Mens!—powtarza Bartek.

— Wiesz za co bijesz Francuzów?

— Wiem, Celencyjo...

— Powiedz!

Bartek poczyną się jękać: „Bo... bo...” Nagle słowa Wojtka przychodzą mu szczęśliwie na pamięć, wybuchą więc prędko, by nie przekreślić:

— Bo to także Niemcy, tylko ścierwa gorszel

Twarz starój Ekscelencyi poczyną tak drgać, jakby jego Ekscelencya miała ochotę wybuchnąć śmiechem. Po chwili jednak jego Ekscelencya zwraca się do majora i mówi:

— Miałeś pan słuszość.

Mój Bartek, kontent z siebie, stoi ciągle jak struna.

— Kto wygrał dziś bitwę?—pyta znowu generał.

— Ja, Celencyjo!—odpowiada bez wahania Bartek.

Twarz Ekscelencyi poczyną znów drgać.

— Tak, tak, ty! A oto masz nagrodę...

Tu stary wojownik odpina krzyż żelazny z własnej piersi, następnie schyla się i przypina go Bartkowi. Dobry humor generała drogą zupełnie naturalną odbija się na twarzach pułkownika, majorów, kapitanów aż do podoficerów. Po odjeździe generała, pułkownik daje ze swój strony Bartkowi dziesięć talarów, major pięć i tak dalej. Wszyscy powtarzają mu, śmiejąc się, że wygrał bitwę, skutkiem czego Bartek jest w siódmym niebie.

Dziwna rzecz. Jeden tylko Wojtek nie bardzo jest z naszego bohatera zadowolony.

Wieczorem, gdy zasiedli obaj przy ognisku i gdy szlachetna twarz Bartka zapchana była kiszka grochową, tak dokładnie jak sama kiszka grochem, Wojtek ozwał się tonem rezygnacyi:

— Oj ty Bartek, głupi jesteś, bo głupi...

— Albo co?—mówi przez kiszka Bartek.

— Cóżes ty człeku nagadał generałowi o Francuzach, że ony Miemcy?

— A sameś prawil...

— Ale trzeba ci było zmiarkować, że generał i oficerzy téż Miemcy.

— To i co z tego?

Wojtek poczał się jakoś jakać...

— To, że choć ony Miemcy, ale nie trzeba im tego mówić, boć to zawdy nieładnie...

— Toć ja na Francuzów powiedziałem nie na nich...

— Ej, kiedy bo to...

Wojtek uciał nagle, widocznie sam chciał także co innego powiedzieć, chciał oto wytłómaczyć Bartkowi, że przy Niemcach nienależy źle mówić o Niemcach, ale jakoś mu się język poplątał!...

V.

W jakiś czas potém królewsko-pruska poczta przywiozła do Pognębina list następujący:

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Jego święta Rodzicielka! Najukochańsza Magdo! Co u ciebie słyszać? Dobrze ci w chałupie pod pierzyną, a ja tu wojuję okrutnie. Byliśma koło wielgiěj fortocy Miecu i była bitwa i takémci Francuzów sprął, że się cała infanteryja i artyleryja dziwowały. I sam jenerał się dziwował i powiedział, żem bataliję wygrał i dał mnie krzyż. A teraz to ci mnie i oficerzy i unteroficerzy bardzo szanują i po py-sku mało co biją. Potém pomaszerowaliśma dalėj i była druga batalia, jeno zabaczyłem jak się to miasto nazywa, i teżem prał i czwarty sztandar wziąłem, a jednego największego pułkownika od kirasyerów tom przetrącił i do niewoli zabrałem. A jak będą nasze pułki odsyłać do domu, to mi unteroficer radził, żebym napisał „ryklamacyą” i ostał się, bo na wojnie tylko spać gdzie niéma, ale żreć czasem ile wytrzymasz, i wino w tym kraju jest wszędzie, bo naród bogaty. Jakeśma palili jedną wieś, tośma i dzieciom i babom nie przepuścili, i ja téż. Ko-ściół-ci się spalił do cna, bo ony są katoliki i ludzi się po-

piekło nie mało. Idziema teraz na samego cesarza i będzie koniec wojny, a ty pilnuj chałupy i Franka, bo niechbyś nie pilnowała, tobym ci chyba giry poprzetrącał, żebyś wiedziała, com za jeden Bogu cię polecam.

Bartłomiej Słowik."

Bartek widocznie zasmakował w wojnie i począł patrzeć na nią, jak na właściwe sobie rzemiosło. Nabrał wielkiej ufności w siebie i do bitwy teraz szedł, jakby się zabierał do jakiej roboty w Pogonbinie. Na piersi jego, po każdej rozprawie leciały medale i krzyże, a choć podoficerem nie został, powszechnie miano go za pierwszego szeregowca w pułku. Był zawsze karny, jak dawniej, i posiadał ślepe męstwo człowieka, który nie zdaje sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Męstwo to nie płynęło już tak, jak w pierwszych chwilach z wściekłości. Teraz źródłem jego była praktyka żołnierska i wiara w siebie. Przytem olbrzymie jego siły wytrzymywały wszelkie trudy, pochody i niewczasy. Ludzie marnieli obok niego, on jeden trwał niespożycie, tylko dziczał coraz bardziej i stawał się coraz sroższym pruskim żołdakiem. Począł on teraz nie tylko bić Francuzów, ale i nienawidzić ich. Pozmieniały się też i inne jego pojęcia. Stał się żołnierzem-patryotą i uwielbiał ślepo swoich przywódców. W następnym liście pisał do Magdy:

„Wojtka na dwoje rozerwało, ale od tego jest wojna, rozumiesz? On też był kiep, bo powiadał, że Francuzy, to Niemcy, a ony są Francuzy, a Niemcy to nasi.”

Magda w odpowiedzi na obydwa listy, nawymyślała mu, co wlażło:

„Najukochańszy Bartku, pisała, przed ołtarzem świętym mi poślubiony! Ażeby cię Bóg pokarał. Tyś sam kiep poganinie, kiedy naród katolicki na współkę z kasztanami mordujesz. To nie rozumiesz, że kasztany są lutry, a ty katolik im pomagasz. Chce ci się wojny, wałkoniu, bo możesz nic nie robić, jeno się bić, pić i innych poniewierać i nie pościć i kościoły palić. A bodaj ciebie w piekle za to palili, że się jeszcze tém chwalisz i ni na starych, ni na dzieci ci nie masz wyrozumienia. Pamiętaj, baranie na to, co w świętój wierze jest pisane złotemi literami od początku świata do dnia sądu ostatecznego dla polskiego narodu, w którym dniu Bóg najwyższy nie będzie miał dla takich capów wyrozumienia i pohamuj się, Turku jeden, żebym ci tego twojego łba nie rozbiła. Pięć talarów ci posyłam, choć mi tu bięda, bo sobie rady dać nie mogę i gospodarstwo się marnuje. Ściskam cię najukochańszy Bartku.

Magda.”

Morały w liście tym zawarte, małe na Bartku zrobiły wrażenie: „Baba służby nie rozumie, myślał sobie, a wtrąca się.” I wojował po staremu. Odznaczał się w każdej niemal bitwie, tak, że w końcu padły nań oczy jeszcze od Steinmecowych dostojniejsze. Nakoniec gdy zniszczone pułki poznańskie odesłano w głąb Niemiec, on za radą podoficera podał „reklamacyą” i został. Skutkiem tego znalazł się pod Paryżem.

Listy jego pełne były teraz lekceważenia dla Francuzów. „W każdej bitwie tak ci żdzierają jak zajęce,” pisał do Magdy. I pisał prawdę! Ale oblężenie niezbyt przypadło mu do smaku. Pod Paryżem trzeba było leżeć po całych dniach w podkopach i słuchać huku dział,

częstokroć sypać szańce i moknąć. Przytém żał mu było swego dawnego pułku. W tym, do którego przeniesiono go teraz, jako ochotnika, otaczali go po większej części Niemcy. Po niemiecku umiał on trochę, bo się jeszcze w fabryce nieco poduczył, ale tak sobie piąte przez dziesiąte. Teraz począł się wprawiać szybko. Nazywano go jednak w pułku *ein polnischer Ochs*, i tylko jego krzyże i straszliwe pięści zasłaniały go przed dotkliwymi żartami. Wszelako po kilku bitwach zyskał sobie szacunek u nowych towarzyszy i począł się z nimi zżywać powoli. W końcu uważano go za jednego ze swoich, ile że cały pułk okrywał sławą. Bartek poczytywałby sobie zawsze za obelgę, gdyby go kto nazwał Niemcem, ale zato sam siebie, w przeciwstawieniu do Francuzów, nazywał *ein Deutscher*. Zdawało mu się, że to zupełnie co innego, a przytém nie chciał uchodzić za gorszego niż inni. Zaszedł wszelako wypadek, który dałby mu wiele do myślenia, gdyby myślenie w ogóle było łatwiejsze dla tego bohaterskiego umysłu. Oto pewnego razu kilka kompanij jego pułku wykomenderowano przeciw wolnym strzelcom, zrobiono na nich zasadzkę i strzelcy w nią wpadli. Ale tym razem Bartek nie ujrzał czerwonych czapek pierzchających po pierwszych strzałach, oddział bowiem składał się ze starych żołnierzy, rozbitków jakiegoś pułku, legii zagranicznej. Otoczeni bronili się zacięcie, a wreszcie rzucili się, by bagnetem utorować sobie drogę przez opasujący ich krąg pruskiego żołdactwa. Bronili się z taką zaciętością, że część ich przebiła się przez wojska, szczególnie zaś nie dawali się brać żywcem, wiedząc jaki los czeka pochwyconych wolnych strzelców. Kompania w któ-

rój służył Bartek, pochwyliła też dwu tylko jeńców. Wieczorem umieszczono ich w izbie, w domu leśnika. Naza jutrz mieli być rozstrzelani. Straż kilku żołnierzy stanęła przy drzwiach, Bartka zaś postawiono w izbie pod wybitym oknem, razem ze związanymi jeńcami.

Jeden z jeńców był to niemłody człowiek, ze siwymi włosami i twarzą obojętną na wszystko; drugi wyglądał na dwadzieścia kilka lat: jasne włosy zaledwie syły mu się na twarzy, podobniejszej do twarzy panny niż żołnierza.

— Ot i koniec — rzekł po chwili młodszy — kula w łeb i koniec!

Bartek drgnął, aż karabin zadzwieczał mu w rękę: młody chłopak mówił po polsku...

— Mnie tam już wszystko jedno—odrzekł zniechęconym głosem drugi—dalibóg, wszystko jedno. Natomiastem się już tyle, że mam dosyć...

Bartkowi serce biło pod mundurem coraz żywiej....

— Słuchajno—mówił dalej stary—niema rady. Jeśli się boisz, to myśl o czem inném, albo się połóż spać. Życie jest podłe! Jak mi Bóg miły, tak wszystko jedno.

— Matki mi żal!—odparł głucho młodszy.

I widocznie chcąc stłumić wzruszenie, lub oszukać samego siebie, począł gwizdać. Nagle przerwał i zawołał z głęboką rozpaczą:

— Niechże mnie piorun trzaśnie! Nawetem się nie pożegnał!

— Toś uciekł z domu?

— Tak. Myślałem: pobiją Niemców, będzie Poznańczykom lepiej.

— I ja tak myślałem. A teraz...

Stary kiwnął ręką i dokończył coś z cicha, ale resztę jego słów zgłuszył szum wiatru. Noc była zimna. Drobny dészcz zaczynał od czasu do czasu falami, poblizki las czarny był jak kir. W izbie wicher świstał po kątach i wył w kominie jak pies. Lampa umieszczona wysoko nad oknem, aby jój wiatr nie zgasił, rzucała sporo migotliwego światła na izbę, ale stojący pod nią tuż przy oknie Bartek pogrążony był w ciemności.

I może lepiej, że jeńcy nie widzieli jego twarzy. Z chłopem działały się dziwne rzeczy. Z początku ogarnęło go zdziwienie i wytrzeszczał na jeńców oczy i starał się zrozumieć, co mówią. Toż oni przyszli bić Niemców, żeby Poznańczykom było lepiej, a on bił Francuzów, żeby Poznańczykom było lepiej. I tych dwóch jutro rozstrzelają! Co to jest? Co on biédak ma o tém myśleć? A żeby się tak ozwał do nich? Żeby im powiedział, że on swój człowiek, że mu ich żal. Nagle złapało go coś za gardło. I co on im powie? czy ich wyratuje? To i jego rozstrzelają! Hej, rety! co się z nim dzieje? Żal go tak dusi, że nie może ustać na miejscu.

Jakaś straszna tęsknota nadlatuje na niego, aż het gdzieś z Pognębina. Nieznany gość w żołdackiem sercu, litość, krzyczy mu w duszy: „Bartku! ratuj swoich, to swoi,” a serce wyrывa się do domu do Magdy, do Pognębina i tak się rwie, jak nigdy przedtém. Dosyć mu téj Francyi, téj wojny i bitew. Coraz wyraźniej słyszy głos: „Bartku, ratuj swoich!” A żeby ta wojna pod ziemię się zapa-

dła! Przez wybite okno czernieje las i szumi jako pogłębińskie sosny, a w tym szumie woła coś znowu:

„Bartku, ratuj swoich!”

Cóż on zrobi?

Ucieknie z nimi do lasu, czy co? Wszystko co tylko pruska dyscyplina zdołała w niego wszczepić, odrazu wzdryga się na tę myśl... W Imię Ojca i Syna! Tylko się przed nią przeżegnać. On żołnierz, ma dezertować? nigdy!

Tymczasem las szumi coraz mocniej i wicher świszczcze coraz żałośniej.

Starszy jeniec odzywa się nagle:

— A to wiatr, jakby jesienią u nas...

— Daj mi pokój....—rzecze pogłębionym głosem młodszy.

Po chwili jednak powtarza kilkakrotnie:

— U nas, u nas, u nas! O Boże! Boże!...

Głębokie westchnienie zlewa się z poświstem i jeńcy leżą znów cicho...

Bartka poczyną febra trząść...

Najgorzej, gdy sobie człowiek nie zdaje sprawy z tego, co mu jest. Bartek nic nie ukradł, a tak mu się zdaje, jakby co ukradł i jakby się bał, że go złapią. Nic mu nie grozi, a przecie boi się czegoś okrutnie. Oto nogi dygocą pod nim, karabin cięży mu strasznie i coś go dusi, jakby jaki wielki płacz. Za Magdą, czy za Pogłębinem? Za obojgiem, ale i tego młodsze go jeńca, tak mu żal, że sobie rady dać nie może.

Chwilami zdaje się Bartkowi, że śpi. Tymczasem

zawierucha na dworze jeszcze się powiększa. W poświ-
ście wiatru mnożą się dziwne wołania i głosy.

Nagle Bartkowi każdy włos staje dębem pod pikel-
haubą... www.libtool.com.cn

Oto wydaje mu się, że tam gdzieś w ciemnych, mo-
krych głębiach boru, ktoś jęczy i powtarza: „u nas, u nas,
u nas!”

Bartek wzdryga się i uderza kolbą w podłogę, by
się rozbudzić.

Jakoż przychodzi do przytomności... Ogląda się:
jeńcy leżą w kacie, lampa migoce, wiatr wyje, wszystko
w porządku.

Światło pada teraz obficie na twarz młodego jeńca.
Iście twarz dziecka albo dziewczyny. Ale oczy ma przym-
knięte, słomę pod głową i wygląda jakby już umarły.

Jak Bartek Bartkiem, nigdy go tak nie nurtował
żał. Wyraźnie ściska go coś za gardło, wyraźnie płacz
mu idzie z piersi.

Tymczasem starszy jeniec obraca się z trudnością
na bok i mówi:

— Dobranoc Władek...

Następuje cisza. Upływa godzina, z Bartkiem coś
naprawdę źle. Wiatr gra jak organy pogrzebińskie. Jeń-
cy leżą cicho, nagle młodszy podnosi się trochę z wysile-
niem i woła:

— Karol?

— Co?

— Śpisz?

— Nie...

— Słuchaj! Ja się boję... Mów, co chcesz, a ja się będę modlił...

— To się módl!

— Ojciec nasz, któryś jest w niebie, święć się Imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje...

Łkanie przerywa nagle słowa młodego jeńca... wszelako słyhać jeszcze przerywany głos:

— Bądź... wola... Twoja!...

— O, Jezu! wyje coś w piersiach Bartka. O, Jezu!...

Nie! on już nie wytrzyma dłużej! Chwila jeszcze, a krzyknie: „Paniczu! toć ja chłop!...” Potém przez okno... w las... Niech się dzieje co chce!

Nagle od strony sieni dają się słyszeć miarowe kroki. To patrol a z nim podoficer. Zmieniają straż!

Nazajutrz Bartek od rana był pijany. Następnego dnia także...

*

*

*

Ale w dalszych dniach przyszły nowe pochody, poryzki, marsze... i miło mi oznajmić, że nasz bohater wrócił do równowagi. Po owój nocy zostało mu tylko trochę zamięłowania do butelki, w której zawsze można znaleźć smak, a czasem i zapomnienie. Zresztą w bitwach bywał jeszcze okrutniejszy, niż dotąd, zwycięstwo szło w jego ślady.

VI.

Znów upłynęło kilka miesięcy. Było już dobrze z wiosny. W Pogńebinie wiśnie w sadzie kwitły i pokryły się bujnym liściem, a na polach zieleniała ruń obfita. Pewnego razu Magda siedząc pod chałupą, obierała na obiad marne kielkowate kartofle, zdatniejsze dla trzody niż dla ludzi. Ale był to przednówek i bięda zajrzała trochę do Pogńebina. Znać ją było i z twarzy Magdy, poczerniałej i pełnej frasunku. Może też dla rozpędzenia go, kobięta przymykając oczy, śpiewała cienkim, wytężonym głosem:

Oj, mój Jasieńko na wojnie! oj! listy pisze do mnie,
Oj, i ja też do niego—oj! bom żoneczka jego.

Wróble na czereśniach świergotały, jakby ją pragnęły zagłuszyć, a ona śpiewając spoglądała w zamyśleniu to na psa śpiącego na słońcu, to na drogę przechodzącą koło chałupy, to na steczkę idącą od drogi przez ogród i pola. Może i dlatego poglądała Magda na steczkę, że wiodła ona na przełaj do stacy i tak Bóg dał, że tego dnia nie spoglądała na nią napróżno. W dali ukazała się jakaś postać i kobięta przysłoniła oczy ręką, ale nie mogła nic dojrzeć, bo ją blask ślepił. Łysek tylko rozbudził się, podniósł gło-

wę i szczerkawszy krótko, począł węszyć nadstawiając uszu i przekręcając łeb na obie strony. Jednocześnie do uszu Magdy doszły niewyraźne słowa pieśni. Łysek zerwał się naraz i całym pędem skoczył ku zbliżającemu się człowiekowi. Wówczas Magda przybladła trochę.

— Bartek, czy nie Bartek!

Wstała nagle, tak, że aż niecułka z kartoflami potoczyła się na ziemię: teraz już nie było wątpliwości. Łysek tam skakał aż do piersi przybyłego. Kobieta rzuciła się naprzód, krzyknawszy z całej siły z radości:

— Bartek! Bartek!

— Magda! to ja!—wołał Bartek przykładając dłoń do ust i przyśpieszając kroku.

Otworzył wrota, zawadził o zaworę, mało nie upadł, aż się zatoczył, i padli sobie w objęcia.

Kobieta zaczęła mówić szybko:

— A ja myślała, że już nie wrócisz... Myślałam: zabili go!... Cóż ci? Pokaż się. Niech się napatrzę! Bardzo zmizerowany! O Jezuu! Oj ty kapcanie!... Oj najmilszy!... Wrócił! wrócił!...

Chwilami odrywała ręce od jego szyi i patrzyła na niego i znów je zarzucała.

— Wrócił! Chwała bądź Bogu... Mój ty Bartczyśko kochane!... Cóżes?... Chodź do chałupy... Franek w szkole! Niemczysko trochę dzieciom dopieka. Chłopak zdrów. Ino ślepie na wierzchu ma jak ty. Oj, czas ci wracać! Bo ani rady. Bięda, mówię bięda!... Chałupsko się psuje. Do stodoły bez dach leci. Cóżes? Oj Bartku! Bartku! Że też ja jeszcze ciało twoje oglądam! Co ja tu miałam kłopotów z sianem!... Czermieniccy mi

pomagali, ale bogać! I cóżeś ty zdrów? Oj raduję ja ci się, raduję! Bóg cię strzegł. Chodź do chałupy. O dla Boga, coś niby Bartek, niby nie Bartek! A tobie co? Rety!

Magda w téj dopięro chwili spostrzegła długą szramę, ciągnącą się przez twarz Bartka, przez lewą skroń, policzek, aż do brody.

— At nic... Kiryser mnie ta pomacał, ale i ja jego téż: W szpitalu byłem.

— O Jezu!

— Ej, mucha.

— A chudyś jak ta śmierć.

— *Ruhig!*—rzekł Bartek.

Był rzeczywiście wychudły, zczerniały, obszarpany. Prawdziwy zwycięzca! Przytém chwiał się na nogach.

— Cóżeś ty, pijany?

— Ti... słabym jeszcze.

Był słaby, to pewno! ale był i pijany, bo przy jego wycienczeniu, jedna miarka wódki wystarczała, a Bartek na stacyi wypił ich coś cztery. Ale za to miał animusz i minę prawdziwego zwycięzcy. Takiéj miny nigdy przedtém nie miewał.

— *Ruhig!*—powtórzył.—Skończyliśmy *krieg!* teraz ja pan, rozumiesz? A to widzisz?—Tu ręką wskazał na krzyże i medale.—Wiesz com za jeden?—He? *links! rechts! Heu. Stroh!* siano! słoma! słoma! siano! *halt!*

Ostatnie *halt!* wrzasnął tak przeraźliwie, że kobiéta odskoczyła o kilka kroków.

Cóżeś ty oszalał?

— Jak się masz Magda! Kiedy ci mówię: jak się

masz? to jak się masz?... A po francuzku umiesz, głupia?...
Musiu, musiu! kto *musiu?* ja *musiu!* wiesz?

— Człeku, co z tobą jest?

— Tobie co do tego! *Was? done diner?* rozumiesz.
Na czole Magdy zaczęła się zbierać burza.

— Po jakiemu ty bełkoczesz? Cóżto, nie umiesz po polsku? To-ci kasztan! Sprawiedliwie mówię! Co z ciebie zrobili!

— Daj mnie jeść!

— Ruszaj do chałupy.

Wszelka komenda robiła na Bartku wrażenie, któremu żadną miarą oprzeć się nie mógł. Usłyszawszy tedy: „ruszaj!” wyprostował się, ręce wyciągnął wzdłuż bioder i zrobiwszy pół-obrotu, pomaszzerował we wskazanym kierunku. Na progu dopiero ochłonął i począł patrzeć na Magdę ze zdumieniem.

— No, co ty Magda? co ty?...

— Ruszaj! marsz!

Wszedł do chałupy, ale upadł na samym progu. Wódka teraz zaczęła mu naprawdę uderzać do głowy. Zaczął śpiewać i oglądać się po chałupie za Frankiem. Powiedział nawet: *morgen Kerl!* choć Franka nie było. Następnie roześmiał się, dał jeden krok nader wielki, dwa bardzo małe, krzyknął: hurra! i legł jak długi na tapczanie. Wieczorem zbudził się trzeźwy, wypoczęty, przywitał się z Frankiem i wyprosiwszy u Magdy kilkańście fenigów, odbył tryumfalny pochód do karczmy. Sława jego czynów poprzedziła go już w Pogrzebinie, gdyż niektórzy żołnierze innych kompanii tegoż samego pułku, wróciwszy wcześniej, opowiadali jego przewagi pod Gra-

velotte i Sedanem. Obecnie gdy się wieść rozeszła, że zwycięzca jest w karczmie, wszyscy dawni towarzysze pospieszili go zobaczyć.

Siedzi więc nasz Bartek za stołem, niktby go teraz nie poznał. On taki dawniej potulny, bije oto pięścią w stół, puszy się jak indyk i gulgoce jak indyk.

— A pamiętacie chłopcy, jakem tedy Francuzów sprzął: co powiedział Steinmec?

— Co nie mamy pamiętać.

— Gadali za Francuzami, straszili, a to jest mdły naród, *was?* Ony sałatę jedzą jak zające, to i umykają jak zające. A piwa to-ci nie piją, ino dycht wino.

— Juści.

— Jakeśma palili jaką wieś, to ony ręce składały i zaraz krzyczały: *pitié! pitie!* to niby znaczy, że dadzą picie, że im co ino dać spokój. Aleśma nie zważali.

— To to można zrozumieć jak ony szwargoczą?— spytał młody parobczak.

— Ty nie rozumiesz, boś głupi, a ja rozumiem. *Done dię*, rozumiesz?

— Co zaś gadacie?

— A Paryż widzieliśta? Tam-ci były batalie jedna za drugą. Ale w każdej pobiliśma. Ony komendy dobrej nie mają. Tak też ludzie mówili. Płot, powiadają u nich też dobry, ale kołki kiepskie. I oficerzy kiepskie, i generały kiepskie, a z naszej strony dobre.

Maciej Kierz stary, mądry gospodarz z Pogębina począł kiwać głową.

— Oj wygrały Niemcy straszną wojnę, wygrały,

a myśma im pomogli; ale co nam z tego przyjdzie, Bóg jeden wie.

Bartek wytrzeszczył na niego oczy.

— Co gadacie?

— Toż Niemcy i tak nie chcieli nas szanować, a teraz to ci nosy pozadzierały, jakby i Boga już nad nimi nie było. I będą jeszcze gorzej nas poniewierać, albo już poniewierają.

— A nieprawda! — rzekł Bartek.

W Pogńebinie stary Kierz miał taką powagę, że cała wieś myślała wedle jego głowy i zuchwalstwem było mu przeczyć, ale Bartek był teraz zwycięzcą i sam powagą.

Wszelako oni spojrzeli na niego ze zdziwieniem, a nawet z pewnym oburzeniem.

— Cóż ty z Maciejem będziesz się spierał?... Cóż ty?....

— Co mi-ta Maciěj! Ja nie z takimi gadałem, rozumita! Chłopcy! czy nie gadałem ze Steinmecem, *was?* A kiěj Maciěj zmyśla, to zmyśla. Tera nam będziěj lepiěj."

Maciěj popatrzył chwilę na zwycięzcę.

— Oj, ty głupi! — rzekł.

Bartek uderzył pięścią w stół, aż podskoczyły wszystkie kieliszki i kufle.

— *Still der Kerl da! Heu, Stroh!...*

— Cicho, nie wrzeszcz! Spytaj się, głupi, jegomości, albo i pana.

— Albo jegomość na wojnie był? albo pan był? A ja byłem. Nie wierzta chłopcy. Tera ci nas zacząną

szanować. Kto batalię wygrał? Myśma wygrali. Ja wygrałem. Tera o co ci poproszę, to dadzą. Bym chciał dziedzicem we Francyi ostać, to останę. Rząd dobrze wie, kto najlepiej ~~wprawk~~ ~~Francuzów.~~ ~~A~~ nasze pułki były najlepsze. Tak pisało w rozkazach. Tera Polaki górą: rozumiecia?

Kierz machnął ręką, wstał i poszedł. Bartek i na polu polityczném odniósł zwycięstwo. Młodzi, którzy z nim zostali, patrzyli teraz w niego jak w tęczę; on mówił:

— A ja czegobym nie chciał, to dadzą. Żeby nie ja, to no! Stary Kierz jest kiep: rozumiecia. Rząd każe bić, to bić! Kto mnie będzie poniewierał? Niemiec? A to co?

Tu znów pokazał na krzyże i medale.

— A za kogo prałem Francuzów? Nie za Niemców, co? Ja tera lepszy jak Niemiec, bo żaden Niemiec niéma tyle tego. Piwa dajta! Ze Steinmecem gadałem i z Podbielskim gadałem. Piwa dajta!

Zwolna zabierało się na pijatykę. Bartek począł śpiewać:

„Trink, trink, trink!
Wenn in meiner Tasche
Noch ein Thaler klingt.”

Nagle wydobył z kieszeni garść fenigów.

— Bierzta! ja teraz pan... Nie chceta? Oj nie takich my pieniędzy we Francyi nabrali, ino że poszło. Mało-to my nie napalili, ludzi nabili... Bóg wie nie kogo... francirerów...

Humor ludzi pijanych miewa nagle zmiany. Nad-

spodziewanie Bartek zgarnął pieniądze ze stołu i począł wołać żałośnie:

— Boże! bądź miłościw grzesznej duszy mojej.

Następnie podparł się oboma łokciami na stole, głowę ukrył w łapy, i milczał.

— Co ci jest?—spytał któryś z pijanych.

— Com im winien—mruknął ponuro Bartek.—Sam leżli! Ino mi ich było żal, bo swojaki oba. Boże, bądź miłościw! Jeden był, jak ta zorza rumiana. Nazajutrz to ci był blady jak chusta. A potem to ci ich jeszcze żywych przysypali... Wódki!

Nastała chwila posępnej ciszy. Chłopi spoglądali jeden na drugiego ze zdziwieniem.

— Co on prawić?—spytał któryś.

— Ze sumieniem cośi gada.

— Bez tę wojnę człowiek pije—mruknął Bartek.

Napił się wódki raz i drugi. Chwilę posiedział w milczeniu, potem splunął i niespodzianie wrócił mu dobry humor.

— A wyśta gadali ze Steinmecem? a ja gadałem. Hurra! Pijta. Kto płaci? Ja!

— Ty płacisz, pijaku, ty!—ozwał się głos Magdy—ale i ja ci zapłacę, nie bój się!

Bartek popatrzył na przybyłą kobietę szklanemi oczyma.

— A ze Steinmecem gadałaś? coś za jedna?

Magda zamiast mu odpowiedzieć, zwróciła się do czułych słuchaczów i poczęła lamentować:

— Oj ludzie, ludzie, widzita mój srom i moją niedolę. Wrócił, ucieszyłam się jak komu dobremu, a on

wrócił pijany. I Boga zapomniał i po polsku zapomniał. Położył się spać, wytrzeźwiał, a teraz znowu pije, i moją pracę, moim potem płaci. A zkażeś wziąć tych pieniędzy? Nie mój-że to starunek, nie moja krwawica, co? Oj ludzie, ludzie, nie katolik to już, nie człowiek, to je Niemiec opętany, co po niemiecku szwargoce i na krzywdę ludzką dybie. To jest odmieniec, to jest...

Tu kobieta zalała się łzami, następnie podniosła głos o oktawę wyżej:

— Głupi był, ale dobry; ale teraz co z niego zrobili? Czekałam-ci go wieczór, czekałam i rano i doczekałam się. Znikąd pociechy, znikąd zmiłowania! Boże mocny! Boże cierpliwy!... Żebyś ty skołowaciał, żebyś do reszty Niemcem ostał.

Ostatnie słowa skończyła tak żałośnie, że prawie śpiewając. A Bartek na to:

— Cichoj, bo cię lunę!

— Bij, utnij głowę, utnij zaraz, zabij, zamorduj— woła natarczywie kobieta i wyciągnawszy szyję, zwróciła się do chłopów:

— A wy ludzie patrzajta.

Ale chłopci poczęli się wynosić. Wkrótce karczma opustoszała, został tylko Bartek i baba z wyciągniętą szyją.

— Cóż tę tchawicę wyciągasz jak gęś — mrucał Bartek.—Chodź do chałupy.

— Utnij!—powtarza Magda.

— Oto, że nie utnę—odparł Bartek i wsadził ręce w kieszenie.

Tu karczmarz chcąc położyć koniec zajściu, zgasił

jedyną świecę. Zrobiło się ciemno i cicho. Po chwili w ciemności rozległ się piskliwy głos Magdy:

— Utnij!

— Oto, że nie utnę — odparł tryumfalny głos Bartka.

Przy świetle księżyca widać było dwie postacie, idące od karczmy ku chałupom. Jedna z nich, idąca na przód, lamentowała głośno: to była Magda; za nią, ze spuszczoną głową, postępował dość pokornie, zwycięzca z pod Gravelotte i Sedanu.

VII.

Bartek wrócił jednak tak osłabiony, że przez kilka dni nie mógł pracować. Było to wielkie nieszczęście dla całego gospodarstwa, które na gwałt potrzebowało męskiej ręki. Magda radziła sobie jak umiała. Pracowała od ranka do nocy; sąsiedzi Czemierniccy pomagali jej jak mogli, ale swoją drogą wszystko to nie wystarczało, i gospodarstwo szło potrochu w ruinę. Było też już i nieco długów zaciągniętych u kolonisty Justa, Niemca, który w Pogrzebinie zakupił był w swoim czasie u dworu kilkanaście morgów nieużytków, a teraz miał najlepsze w całej wsi gospodarstwo i gotówkę, którą wypożyczał na dość wysokie procenta. Wypożyczał przedewszystkiem dziedzicowi p. Jarzyńskiemu, którego nazwisko jarzyło się w „złotej księdze,” ale który dlatego właśnie musiał podtrzymywać splendor domu na odpowiedniej stopie; wypożyczał jednak Just i chłopom. Magda winna mu była od pół roku kilkadziesiąt talarów, które częścią włożyła w gospodarstwo, częścią posyłała w czasie wojny Bartkowi. Byłoby to jednak nic. Bóg dał dobre urodzaje i z przyszłych plonów można było dług spłacić, byle rąk i pracy przyłożyć. Na nieszczęście Bartek pracować nie mógł.

Magda nie bardzo chciała temu wierzyć i chodziła do proboszcza na narady, jakby chłopą rozruszać, a on rzeczywiście nie mógł. Brakło mu oddechu, gdy się cokolwiek strudził i krzyże go bolały. Siadywał więc po całych dniach przed chałupą i palił porcelanową fajkę z wyobrażeniem Bismarka, w białym mundurze i kirasyerskim hełmie na głowie, i poglądał na świat zmęczoném, senném okiem człowieka, z którego kości trud jeszcze nie wyszedł. Rozmyślał przytém trochę o wojnie, trochę o zwycięztwach, o Magdzie, trochę o wszystkiém, trochę o niczém.

Raz gdy tak siedział, usłyszał zdala płacz Franka. Franek wracał ze szkoły i beczał, aż się rozlegało. Bartek wyjął z ust fajkę.

— No, ty Franc! co ci jest?

— Ale, co ci jest?...—powtórzył szlochając Franek.

— Czego beczysz?

— Ale co nie mam beczyć, kiedy dostałem po pysku....

— Kto ci dał po pysku?

— Kto, jak nie pan Boege!

Pan Boege pełnił obowiązki nauczyciela w Pogonbinie.

— A on co ma za prawo bić cię po pysku?

— Juści ma, bo dał.

Magda, która okopywała w ogrodzie, przelazła przez płot i z motyką w ręku zbliżyła się do dziecka.

— Cóżś sprawił?—spytała.

— Com miał sprawić. Jenó Boege nawymyślał mi od polskich świń i dał mnie w pysk i powiedział, że jak

teraz Francuzów zwojowały, to nas będą nogami kopać, bo ony najmocniejsze. A ja jemu nic nie zrobiłem, jeno on się pytał, jaka jest największa osoba na świecie, a ja powiedziałem, że Ojciec Świety, a on mi dał w pysk, a ja począłem krzyczeć, a on nawymyślał mi od polskich świni i powiedział, że jak teraz Francuzów zwojowały...

Franek począł powtarzać wkółko: „a on powiedział, a ja powiedziałem,” wreszcie Magda zakryła mu twarz ręką, a sama zwróciwszy się do Bartka, poczęła wołać:

— Słyszysz! słyszysz!... Idź ty wojuj Francuzów, a niech ci dziecko potem Niemiec tłucze, jak tego psa, niech mu wymyśla!... idź ty wojuj... niech ci Szwab dziecko zabija: masz nagrodę... niech ci plucha...

Tu Magda rozczulona własną wymową, zaczęła także płakać do wtóru z Frankiem, a Bartek wytrzeszczył oczy, otworzył gębę i zdumiał—zdumiał tak, iż słowa nie mógł przemówić, a przedewszystkiem zrozumieć tego, co się stało. Jakto? A jego zwycięstwa... Siedział jeszcze chwilę w milczeniu, nagle błysło mu coś w oczach, krew rzuciła się do twarzy. Zdumienie, równie jak przestrah, częstokroć u prostaków przechodzi w wściekłość. Bartek zerwał się nagle i wyrzucił przez zaciśnięte zęby:

— Ja się z nim rozmówię.

I poszedł. Niedaleko było. Szkoła leżała tuż za kościołem. Pan Boege stał właśnie przed gankiem, otoczony gromadą prosiąt, między które rozrzucał kawałki chleba.

Był to rosły człowiek, lat około pięćdziesięciu, krzepki jeszcze jak dąb. Nie był zbyt tłusty, twarz tylko miał bardzo tłustą, a w téj twarzy pływały duże rybie oczy, z wyrazem śmiałości i energii.

Bartek przystąpił do niego bardzo blisko.

— Za co ty mi, Niemcze, dziecko bijesz? *was?*—spytał.

Pan Boege odstąpił od niego kilka kroków, zmierzzył go oczyma bez cienia bojaźni i rzekł z flegmą:

— Won, polska „turnia!”

— Za co dziecko bijesz?—powtórzył Bartek.

— Ja i ciebie bić, polska „chama.” Teraz my wam pokażemy, kto tu pan. Idź do dyabel, idź na skargę do sąd... precz!

Bartek schwyciwszy nauczyciela za ramię, począł potrząsać nim silnie, wołając chrapliwym głosem:

— Wiesz, com za jeden? wiesz kto Francuzów sprął? wiesz, kto ze Steinmecem gadał? Za co dziecko bijesz szwabska plucho?

Rybie oczy pana Boege wylazły na wierzch, nie gorzej Bartkowych, ale pan Boege był silny człowiek i postanowił jednym zamachem uwolnić się od napastnika....

Zamach ten ozwał się potężnym policzkiem na twarzy zwycięzcy z pod Gravelotte i Sedanu. Wtedy chłop stracił pamięć. Głowa Boegego wstrząsnęła się dwoma nagłemi ruchami, przypominającemi ruch wahadła, z tą różnicą, że wstrząśnienia były przerażająco szybkie. W Bartku znów zbudził się straszliwy pogromca turkosów i żuawów. Napróżno dwudziestoletni Oskar, syn Boegego, chłop równie silny jak ojciec, pospieszył mu z pomocą. Zawiązała się walka krótka, straszna, w której syn padł na ziemię, a ojciec uczuł się wyniesionym w powietrze. Bartek, wyciągnąwszy ręce do góry, niósł go sam nie wiedząc dokąd. Na nieszczęście pod chałupą stała beczka z pomyjami, skrzętnie zlewanemi dla świń przez panią

Boegową i oto bulknęło w beczce; a po chwili widać z niej było sterczące nogi Boegego i poruszające się gwałtownie. Boegowa wypadła z domu:

— Pomocy, ratunku!

Przytomna kobieta wywróciła natychmiast beczkę i wylała męża wraz z pomyjami na ziemię.

Z pobliskich domów koloniści pospieszyli na pomoc sąsiadom.

Kilkunastu Niemców rzuciło się na Bartka i poczęli okładać go to kijami, to pięściami. Powstało ogólne zamieszanie, w którym trudno było odróżnić Bartka od wrogów: kilkanaście ciał zbiło się w jedną masę, poruszającą się konwulsyjnie.

Nagle jednak z masy walczących wypadł jak szalony Bartek, dążąc co sił do płotu.

Niemcy skoczyli za nim, jednocześnie jednak dał się słyszeć przeraźliwy trzask płotu i w téjże chwili potężna żerdź zakołysała się w żelaznych łapach Bartka.

Odwrocił się zapieniony, wściekły, wznosił ręce z żerdzią do góry: pierzchli wszyscy.

Bartek sunął za niemi.

Szczęściem nie dogonił nikogo. Przez ten czas ochłonał i począł rejterować ku domowi. Ach! gdyby miał przed sobą Francuzów! Odwrot ten unieśmiertelniałaby historia.

Było tak: napastujący w liczbie blisko dwudziestu ludzi, zebrawszy się, nacierali na nowo na Bartka. On cofał się zwolna, jak odynieć party przez psiarnię. Chwilami odwracał się i zatrzymywał, a wtedy zatrzymywali się i goniący. Żerdź przejmowała ich zupełnym szacunkiem.

Ciskali jednak kamieniami, jeden z tych kamieni zranił Bartka w czoło. Krew zalewała mu oczy. Oczu, że słabnie. Zachwiał się raz i drugi na nogach, opuścił żerdź i upadł.

— Hurra!—krzyknęli koloniści.

Ale nim dobiegli, Bartek podniósł się znowu. To ich wstrzymało. Ten ranny wilk mógł jeszcze być niebezpieczny. Zresztą było to już niedaleko pierwszych chałup i zdawa widać już było kilku parobków, pędzących co siły na plac potyczki. Koloniści cofnęli się do domów.

— Co się stało?—pytali nadbiegający.

— Niemców krzywę pomacałem — odpowiedział Bartek.

I zemdłał.

VIII.

Sprawa stała się groźną. Gazety niemieckie umieściły nader wzruszające artykuły o prześladowaniach, jakich doznaje spokojna ludność niemiecka od barbarzyńskiej i ciemnej massy, podniecanej przez anti-państwowe agitacje i fanatyzm religijny. Boege stał się bohaterem. On nauczyciel cichy i łagodny, krzewiący oświatę na dalekich krańcach państwa; on prawdziwy misjonarz kultury wśród barbarzyńców, pierwszy padł ofiarą rozruchu. Szczęściem, że za nim stoi sto milionów Niemców, którzy nie pozwolą, aby i t. d.

Bartek nie wiedział jaka burza zbiera się nad jego głową. Owszem, był dobrej myśli. Był pewny że w sądzie wygra. Przecie Boege mu dziecko pobił, i jego pierwszy uderzył, a potem tyłu na niego napadło! Musiał się przecie bronić. Rozbili mu jeszcze głowę kamieniem. I komu? jemu, którego wymieniały rozkazyienne, jemu który „wygrał” bitwę pod Gravelotte, który gadał z samym Steinmecem, który miał tyle krzyżów! Nie mieściło mu się to wprawdzie w głowie, jak Niemcy mogli o tém wszystkim nie wiedzieć i tak go pokrzywdzić, również jak nie mieściło mu się i to, jak Boege mógł obiecywać Pognę-

bińcom, że ich teraz Niemcy będą nogami kopać, za to, że oni Pogłębińcy, tak dzielnie bili Francuzów, ilekroć była sposobność. Ale co do siebie, był pewny, że sąd i rząd ujmą się za nim. Tam przecie będą wiedzieć, co on za jeden i co on na wojnie robił. Choćby nie kto inny, to Steinmetz ujmie się za nim. Przecie Bartek przez tę wojnę i zbiedniał i chałupę zadłużył, toć przecie nie odmówią mu sprawiedliwości.

Tymczasem do Pogłębina przyjechali po Bartka żandarmi. Spodziewali się widać straszego oporu, bo przyjechało ich aż pięciu z nabitymi karabinami. Mylili się. Bartek o oporze nie myślał. Kazali mu na brykę sięść: siadł. Magda desperowała tylko i powtarzała uparcie:

— Oj, trzeba-ci było tych Francuzów tak wojować? Maszże teraz biédaku, masz.

— Cichój, głupia!—odpowiadał Bartek, i uśmiechał się po drodze dość wesoło do przechodzących.

— Ja im pokażę kogo krzywdzili—wołał z bryczki.

I ze swemi krzyżami na piersiach jechał jak tryumfator do sądu.

Jakoż sąd okazał się na niego łaskawy. Zgodzono się na istnienie okoliczności łagodzących. Bartek osobiście skazany został tylko na trzy miesiące więzienia.

Prócz tego, skazano go na zapłacenie stu pięćdziesięciu marek tytułem wynagrodzenia rodzinie Boege i innym „obrażonym na ciele kolonistom.”

„Zbrodniarz wszelako, pisała w sprawozdaniu sądowym *Posener Zeitung*, nietylko po odczytaniu mu wyroku nie okazał najmniejszej skruchy, ale wybuchnął tak.

grubiańskimi słowy i tak bezczelnie począł wyrzucać państwu swoje rzekome usługi, iż dziwić się tylko należy, że obecny prokurator nie uformował przeciw niemu nowej sprawy, za obelgi, względem sądu i względem niemieckiego plemienia...”

Tymczasem Bartek rozpamiętywał w kozie spokojnie swoje czyny pod Gravelotte, Sedanem i Paryżem.

Popelnilibyśmy jednak niesprawiedliwość, twierdząc, że i postępek p. Boegeo nie wywołał żadnej publicznej nagany. Owszem, owszem. Pewnego dżdżystego poranku, jakiś poseł polski bardzo wymownie dowodził, jak zmieniło się postępowanie z Polakami w Poznańskiem, jak za męztwo i ofiary, poniesione przez poznańskie pułki w czasie wojny, należałoby dbać więcej o prawa ludzkości w poznańskiej prowincyi; jak nakoniec p. Boege z Pognębina nadużywał swęj pozycyi nauczyciela, bijąc polskie dzieci, nazywając je polskimi świniami i obiecując, że po takiej wojnie, napływowa ludność będzie kopać nogami aborygenów.

I gdy tak poseł mówił, dészcz sobie padał, a ponieważ takiego dnia senność ludzi ogarnia, więc ziewali konserwatyści, ziewali national-liberalni i socjaliści, ziewało i centrum, bo było to jeszcze przed walką kulturalną.

Wreszcie nad tą „polską skargą,” Izba przeszła do porządku dziennego.

Bartek tymczasem siedział w kozie, a raczej leżał w szpitalu więziennym, bo od uderzenia kamieniem otworzyła mu się rana, jaką na wojnie otrzymał.

Gdy nie miał gorączki, myślał, myślał jak ów indyk,

który zdechł od myślenia. Ale Bartek nie zdechł, tylko nic nie wymyślił.

Czasem jednakże w chwilach, które nauka zwie *lucida intervalla*, przychodziło mu do głowy, że może niepotrzebnie tak „prał” Francuzów.

Na Magdę za to nadeszły ciężkie godziny. Trzeba było zapłacić karę: nie było z kąd wziąć. Ksiądz pogrzebniński chciał pomódz, ale pokazało się, że w kasie nie miał całych czterdziestu marek. Biédna to była parafia ten Pogrzebin, a zresztą staruszek nigdy nie wiedział jak mu się pieniądze rozchodzą. Pana Jarzyńskiego nie było w domu. Mówili, że pojechał w konkury do jakiejś bogatej panny do Królestwa. Magda nie wiedziała co ma począć.

O przedłużeniu terminu nie było co i myśleć—Cóż więc? Sprzedać konie, krowy? I tak był przednówek, czas najcięższy. Żniwo się zbliżało, gospodarka wymagała pieniędzy, a wyczerpały się już wszystkie. Kobięta ręce łamała z rozpacz. Podała kilka prośb o zmiłowanie do sądu, wymieniając zasługi Bartka. Nie otrzymała nawet odpowiedzi. Termin się zbliżał a z nim sekwestr.

Modliła się i modliła wspominając gorzko dawne czasy przed wojną, gdy byli zamożni i gdy Bartek zimą jeszcze w fabryce zarabiał. Poszła do kumów pożyczyć pieniędzy: nie mieli. Wojna wszystkim dała się we znaki. Do Justa nie śmiała iść, bo i tak była mu winna, a nie płaciła nawet procentów. Tymczasem Just niespodzianie sam przyszedł do niej.

Pewnego popołudnia siedziała na progu chaty i nie robiła nic, bo ją siły z rozpacz odeszły. Patrzyła przed siebie, na goniące się po powietrzu muszki złote i myśla-

ła „jakie to ono robactwo szczęśliwe, buja sobie i nie płaci i t. d.” Czasem wzdychała ciężko, lub z jój pobladłych ust wyrывało się ciche wezwanie: „O Boże! Boże!” Nagle przed wrotami ~~wpokazał się spuszczo~~ pokazał się spuszczonego nos Justa, pod którym widać było spuszczoną fajkę: kobieta pobladła. Just ozwał się:

— *Morgen!*

— Jak się macie panie Just?

— A moje pieniądze?

— O mój złocieńki panie Just, bądźcie cierpliwi. Ja biédna co ja zrobię? Chłopa mi wzięli, karę za niego płacić muszę, rady sobie dać nie mogę. Lepiejbym zmarła, niż się mam tak męczyć z dnia na dzień. Poczekajcie, mój złocieńki panie Just.

Rozplakała się i schyliwszy się ucałowała pokornie tłustą, czerwoną rękę pana Justa.

— Pan przyjedzie, to od niego pożyczę, a wam oddam.

— No, a sztraf z czego zapłacicie?

— Czy ja wiem. Chyba krowinę sprzedam.

— To ja wam pożyczę jeszcze.

— Niech panu Pan Bóg zapłaci, mój złoty panie. Pan choć luter, ale dobry człowiek. Sprawiedliwie mówię! Żeby inne Niemcy były jak pan, toby ich człowiek błogosławił.

— Ale ja bez procentu nie dam.

— Ja wiem, ja wiem.

— To mi napiszecie jeden kwit na wszystko.

— Dobrze, złoty panie, Bóg panu zapłaci i tak.

— Będę w mieście to sporządzimy akt.

www.libtool.com.cn

—

—

—

—

—

—

— Pewno, że ony najmocniejsze — rzekł smutno Bartek.

— Jać prosta jestem kobieta, ale to ci powiem: mocniejszy jest Bóg. www.libtool.com.cn

— W Nim ucieczka nasza—dodał Bartek.

Chwilę milczeli oboje, potém znowu spytał:

— No, a co Just?

— Żeby Bóg najwyższy dał urodzaj, to może go jakoś zapłaciwa. Może téż i pan nam dopomoże, chociaż on sam ma długi u Niemców. Jeszcze przed wojną mówili, że musi Pogńębin sprzedać. Chyba, że bogatą pannę weźmie.

— A prędko on wróci?

— Kto go wie. We dworze prawią, że niedługo już z żoną przyjedzie. Niemcy go przycisną, jak wróci. Zawdy te Niemcy! Dyć to lezie, jak robactwo! Gdzie się obejrzysz, gdzie się niedopatrzysz, czy na wsi, czy w mieście, Niemcy, za grzechy chyba nasze. A ratunku znikąd!

— Może téż co uradzisz, tyś przecie mądra kobieta.

— Co ja zradzę, co? Czy to ja po dobrój woli brała od Justa pieniądze? Na dobrą sprawę, toć ta chałupina, w której siedzimy i téż grunt, to już jego. Just jest lepszy Niemiec od innych, ale on téż swoje dobro, nie cudze, ma na oku. Nie pofolguje on, jak i innym nie pofolgował. Czy ja taka głupia, czy ja nie wiem po co on mi wtyka pieniądze! Ale co zrobić! co zrobić!—mówiła łamiąc ręce—radź ty, kiedyś mądry. Francuzów umiałeś bić, a co poczniesz, jak ci dachu nad głową niestanie, abo łyżki strawy do gęby?

Zwycięzca z pod Gravelotte uchwycił się za głowę.
— O Jezu, Jezu!

Magda miała dobre serce; wzruszył ją ten ból Bartkowy, więc rzekła zaraz.

— Cichaj chłopie! cichaj! nie łap się za łeb, skoro ci się jeszcze nie zgoił. Byle Bóg urodzaj da! Żytka ci takie śliczniutkie, że aż się ziemię chce całować, pszenica téż. Ziemia nie Niemiec, nie ukrzywdzi. Choć to i bez twoją wojnę kiepsko koło roli zrobione, to ci tak rośnie że a!

Pocziwa Magda uśmiechnęła się przez łzy.

— Ziemia nie Niemiec...—powtórzyła raz jeszcze.

— Magda—rzekł Bartek patrząc na nią swemi wielkimi oczyma—Magda!

— Czego?

— A bo tyś jest... niby...

Bartek czuł dla niej wdzięczność wielką, ale nie umiał tego wyrazić!

IX.

Magda naprawdę była tyle warta, ile dziesięć gorszych od niej kobiet. Trzymała trochę krótko swego Bartka, ale przywiązana była do niego prawdziwie. W chwilach uniesienia, jako naprzykład w onczas w karczmie mówiła mu w oczy, że głupi, ale zwyczajnie wołała wszelako, by ludzie inaczej myśleli: „Mój Bartek głupiego udaje, a on je chytry,” mawiała nieraz. Tymczasem Bartek był tak chytry jak jego koń, i bez Magdy nie dałby sobie rady, ani w gospodarstwie, ani w niczem. Teraz oto wszystko było na jej pocziwój głowie i jak zaczęła dreptać, zabiegać, chodzić, prosić, tak i wyprosiła ratunek. W tydzień po ostatnich odwiedzinach w więziennym szpitalu, wpadła znowu do Bartka zadyszana, rozpromieniona, szczęśliwa.

— Jak się masz Bartek, kasztanie—zawołała z radością—wiesz, przyjechał pan! Ożenił-ci się w Królestwie; młoda pani dycht jagódka. A nabrał ci téż za nią wszelakiego dobra oj! oj!...

Dziedzic Pogębina ożenił się rzeczywiście, zjechał z żoną na miejsce i rzeczywiście nabrał za nią sporo „wszelakiego dobra.”

— No i co z tego?—spytał Bartek.

— Cicho, głupi—odrzekła Magda.—O, tom się zadyszała! O Jezu!... Poszłam się pani pokłonić, patrzy wyszła do mnie jak królewna jaka, młodzusienska, kieloski kwiateczek, śliczniuchna jak ta zorza... A to upał a tom się zadyszała!....

Magda podniosła fartuch i poczęła obcierać twarz spoconą. Po chwili mówiła znów przerywanym głosem:

-- Suknię-ci miała jak ten chaber niebiesiuchną... Podjęłam ją pod nogi i rączkę mi dała.... pocałowałam, a rączki to ci ma pachnące i maluśkie jak u dziecka!... Dycht jaka święta na obrazku i dobra jest i wyrozumiała na biędę ludzką. Poczęłam ją prosić o poratowanie... Żeby jój Bóg dał zdrowie!.... A ona powiada: „Co w mojej mocy, powiada, to zrobię.” A głosik to ci ma taki, że jak przemówi, to cię aż słodkość ogarnie. Tak dopiero ja poczęłam prawić, jaki to w Pogonbinie naród nieszczęśliwy, a ona powiada: „Ej, nietylko w Pogonbinie....” i dopiero ja się rozbeczałam i ona też. Aż pan nadszedł, zobaczył, że ona płacze i jak ją weźmie całować gęba nie gęba, oczko nie oczko. Panowie nie takie jak wy! Dopiero ona mu powiada: „Zrób co możesz dla tej kobiety.” A on powiada: „Wszystko na świecie, czego zechcesz.” Niechże ją Matka Boska błogosławi, oną jagódkę złotą; niech ją na dzieciach błogosławi i na zdrowiu. I zaraz pan powiada: „Zawiniliście ciężko, boście się w niemieckie ręce podali, ale, powiada, poratuję was i na Justadam.”

Bartek począł drapać się w kark.

— Dyc pana też Niemcy mieli w ręku.

-- No to co! ale pani bogata. Państwooby teraz

wszystkich Niemców w Pogńębinie mogli kupić, to i panu wolno gadać. Wybory, powiada pan, niedługo będą, niech ludzie patrzą by za Niemcami nie głosowali, a ja na Justa dam i Boegeo przykróczę. A pani go za to za szycję wzięna, a pan się pytał o ciebie, i powiada, jeśli słaby, to ja z doktorem pogadam, żeby mu napisał świadectwo jako teraz nie może siedzieć. Jeśli go nie zwolnią całkiem, to powiada, odsiedzi w zimie, a taraz do roboty na żniwa potrzebny. Słyszysz? Wczoraj pan w mieście był, a dziś doktor jedzie do Pogńębina z wizytą, bo go pan zaprosił. On nie Niemiec. I świadectwo napisze. W zimie będziesz sobie siedział w karceresie, jako ten król, będzie ci ciepło i żreć darmo ci dadzą, a teraz pójdziesz do dom, do roboty i Justa zapłaciewa, a pan może i nijakiego procentu nie będzie chciał, a jak nie oddamy wszystkiego w jesieni, to u pani wyproszę. Niechże ją Matka Boska... Słyszysz...

— Dobra pani. Niéma co!—rzekł raźnie Bartek.

Padniesz-że ty jój do nóg, padniesz, a nie, to ci chyba ten żółty łeb ukręcę. Byle Bóg urodzaj dał! A widzisz zkąd poratowanie? od Niemców? dały ci choć grosz za te twoje głupie mentale? co? dały ci po łbie, i tyła. Padnieszże ty pani do nóg, mówię.

— Co nie mam paść!—odparł rezolutnie Bartek.

Los zdawał się znowu uśmiechać zwycięzcy. W kilka dni później zawiadomiono go, że z powodów zdrowia, nateraz zostaje uwolniony z kozy, aż do zimy. Przedtém jednak landrat kazał mu się stawić przed sobą. Bartek stawiał się z duszą na ramieniu. Ten chłop, który z bagnetem w ręku brał sztandary i armaty, począł się teraz

bać każdego munduru więcej niż śmierci, począł nosić w sercu jakieś głuche, bezwiedne poczucie, że go prześladowają, że mogą zrobić z nim co zechcą, że jest nad nim jakaś siła ogromna, a nieżyczliwa i zła, która gdyby się jej opierał, to go zetrze. Stał więc oto przed landratem, jak ongi przed Steinmetzem wyprostowany, z brzuchem wciągniętym, piersią wydaną naprzód i bez tchu w piersiach. Było także i kilku oficerów; wojna i karność wojenna stały Bartkowi w oczach, jakby żywe. Oficerowie patrzyli na niego przez złote binokle z dumą i pogardą, należną prostemu żołnierzowi i polskiemu chłopu od pruskich oficerów; on stał dech wstrzymując, a landrat, mówi coś rozkazującym tonem. Nie prosił, nie namawiał, rozkazywał, groził. W Berlinie poseł umarł, nowe wybory rozpisano.

— *Du polnisches Vieh!* spróbuj tylko głosować za panem Jarzyńskim, spróbuj!

Brwi oficerów ściągnęły się w tej chwili w groźne łwie zmarszczki. Jeden ogryzając cygaro powtórzył za landratem: „spróbuj!” a w zwyciężkim Bartku dech zamierał. Gdy usłyszał pożądane: „poszedł precz!” zrobił pół-obrotu w lewo, wyszedł i odetchnął. Dano mu rozkaz, by głosował za panem Szulbergiem z Krzywdy Wielkiej. Nad rozkazem nie namyślał się, ale odetchnął, bo szedł oto do Pogńębina, bo na żniwa mógł być w domu, bo pan obiecał spłacić Justa. Wyszedł za miasto. Ogarneły go łąny zbóż dojrzewających. Kłós ciężki z wiatrem o kłós uderzał i szeleściły wszystkie miłym dla chłopskiego ucha szelestem. Bartek słaby był jeszcze, ale słońce go grzało. Hej! jak to na świecie pięknie! myślał stérany żołnierz. I do Pogńębina już niedaleko.

X.

Wybory! wybory! Pani Marya Jarzyńska ma ich pełną główkę, nie myśli, nie mówi i nie marzy o niczém więcej.

— Pani dobrodzika, to wielki polityk — mówi do niej sąsiad szlachcic — całując jak smok, jój małe rączki, a wielki polityk rumieni się jak wiśnia i odpowiada ze ślicznym uśmiechem:

— O, my agitujemy, jak tylko możemy!

— Pan Józef będzie posłem! — mówi przekonywająco szlachcic, a „wielki polityk” odpowiada:

— Chciałabym bardzo, chociaż nietylko o Józia chodzi, ale (tu „wielki polityk” piecze znowu niepolitycznego raka), ale to sprawa ogólna...

— Czysty Bismark! jak Boga kocham! — woła szlachcic i znowy całuje maleńkie rączki, potem radzą oboje nad agitacją.

Szlachcic bierze na siebie Krzywdę Dolną i Mizérów (Krzywda Wielka stracona, bo dziedzicem jój pan Schulberg), a pani Marya ma zająć się przedewszystkiém Pogrzebinem. Aż jój się główka pali, że odgrywa taką rolę. Jakoż czasu nie traci. Codzień widać ją na wielkiej drodze między chałupami: sukienka podniesiona w je-

dnęj ręce, parasolka w drugięj, a z pod sukienki wyglądają malutkie nóżki, drepczące z zapalem w wielkich celach politycznych. Wstępuje do chałup, pracującym ludziom mówi po drodze: „Boże dopomóż!” Odwiedza chorych, ujmuje sobie ludność, pomaga gdzie może. Robiłaby to i bez polityki, bo ma dobre serce, ale dla polityki tymbardziej. Czegoby ona nie zrobiła dla téj polityki?! Oto nie śmie tylko przyznać się mężowi, że ma niepowstrzymaną ochotę pojechać na wiec włościański, ułożyła sobie nawet w główce mowę, jaką wypadałoby na wiecu powiedzieć. Co to za mowa! co za mowa! Wprawdzie pewnoby nie śmiała jęj wypowiedzieć, ale gdyby wypowiedziała, to no! Za to, gdy do Pognębina doszła wiadomość, że władze wiec rozpedziły, „wielki polityk” rozbecztał się ze złości w swoim pokoju, podarł jedną chusteczkę i cały dzień miał czerwone oczy. Napróżno mąż prosił jęj, by nie „demenowała” się do tego stopnia. Nazajutrz agitacya w Pognębinie prowadzona była z większym jeszcze ferworem. Pani Marya nie cofa się teraz przed niczém. Jednego dnia jest w kilkunastu chatach i wymyśla tak głośno na Niemców, że aż mąż musi ją powstrzymywać. Ale niéma niebezpieczeństwa. Ludzie przyjmują ją z radością, całują po rękach i uśmiechają się do nięj, bo taka jest ładna, taka różowa, że gdzie wejdzie, jasno się robi. Z kolei przychodzi i do chałupy Bartka. Łysek jęj nie puszcza, ale Magda daje mu w zapale drewnem w łeb.

— O, jasnie pani! moje złoto, moje śliczności, moja jagódko!—woła Magda tuląc się do jęj rąk.

Bartek, zgodnie z postanowieniem, rzuca się jęj do

nóg, mały Franek całuje ją naprzód w rękę, następnie kładzie palec w usta i pogrąża się w całkowitym podziwie.

— Spodziewam się—mówi po powitaniach młoda pani—spodziewam się, mój Bartku, że będziecie głosować za moim mężem, nie za panem Schulbergiem.

— O, moja zorzol!—woła Magda—ktoby-ta za Siulbergiem głosował! Niech go tam paralius! (Tu całuje panią w rękę). Niech się jasnie pani nie gniewa, ale człek, gdy o Niemcach mówi, to i języka nie może utrzymać.

— Mąż właśnie mówił mi, że zapłaci Justa.

— Niech go Bóg błogosławi! Tu Magda zwraca się do Bartka:—czego stoisz jak drąg? On, proszę pani, strasznie niemowny.

— Będziecie za moim mężem głosować—pyta pani—prawda? Wyście Polacy, my Polacy, będziemy się trzymać.

— Łebbym mu ukręciła, żeby nie głosował!—rzecze Magda.—Czegóż stoisz jak drąg? On strasznie niemowny. Ruszże się!

Bartek całuje znowu panią w rękę, ale milczy ciągle i jest ponury, jak noc. W myśli stoi mu landrat.

*

*

*

Dzień wyborów zbliża się i nadchodzi. Pan Jarzyński pewny jest wygranej. Do Pogonębina zjeżdża się sąsiedztwo. Panowie wracają już z miasta, dali już głosy, i czekać będą teraz w Pogonębinie na wiadomość, którą przywiezie ksiądz. Potém będzie obiad, wieczorem zaś państwo wyjadą do Poznania, a następnie i do Berlina.

Niektóre wsie z okręgu wyborczego głosowały jeszcze wczoraj. Rezultat dziś będzie wiadomy. Zgromadzeni wszelako dobrą są myśli. Młoda pani trochę niespokojna, ale pełna nadziei i uśmiechnięta, jest tak uprzejmą gospodynią, że wszyscy zgadzają się, iż pan Józef znalazł prawdziwy skarb w Królestwie. Skarb ten nie może wprawdzie teraz usiedzieć spokojnie na miejscu, biega od gościa do gościa i każe się każdemu po sto razy zapewniać, że „Józio będzie wybrany.” Nie jest ona rzeczywiście ambi-tną i nie z próżności chce zostać panią posłową, ale wymarzyła sobie w swojej młodej główce, że oboje z mężem mają do spełnienia prawdziwą misję. Serce więc jej bije tak żywo, jak w chwili ślubu, i radość oświeca ładną twarzyczkę. Lawirując zręcznie wśród gości, zbliża się do męża, pociąga go za rękaw i szepcze mu do ucha, jak dziecko, które kogoś przezywa: „pan poseł!” On uśmiecha się i oboje są nad wszelki wyraz szczęśliwi. Oboje mają wielką ochotę wycałować się porządnie, ale przy gościach nie wypada. Wszyscy zresztą wyglądają co chwila za okno, bo sprawa jest istotnie ważna. Dawny zmarły poseł był Polakiem, i pierwszy to raz dopióro Niemcy stawiają w tym okręgu swego kandydata. Widocznie zwycięzka wojna dodała im odwagi, ale właśnie dlatego zgromadzonym w pognębińskim dworze témbardziej chodzi o to, by ich kandydat był wybrany. Nie brak też jeszcze przed obiadem patryotycznych przemówień, które szczególnież wzruszają młodą panią, jako do nich nieprzywykłą. Chwilami ma ona napady obawy. A jeśli zrobią jakie malwersacye przy obliczaniu głosów? Ale przecie w komitecie zasiadają nie tylko Niemcy. Starsi

obywatele tłómaczą właśnie pani, jak się obliczanie głosów odbywa. Słyszała to ona już sto razy, ale jeszcze chce słyszeć. Ach! bo przecie chodzi tu o to, czy ta miejscowa ludność będzie miała w parlamencie obrońcę czy wroga? Za chwilę się to rozstrzygnie, nawet za małą chwilę, bo na drodze powstaje nagle kłęb kurzu. „Proboszcz jedzie! proboszcz jedzie!” powtarzają obecni. Pani blednie. Na wszystkich twarzach znać wzruszenie. Są pewni zwycięstwa, a jednak ostatnia chwila przyspiesza bicie serc. Ale to nie proboszcz, to włódarz wraca konno z miasta. Może co wie? Przywiązuje konia do kołka i spieszy do dworu. Goście z gospodynią na czele wypadają na ganek.

— Są wiadomości? Są? Nasz pan wybrany? Co? Chodź tu! Wiesz na pewno? Rezultat ogłoszony?

Pytania krzyżują się i padają jak race, a chłop rzuca czapkę do góry.

— Nasz pan wybrany!

Pani siada nagle na ławce i przyciska ręką falujące piersi!

— Wiwat! wiwat!—krzyczą sąsiedzi. Wiwat!

Służba wypada z kuchni.—Wiwat! „Pobite Niemcy! Niech żyje poseł! I pani posłował!”

— A proboszcz?—pyta ktoś.

— Zaraz tu będzie—odpowiada włódarz—jeszcze reszty obliczają...

— Obiad dawać!—woła pan poseł.

— Wiwat!—powtarzają inni.

Wchodzą znów wszyscy z ganku do sali! Powinshawania panu i pani płyną już spokojniéj, sama pani tyl-

ko nie umie pohamować radości i bez względów na świadków rzuca mężowi ręce na szyję. Ale nie biorą jęj tego za złe; owszem, rozczulenie ogarnia wszystkich.

— No, jeszcze żyjemy!—mówi sąsiad z Mizerowa.

Tymczasem przed gankiem rozlega się turkot i do sali wchodzi ksiądz proboszcz; a z nim stary Maciej z Pogębina.

— Witamy, witamy!—wołają zgromadzeni. No, jaka większość?

Ksiądz milczy przez chwilę i nagle rzuca, jakby w twarz tęg powszechnęj radości, szorstkie i krótkie dwa wyrazy:

— Szulberg... wybrany!...

Chwila zdumienia, grad pytań przyspieszonych i trwożnych, na które ksiądz odpowiada znowu:

— Szulberg wybrany!

— Jak? Co się stało? Jakim sposobem? Włódarz mówił, że nie! Co się stało?

W tęg chwili pan Jarzyński wyprowadza biędną panią Maryą, która gryzie chusteczkę, by nie wybuchnąć płaczem, lub nie zemdleć.

— O, nieszczęście! nieszczęście!—powtarzają zgromadzeni, chwytając się rękami za głowy.

W tęg chwili od strony wsi dochodzą jakieś zmacone głosy, jakby radosnych krzyków. To Niemcy pognebińscy obchodzą tak radośnie swoje zwycięztwo.

Państwo Jarzyńscy wracają znów do sali. Słychać jak przy drzwiach młody pan mówi do pani: „*il faut faire bonne mine.*” Jakoż młoda pani już nie płacze. Oczywiście ma suche i bardzo silne rumieńce.

— Powiedzcież teraz, jakże się to stało?—pyta spokojnie gospodarz.

— Jakże się nie miało stać, jaśnie panie—mówi stary Maciej—skoro i tutejsze chłopcy pognębińskie głosowali za Szulbergiem.

— Kto taki?

— Jakto, tutejsi?

— A jakże. Ja sam widziałem i wszyscy, jak Bartek Słowik głosował za Szulbergiem...

— Bartek Słowik?—mówi pani.

— A jakże. Teraz-ci go inni wymyślają. Chłop tarza się po ziemi, płacze, baba go wymyśla. Aleć ja sam widziałem jak głosował...

— Ze wsi takiego wyświecić!—rzecze sąsiad z Mizerowa.

— Bo jaśnie panie—mówi Maciej—inni téż, co byli na wojnie, to téż głosowali, jak i on. Gadają, że im kazali....

— Nadużycie, czyste nadużycie, nieważny wybór, przymus! szachrajstwo!—wołały różne głosy.

Nie wesoły był obiad tego dnia w pognębińskim dworze.

Wieczorem państwo wyjechali, ale już nie do Berlina, tylko do Drezna.

Nędzny, przeklinany, sponiewierany i znienawidzony Bartek siedział tymczasem w swojej chałupie, obcy nawet dla żony własnej, bo i ta nie przemówiła do niego cały dzień ni słowa.

*

*

*

Jesienią Bóg urodzaj dał, i pan Just, który właśnie objął był w posiadanie Bartkową kolonię, rad był, że wcale niezły zrobił interes.

Pewnego dnia szło z Pogńębina do miasta troje ludzi: chłop, baba i dziecko. Chłop był pochylony bardzo, podobniejszy do dziada, niż do zdrowego człeka. Szli do miasta, bo w Pogńębinie nie mogli służby znaleźć. Dészcz padał, baba szlochała okrutnie z żalu za straconą chałupą i całą wsią. Chłop milczał. Na całej drodze pusto było, ani wozu, ani człowieka, krzyż tylko wyciągał ponad nią zmoczone od dészczu ramiona. Dészcz padał coraz większy, gęstszy i ciemniało na świecie.

Bartek, Magda i Franek szli do miasta, bo zwycięzca z pod Gravelotte i Sedanu miał jeszcze w zimie odsiedzieć w kozie za sprawę Boegeo.

Państwo Jarzyńscy bawili ciągle w Dreźnie.

KONIEC TOMU PIĄTEGO.

SPIS PRZEDMIOTÓW

www.libtool.com.cn
tome piątego

	str.
I. Latarnik.	1
II. Niewola tatarska	25
III. Jamioł	77
IV. Na jedną kartę	91
V. Bartek zwycięzca	225

www.libtool.com.cn

www.libtool.com.cn

www.libtool.com.cn

Stanford University Libraries

3 6105 124 433 066



www.libtool.com.cn

**Stanford University Libraries
Stanford, California**

Return this book on or before date due.

--	--	--

